

55

PRESSJE 

REDAKCJA

Barszcz Agnieszka
Brola Jakub
Brzyski Bartosz
Chibner Daria
Czepielik Adam
Kaszczyszyn Piotr (*redaktor naczelny*)
Pilawa Konstanty (*sekretarz*)
Rzeczycki Michał (*szeft warszawskiego kolegium*)
Skrzypulec Błażej
Wons Kamil

STALI WSPÓLPRACOWNICY

Kędziński Marcin
Mazur Krzysztof
Musiałek Paweł
Popiołek Piotr
Tondera Mateusz
Trudnowski Piotr
Wojda Mateusz
Wójcik Bartosz

ZAŁOŻYCIELE PISMA

Jadwiga Emilewicz
Arkady Rzegocki

KOREKTA

Jakub Brola
Magdalena Kędzierska-Zaporowska

SKŁAD I ŁAMANIE

Maciej Kielbas

PROJEKT GRAFICZNY I ILUSTRACJE

Rafał Gawlikowski

WYDAWCA



KONTAKT

Pałac Spiski
Rynek Główny 34, 31-010 Kraków
tel. 124290273

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

ISSN 1644-7050
Nakład: 200 egz.

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Spis treści

PRESSJA REDAKCJI

Skończmy z szukaniem na siłę jednej wszechogarniającej „idei” i „istoty” polskości. Polskość to pluralizm. Historycznie zmienna i dynamiczna wspólnota polityczna, w ramach której jako ludzie-Polacy zmagamy się z losem i historią oraz spieramy o pożądaną wizję dobrego życia. Polskość to wiele-polskość.

- 5 Piotr Kaszczyszyn
WIELO-POLAK

CZTERY OPOWIEŚCI O POGMATWANEJ TOŻSAMOŚCI

Wielostopniowa polskość mieszkańców I Rzeczypospolitej. Postnarodowa, techno-tożsamość obywateli państwa Google'a. Republikańska dusza współczesnych Polaków. Znikająca tożsamość chłopskiego świata. W dziale snujemy opowieść o tym, co było, co jest i co nadchodzi.

- 12 Kamil Wons
HYBRYDALNA POLSKOŚĆ W I RZECZPOSPOLITEJ
- 15 Rafał Gawlikowski, Piotr Kaszczyszyn
TECHNO-POLIS POD ZARZĄDEM GOOGLE'A
- 19 Konstanty Pilawa
REPUBLICAŃSKI FLIRT Z NOWOCZESNOŚCIĄ
- 28 Piotr Kaszczyszyn
STARA WIEŚ JUŻ ODESZŁA, NOWA JESZCZE NIE POWSTAŁA

LISTA NIEPOLSKICH POLAKÓW

W dziale przedstawiamy sylwetki zasłużonych w historii Polaków, których tożsamość daleka była od etnicznej i kulturowej jednoznaczności. Pomimo tego wciąż Polakami byli.

- 35 Jan Woźniak
POLAK, ŻYD, HISTORYK. SYLWETKA SZYMONA ASKENAZEGO
- 41 Bartosz Wójcik
SZARA EMINENCJA ZJEDNOCZONEJ EUROPY

- 49 Jan Woźniak
Z POCHODZENIA ORMIANIN, Z NARODOWOŚCI POLAK.
RÓD KRZECZUNOWICZÓW W SŁUŻBIE POLSCE

POLSKA I ŚLŌNSK

Polak? Niemiec? Polski Niemiec? Niemiecki Polak? Po prostu Ślązak? Śledzimy i próbujemy rozwikłać tożsamościowe zagadki związane ze Śląskiem.

- 55 Konstanty Piława
ŚLĄSK SIĘ BUDZI, POLSKA ŚPI
- 61 Piotr Kaszczyszyn, Konstanty Piława, Konrad Siembiga, Kamil Wons
KIM JESTEŚ, ŚLĄZAKU?
- 67 Hanna Groborz
DIZAJN MADE IN ŚLĄSK

LEWA STRONA ODPOWIADA

Nietypowy, bo autorski dział Bartosza Wójcika. W ramach cyklu przedstawiamy sylwetki zasłużonych i inspirujących postaci z lewicy niepodległościowej, którą łączyła polskość z hasłami sprawiedliwości społecznej.

- 73 Bartosz Wójcik
LIDIA I ADAM CIOŁKOSZOWIE
- 81 Bartosz Wójcik
JANUARY GRZĘDZIŃSKI
- 99 Bartosz Wójcik
ZYGMUNT ZAREMBA

INSPIRACJE NA DRUGIE STULECIE

W perspektywie rocznicy stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości sięgamy do historii, aby w niej szukać gospodarczo-społecznych inspiracji na kolejne lata naszej państwowości.

- 98 Mateusz Perowicz
SPEŁNIONE MARZENIE O LEPSZYM KAPITALIZMIE
- 104 Piotr Kaszczyszyn
PIERWSZY MODERNIZATOR II RP

Pressja redakcji

Skończmy z szukaniem na siłę jednej wszechogarniającej „idei” i „istoty” polskości. Polskość to pluralizm. Historycznie zmienna i dynamiczna wspólnota polityczna, w ramach której jako ludzie-Polacy zmagamy się z losem i historią oraz spieramy o pożądaną wizję dobrego życia. Polskość to wielo-polskość.

Wielo-Polak

Piotr Kaszczyszyn

Próby zdefiniowania polskości skażone są grzechem pierworodnym. Często kończą się bowiem poszukiwaniem na siłę uniwersalnej i wszechogarniającej „istoty”, „idei”, czy też „natury” polskości. Tymczasem polskość to pluralizm. Historycznie zmienna i dynamiczna wspólnota polityczna, w ramach której jako ludzie-Polacy zmagamy się z losem i historią oraz spieramy o właściwą wizję dobrego życia. Polskość to wielo-polskość.

TRZY WARIANTY MONO-POLAKA

Podejmując się karkołomnego zadania wypracowania maksymalnie uniwersalnej oraz inkluzyjnej definicji polskości, warto zacząć od trzech modelowych koncepcji: Polaka etnicznego, Polaka kulturowego oraz polskości rozumianej jako idea.

We współczesnej Polsce jako sztandarowy przykład pierwszej z wizji polskości chciałbym wskazać Ruch Narodowy. W pierwszym zdaniu rozmowy z Piotrem Trudnowskim opublikowanej na łamach portalu opinii Klubu Jagiellońskiego, Witold Tumanowicz, członek zarządu Ruchu Narodowego oraz jeden z autorów ich

programu politycznego, stwierdził jasno: narodowcy od zawsze byli zwolennikami państwa monoetnicznego. Zdaniem Tumanowicza polskość składa się z dwóch komplementarnych składników: polskiej kultury i katolickiej tradycji. W ten sposób Ruch Narodowy po raz kolejny w naszej historii powraca do kulturowo-religijnego, ekskluzywnego projektu Polaka-katolika. Wizja polskości według narodowców jest więc rodzajem połączenia polskości etnicznej z polskością kulturową, z dominacją tego pierwszego komponentu.

Wizja państwa narodowego pociąga za sobą przyjęcie koncepcji „Polaka-gospodarza”, charakterystycznej dla tradycji endeckiej już w okresie międzywojennym.

W wywiadzie Tumanowicz bezpośrednio wyraża swoje obawy przed rzekomym ryzykiem politycznej organizacji mniejszości ukraińskiej i jej potencjalnego wpływu na polskie (czytaj: etniczno-kulturowe) życie publiczne. Z koncepcją „Polaka-gospodarza” jest bezpośrednio związana przedwojenna endecka „doktryna polskiej większości”. W rzeczywistości II Rzeczypospolitej była ona wykorzystywana jako polityczna broń przeciwko mniejszościom narodowym jako „gościom w polskim domu”. To właśnie argumentacja z „polskiej większości” pełniła rolę argumentacyjnej „pałki” wymierzonej w prezydenta Gabriela Narutowicza. Skoro Narutowicz został wybrany głosami mniejszości, to nie może być uznany za prawowitą głowę państwa. W „polskim domu” rządzić może bowiem tylko „polska większość”. Koniec, kropka. A co z pozostałymi narodami, czy mniejszościami narodowymi? Ruch Narodowy stoi na stanowisku separatyzmu narodowego, który zakłada, że każdy naród (był pierwotny) powinien być zorganizowany we własnym, terytorialnie ograniczonym organizmie państwowym (narzędzie polityczne etniczno-kulturowego narodu). Z tego też powodu Tumanowicz w wywiadzie wprost mówi o niechęci do „społeczeństwa mieszanego” i sprzeciwia się emigracji Ukraińców do naszego kraju.

Za przykład koncepcji polskości kulturowej chciałbym potraktować wydaną niedawną książkę Tomasza Rowińskiego *Królestwo nie z tego świata. O zasadach Polski katolickiej na podstawie wydarzeń nowszych i dawniejszych*, którą (co sugeruje przedmowa i przypisy) można potraktować jako szersze stanowisko środowiska „Christianitas”.

Autor twierdzi, że zidentyfikował stałą polską formę, właściwą dla Polaków „regulę życia”, „najlepszy dla nas sposób istnienia w dziejach”. Podstawą argumentacji Rowińskiego jest założenie o istnieniu analogii pomiędzy człowiekiem a narodem w kontekście ich relacji z Bogiem: „Narody chrześcijańskie w sposób analogiczny (choć nie identyczny, narody bowiem nie są bytami substancjalnymi) pozostają w rękach Opatrzności, nie żyjąc wcale własną mocą”.

Skoro nie żyją własną mocą, nie są tworam i tylko historycznymi i w historii przychodzącymi i znikającymi, to czym są? Rowiński znów posiłkuje się analogią. Tym razem sięga po koncepcję „pamięci

Boga” św. Augustyna. Zgodnie z nią świat istnieje, bo w istnieniu utrzymuje go Boża pamięć. Dalej powołuje się na papieża Benedykta XVI, który wskazuje, że życie wieczne i zmartwychwstanie będzie możliwe właśnie dzięki temu, że Bóg nas zna i kocha, przechowuje niejako nasze istnienie w swojej pamięci. Rowiński twierdzi, że polska forma istnienia również zdeponowana jest w „pamięci Boga” i polskiego Kościoła jako gwaranta ciągłości istnienia polskiego narodu chrześcijańskiego. Dzięki temu możliwy jest proces „narodowej anamnezy”, ciągłego powrotu do najlepszej polskiej formy życia, która w każdej epoce może być aktualizowana i realizowana na nowo. Polskość istnieje więc niejako na dwóch poziomach jednocześnie: jako nieśmiertelna platońska idea w „pamięci Boga” (poziom transcendentny) oraz jako tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie przez instytucję Kościoła (poziom doczesny).

Dalej autor, pomimo wyjściowego sceptycyzmu co do substancjalnego charakteru narodu, nie boi się polskiemu narodowi chrześcijańskiego przypisywać atrybuty przynależne ludzkiej osobie. Tak więc możemy przeczytać o „istocie” polskiego narodu, która pojawiła się już w momencie jego narodzin w trakcie chrztu i która również pozostaje zdeponowana w Bogu i Kościele. „Bóg i Kościół patrzyli na kraj Mieszka i wiedzieli, czym on jest oraz w czym może się realizować jego życie” – jak pisał Rowiński w początkowych partiach książki. Następnie okazuje się, że celem naszego narodowego egzystowania w historii jest „doskonalenie natury” oraz rozpoznawanie powołania, którym jest realizacja chrześcijańskich zasad życia za pośrednictwem polityki i państwa.

Wizja Tomasza Rowińskiego może imponować. W końcu dostaliśmy coś na kształt „ontologii narodu” oraz wynikający z tej ontologii projekt dobrego (czy raczej najlepszego) życia, a także swoisty narodowy misjonizm znajdujący swoje spełnienie w realizacji narodowej natury i chrześcijańskiego powołania danego nam od Boga. Prawdziwa religijno-kulturowa koncepcja „Polaka-katolika” na sterydach.

Jeszcze dalej od autora *Królestwa nie z tego świata* idzie Jarosław Marek Rymkiewicz, z pewnością sztandarowy przykład orędownika polskości jako idei.

W klasycznej pracy z zakresu narodoznawstwa pt. *Wspólnoty wyobrażone. Rozważania o źródłach i rozprzestrzenianiu się nacjonalizmu* Benedict Anderson wskazuje na istnienie świeckiej, narodowej metafizyki. Nowoczesne państwo narodowe zaspokajało bowiem dwie elementarne dla człowieka potrzeby, wcześniej „obsługiwane” przez Kościół katolicki: poczucie sensu w życiu doczesnym (wystarczy prześledzić biografie romantycznych bojowników o narodowe wyzwolenie z XIX w., aby zobaczyć, jak szczególnie idea narodowa wypełniała ich serca) oraz sposób na nieśmiertelność (naród jako wspólnota przekraczająca jedno pokolenie, z kultem bohaterów narodowych jako substytutem cielesnej nieśmiertelności i życia wiecznego po paruzji).

Dla Rymkiewicza polskość jest właśnie takim metafizycznym tworem, podstawową strukturą sensotwórczą, która dostarcza nam poczucia sensu w naszej asensownej egzystencji. Egzystencji osadzonej w „kosmicznej ciemności”. „Powodem, dla którego nie jałdłem raków, było prawdopodobnie przekonanie, że są one bardzo głęboko – głębiej niż jakiegokolwiek inne sąsiadujące z nami stwory – zanurzone w kosmicznej ciemności. [...] Raki mieszkają w szarym mule jezior, i wobec tego są stworami zarazem podwodnymi i poddennymi, zostały umieszczone głębiej niż jakieś inne wcielenia – i jeśli tam, w kosmicznej ciemności istnieje jakaś hierarchia, to w tej hierarchii znajdują się one na bardzo niskim szczeblu” – to cytat z *Kinderszenen*, książki poświęconej wyprowadzeniu nas z tej egzystencjalnej ciemności do światła polskiej idei.

W rozmowie z Barbarą Sułek-Kowalską Rymkiewicz wprost stwierdził, że Polska „bytuje tam, gdzie bytują Prawda, Piękno i Dobro”. Dla autora *Wieszania* polskość to platońska idea, umieszczona gdzieś wysoko na kosmicznym firmamencie. Zdaniem Rymkiewicza to polskość wybiera nas, a nie my polskość, a jako platońska idea może istnieć nawet bez konkretnych, cielesnych Polaków, jeśli nie będą oni chętni ani zdolni do realizacji tej idei w doczesnym życiu. Tą polską ideą jest zaś absolutna, nienegocjowalna, anarchiczna wolność szlachecka, uosobiona w postaci Samuela Zborowskiego. Wolność, która swoje historyczne spełnienie znalazła w Powstaniu Warszawskim, najważniejszym wydarzeniu polskiej historii, wydarzeniu, które będzie, zdaniem Rymkiewicza, promieniować na polską historię jeszcze przez stulecia.

Polskość jest więc nieśmiertelna, a prawdziwym Polakiem (nie obywatelem i mieszkańcem państwa polskiego) jest ten, który stara się realizować polską ideę wolności. Projekt polskości według Rymkiewicza jest więc projektem ideowym, zakorzenionym jednak historycznie w anarchicznym micie politycznym I RP.

Co łączy wszystkie te wizje polskości? Homogeniczność i ekskluzywność. Każda z nich na inny sposób próbuje arbitralnie uniwersalizować własne rozumienie polskości i narzucać je pozostałym Polakom jako obowiązujące. Każdy z tych projektów, w mniejszym bądź większym stopniu, ma charakter wykluczający, tworząc esencjalną wizję polskości, pewien ideał, który musimy spełnić, aby móc w ogóle nazywać się prawdziwymi Polakami. Wszystkie te projekty polskości to różne warianty podejścia, które nazywam mono-polskością.

WIELO POLSKA JAKO PROJEKT NARODU POLITYCZNEGO

Gdzie więc szukać bardziej uniwersalnej oraz inkluzyjnej koncepcji polskości? W tym samym historycznym źródle, z którego poeta z Milanówka wyprowadził swoją nieśmiertelną polskość-wolność.

Jak argumentuje Kamil Wons w esejku opublikowanym w tym numerze, tożsamość staropolska miała charakter hybrydalny i szczeblowy. „W jej obrębie przenikały się, łączyły i układały hierarchiczne wymiary polityczne, stanowe, etniczne, regionalne czy religijne. Co więcej, w zależności od kontekstu sytuacyjnego ta sama osoba mogła być nazywana (lub sama się identyfikować) jako Polak, Litwin czy Żmudzyn” – jak pisze autor *Polskości jako wielości*.

W praktyce tożsamość staropolska realizowana w politycznej rzeczywistości I RP, w napięciu, lecz skutecznie łączyła w sobie aż sześć poziomów autoidentyfikacji: polskość terytorialno-państwową, polskość stanowo-polityczną, polskość podzieloną ustrojowo, polskość wieloetniczną i multiregionalną, polskość wieloreligijną oraz polskość multikulturową. I Rzeczpospolita była prawdziwą tożsamościową mozaiką, która pomimo tego funkcjonowała jako jedna inkluzywna wspólnota. Wspólnota polityczna, uciekająca od wykluczających esencjalizacji polskości jako jednego właściwego pro-

jektu dobrego życia, czy też dobrego Polaka. I tak rozumiana tożsamość staropolska realizowana na poziomie politycznym może być wartościową inspiracją dla współczesnej debaty o rozumieniu polskości. Dzisiejsza polskość powinna być sformułowana jako projekt narodu politycznego i agonicznego.

WIELO-POLSKA JAKO PROJEKT AGONICZNY

Chantal Mouffe, lewicowa filozof polityczna, zwraca uwagę, że żyjemy dziś w postpolitycznym mirażu, ukrywającym tylko polityczną hegemonię liberałów, którzy w demokracji liberalnej rozdają wszystkie polityczne karty. Ten miraż oparty jest o współczesny model polityki, który za nadrzędny cel stawia dojście do racjonalnego konsensusu. Sam ten konsensus powinien zostać wypracowany przez polityków-ekspertów, polityków-technokratów. W końcu polityka to tylko sposób na agregację interesów racjonalnych podmiotów, które ostatecznie muszą się ze sobą dogadać, bo w końcu to rozsądni ludzie. A „radikalna reszta”? Mouffe stwierdza, że są oni regularnie z polityki eliminowani, gdyż dzisiaj spór wcale nie jest już polityczny, lecz moralny – podziały prawica/lewica zastąpiło kryterium moralne dobre/złe. A ci źli, identyfikowani jako wrogowie demokracji, są z przestrzeni publicznej błyskawicznie rugowani. Bez względu na to, co mówisz, musisz to mówić językiem liberalnego mainstreamu. Inaczej szybko dostaniesz łatkę politycznego szkodnika.

Zdaniem Mouffe sednem polityczności jest konflikt, a nie pozorny i odgórnie narzucony konsensus liberałów z liberałami. Polityka to spór sprzecznych interesów, tożsamości i afektów, wynikający z nieusuwalnego pluralizmu wewnątrz społeczeństw, polityczne starcie zróżnicowanych narracji i opowieści o wspólnocie. Prawdziwą stawką w politycznej grze nie jest więc poszukiwanie sztucznej zgody, ściernie kantów i nierówności, prewencyjna pacyfikacja tych, których projekty dobrego życia chociaż trochę wykraczają poza polityczny mainstream. Chodzi o znalezienie sposobu na pogodzenie demokracji z tym dynamicznym pluralizmem.

Mouffe sięga w tym miejscu po Carla Schmitta i wypracowuje koncepcję demokracji agonicznej. Jej celem jest stworzenie publicznego, politycznego pola do artykułowania tych alternatywnych, skonflikto-

wanych nieraz tożsamości i jednocześnie taka sublimacja tego konfliktu, żeby nie przerodził się z agonizmu w antagonizm, rodzaj wojny domowej, gdzie druga strona będzie kimś moralnie gorszym, wrogiem, którego trzeba wyrzucić poza granicę wspólnoty politycznej lub zniszczyć, co może prowadzić do wojny domowej. Ta wspólna przestrzeń, w której na poważnie ścieramy się w starciu sprzecznych wizji dobrego życia, winna być zdaniem Mouffe zbudowana na dwóch, niestety mało sprecyzowanych, filarach: wspólnym uniwersum symbolicznym oraz otwartych dla wszystkich stron agonu instytucjach politycznych, np. sprawnie działającym parlamencie, który nie zostaje zredukowany do roli maszyny do głosowania, podporządkowanej rządowi.

Nieoczywistym uzupełnieniem agonicznej wizji polityki lewicowej filozof może być propozycja Pawła Grada, redaktora „Christianitas” i autora książki *O pojęciu tradycji. Studium krytyczne kultury pamięci*. W tej pracy Grad proponuje stworzenie przestrzeni publicznej mocno przypominające projekt Mouffe. Nawet używa przy tym pojęcia agonistycznej polityki, ale w przypisie podaje nazwisko innej osoby. Zamiast rywalizacji różnych grup o różnej tożsamości, a przez to różnych narracji o dobrym życiu, redaktor „Christianitas” pisze o tradycji, rodzaju zbiorowego podmiotu, którego członkowie związani są doktryną (teoria) i dyscypliną (praktyka). Za przykład tak rozumianej tradycji podany jest Kościół katolicki.

Zdaniem Grada należy zbudować taką przestrzeń publiczną, w ramach której możliwy będzie „kontrolowany spór” pomiędzy różnymi tradycjami oraz wolnymi podmiotami. Co ważne, stawką w tym sporze nie będzie budowa na siłę jakiegoś konsensualnego dobra wspólnego (struktura sensotwórcza jest zlokalizowana wewnątrz danej tradycji, a nie realizowana dopiero w przestrzeni publicznej), lecz stworzenie pola do... konwersji, a tym samym ekspansji tych tradycji, które w narracyjnym pojedynku okażą się bardziej przekonujące.

Jestem przekonany, że taki model politycznej, agonicznej polskości, osadzony w faktycznym pluralizmie występującym wewnątrz polskiego narodu, akceptujący i akcentujący zróżnicowane projekty dobrego życia prezentowane przez różne podmioty

i instytucje życia publicznego, np. partie polityczne, organizacje pozarządowe, czasopisma ideowe, jest kierunkowo czymś pożądanym. Jego przewaga nad różnymi wariantami Mono-Polaka polega na tym, że akceptuje pluralizm oraz konflikt różnych tożsamości/narracji/tradycji i nie próbuje z góry narzucać jednej uniwersalnej wizji polskości: wziętej z historii (monoetniczność), odkrytej w „pamięci Boga” lub wykoncypowanej jako platońska idea. Mono-Polak realizowany w praktyce mógłby się skończyć po prostu zastąpieniem liberalnej hegemonii, o której pisała Mouffe, hegemonią jednej z esencjalnych koncepcji polskości, która swój partykularyzm chowała by pod płaszczykiem rzekomej uniwersalności, odkrycia „idei polskiej”, „najlepszego sposobu istnienia” etc. Zamiast tego proponuję dynamiczny spór różnych projektów normatywnych, różnych wizji dobrego życia, wynikających z różnej antropologii, tradycji politycznej, rozumienia roli państwa etc.

POLSKOŚĆ TO WSPÓLNOTA ZMAGANIA SIĘ Z LOSEM

Taka wizja wielo-polskiego, agonicznego narodu politycznego wymagałaby oczywiście dostosowania do jej funkcjonowania systemu politycznego i jego instytucji. Na ten moment nie wiem nawet, w którą stronę ta transformacja powinna pójść, aby model agoniczny można było zastosować. Tak samo przemyślenia wymaga proces stworzenia inkluzywnego uniwersum symbolicznego. To dopiero wyzwania na nadchodzącą przyszłość.

Na pierwszy rzut oka projekt Wielo-Polski może wydawać się mało ambitny, treściowo pusty, pozbawiony jakiegś głębszej esencji. Takie „sformalizowanie” polityczno-agonistycznej wizji polskości było zabiegiem celowym. Naród i państwo narodowe to bowiem byty przygodne i historyczne, zmienne

aktualizacje naszego gatunkowego pędu do życia we wspólnocie, co wynika z ludzkiej natury istot relacyjnych, które człowieczeństwo w pełni realizują dopiero w otwarciu na Drugiego (nie zgadzacie się? Zapraszam do agonicznego sporu!). Stąd mocna rezerwa wobec absolutyzacji polskości jako wartości nadrzędnej (Ruch Narodowy), podejrzanego sakralizowania i „oprzymiotnikowania” polskości (Tomasz Rowiński), czy szukania w platońskiej idei polskości poczucia egzystencjalnego sensu i substytutu niemierności (Jarosław Marek Rymkiewicz).

W zamian proponuję wizję polskości jako historycznie osadzonego zmagania się z losem, a Wielo-Polskę jako polityczną i agoniczną wspólnotę, w ramach której z tym losem się zmagamy, za pośrednictwem której „krząamy się w historii” i próbujemy realizować określoną wizję dobrego życia. A że Polaków jest dużo i Polska jest duża, to ten pluralizm generuje konieczność sporów, wymaga formalizmu, nie esencjalizmu i ciągłego odkrywania istoty polskości i istoty Polaków. Jednocześnie nie oznacza to pójścia w stronę republikańskiego aktywizmu i przekonania rodem z pism Hannah Arendt, że człowiek spełnia się dopiero w działalności publicznej. Wielo-Polak można istnieć zarówno jako „człowiek prywatny”, jak i „człowiek” publiczny, bez wskazywania, która z form życia jest bardziej wartościowa. Wejście na polityczną agorę nie jest wymogiem koniecznym, aby stać się częścią polskości wielo-polskiej.

Projekt Wielo-Polski to projekt polskości egzystencjalnej, naszego wspólnego sposobu istnienia obok siebie-w-świecie, gdzie każdy ma własny pomysł, jak to niepowtarzalne życie przeżyć, stara się przekonać do niego innych i dogadać się z tymi, z którymi przyszło mu w ramach polskości żyć. Bądź po prostu żyje na terytorium Polski, jako jeden z Wielo-Polaków.

Piotr Kaszczyszyn

Redaktor naczelny czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellon-ski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego. Doktorant w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Cztery opowieści o pogmatwanej tożsamości

Wielostopniowa polskość mieszkańców I Rzeczypospolitej.
Postnarodowa, techno-tożsamość obywateli państwa Google'a.
Republikańska dusza współczesnych Polaków. Znikająca tożsamość
chłopskiego świata. W dziale snujemy opowieść o tym, co było, co jest
i co nadchodzi.

Hybrydalna polskość w I Rzeczypospolitej

Kamil Wons

Tożsamość staropolska – w przeciwieństwie do współczesnej „polskości po Jalcie” – była złożona, hybrydalna i wielostopniowa. W jej obrębie przenikały się, łączyły i układały hierarchiczne wymiary polityczne, stanowe, etniczne, regionalne oraz religijne. Co więcej, w zależności od kontekstu sytuacyjnego ta sama osoba mogła być nazywana (lub sama będzie się tak określać) Polakiem, Litwinem czy Żmudzinem.

Z perspektywy współczesnego państwa narodowego i jego co do zasady unitarnej tożsamości narodowej ta złożona tożsamościowa konstrukcja może wydawać się czymś zbyt skomplikowanym, a nawet nielogicznym. Jednak dla naszych przodków była rzeczą całkiem naturalną, co nie znaczy, że bezproblemową.

Przytoczmy choćby słowa Jana Dymitra Solikowskiego wypowiedziane podczas pierwszej wolnej elekcji w 1573 r., już po zawarciu Unii Lubelskiej i powstaniu Rzeczypospolitej Obojga Narodów (RON): „Gdy w jednej Rzeczypospolitej i w królestwie wspólnym siedzi Polak, Litwin, Prusak, Rusak, Mazur, Żmudzin, Infant, Podlaszczanin, Wołyńczyk, Kijowianin,

żadnej drogi nie widzę, aby ze swojego narodu pana obrać mogli”. To ile w końcu było tych narodów? Kijowianin to nie Rusin? Żmudzin nie Litwin, a Mazur nie Polak?

1. POLSKOŚĆ TERYTORIALNO-PAŃSTWOWA

Na najbardziej podstawowym poziomie i jednocześnie w najszerszym znaczeniu Polak to ktoś pochodzący z Polski. Mamy więc tutaj do czynienia z perspektywą międzynarodową, spojrzeniem kogoś z zewnątrz. W konsekwencji Polak jest rozumiany przez pryzmat przynależności państwowej i terytorialnej.

Teraz jednak trzeba się zastanowić do jakiego konkretnie tworu politycznego odsyłał nas termin „Polska”, bo nie było to wcale takie oczywiste. Pierwotnie chodziło o, pieczętowane orłem białym, ziemie Regnum Poloniae (czyli Wielkopolskę, Małopolskę, Śląsk, Mazowsze i Kujawy), a korzenie takiego rozumienia sięgały jeszcze czasów pierwszych Piastów. Jednak wraz z postępującymi zmianami politycznymi, związanymi przede wszystkim z rozbiem dzielnicowym i jego przezwyciężeniem, zaczęło ono ewoluować, zawężając się do Małopolski i Wielkopolski, aby następnie (ok. XV w.) rozszerzyć się na całość ziem Królestwa Polski. Następnie już w XVII w. znajdujemy w źródłach przypadki określania całości terytorium RON mianem Polski.

2. POLSKOŚĆ STANOWO-POLITYCZNA

Kim konkretnie był ten oglądany z zagranicznej perspektywy Polak, mieszkaniec Polski? Był przede wszystkim szlachcicem. To właśnie wymiar stanowo-polityczny znajdował się na najwyższym szczeblu staropolskiej tożsamości proto-narodowej. W 1553 r. Stanisław Orzechowski pisał: „Wolność polska jest tak właściwa rodzajowi i imieniu waszemu i tak wielka, że wolność innych narodów w porównaniu z nią byłaby niewolą. Słodczą tej wolności i podziwem dla niej pociągnięte liczne prowincje bardziej niż orężem, dały się przyłączyć do Waszego państwa”. Z tego krótkiego cytatu możemy wyciągnąć dwa kluczowe elementy dla tożsamości szlacheckiej: stanowe przywileje oraz system polityczny. Połączone razem budowały identyfikację i poczucie uczestnictwa w najszerzej rozumianej polskości, czyli polskim narodzie politycznym.

Stanowy charakter tej tożsamości sprawiał jednocześnie, że była ona mocno ekskluzywna. Nie było w niej miejsca dla mieszczan i chłopów. Część mieszczan identyfikowała się jednak z Polską rozumianą jako wspólnota terytorialno-państwowa.

3. POLSKOŚĆ PODZIELONA USTROJOWO

Dalsze komplikacje przebiegały już wewnątrz tożsamości szlacheckiej. Na podstawowym poziomie chodziło o ustrojowo motywowany podział na „koroniarzy” i Litwinów, który powstał po zawarciu

Unii w Krewie w 1385 r. i został wzmocniony blisko 200 lat później po zawarciu Unii Lubelskiej w 1569 r. Federacyjna struktura państwa budowała wspólną tożsamość wśród szlachty polskiej i litewskiej. Identyfikacja jako „koroniarz” (osoba mieszkająca na terytorium Królestwa Polskiego) lub Litwin była wtórna wobec tożsamości osadzonej na poziomie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Co nie znaczy, że obywało się bez konfliktów. Spór toczył się o rozumienie tekstu Unii w Krewie. Według mieszkańców Królestwa Polskiego *passus* „Terras suas Litvaniae et Russiae coronae regni Poloniae perpetuo applicare” oznaczał wieczyste włączenie ziem Litwy i Rusi do Korony Polskiej, podczas gdy Litwini tłumaczyli łacińskie „applicare” jako „związanie”. Ten spór interpretacyjny trwał aż do upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów i przekładał się na poziomie tożsamościowym na walkę o symboliczne uznanie i kwestię równości obu podmiotów federacji.

Co ciekawe, to zazwyczaj litewscy władcy, przy wsparciu „koroniarzy”, zacieśniali ten związek. Było tak w czasie konfliktu Jagiełły z Witoldem (kiedy król nominował Polaków z Korony na namiestników na Litwie), podczas negocjacji Unii Lubelskiej (kiedy to Zygmunt II August, w odpowiedzi na bojkot rokowań przez Litwinów, anektował Ukrainę do Królestwa Polskiego, co było jawną groźbą całkowitego włączenia Litwy do Polski) czy pod koniec istnienia Rzeczypospolitej, kiedy za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego (wywodzącego się z litewskiego rodu) uchwalono tzw. Zaręczenie Wzajemne Obojga Narodów, jeden z aktów wykonawczych do Konstytucji 3 Maja, zacieśniający unię pomiędzy Polską a Litwą.

Tę złożoną polsko-litewską tożsamość doskonale oddają słowa zaczerpnięte z manifestu Rady Najwyższej Rządowej Litewskiej ogłoszonego 22 maja 1794 roku: „Obywatele! (...) Bóg Wszechmogący wyzwalając Naród Polski z okrutnego jarzma niewoli, uczynił ziemię krakowską kolebką nowej wolności Polaków i oto zesłał na tą świętą ziemię naszego rodaka obywatela Litwy (...) Człowiek ten (...) przesączył podmuch swej odwagi do ducha walecznych Litwinów. Jemu zawdzięczamy naszą Ojczyznę. Jemu zawdzięczamy odzyskanie naszej sławy Polaków”.

4. POLSKOŚĆ WIELOETNICZNA I MULTIREGIONALNA

Mobilność terytorialna oraz istnienie wielu ponadregionalnych i ogólnokrajowych form kontaktów w ramach szlacheckiego, politycznie rozumianego narodu (takich jak Sejm, sejmiki, trybunały, kontakty gospodarcze czy wreszcie wyprawy wojenne) z jednej strony wzmocniały tendencje unifikacyjne wewnątrz państwa, z drugiej jednak uwypuklały realnie istniejące różnice etniczne i regionalne. Dlatego poniżej poziomu tożsamości stanowo-politycznej istniały identyfikacje o charakterze etniczno-regionalnym. W I RP można było być Polakiem (mieszkańcem Królestwa Polskiego) lub Polakiem-Litwinem, ale jednocześnie czuć dumę i odrębność z powodu swojego ruskiego, pruskiego, niderlandzkiego, czy kijowskiego pochodzenia. Tożsamość nadrzędna (państwowa i polityczna) nie znosiła w żaden sposób poczucia przynależności do wspólnot o odmiennym charakterze. Żeby było jeszcze ciekawiej, te lokalne tożsamości również podlegały skalowaniu, np. szlachcic spod Kijowa na sejmie w Warszawie był Rusinem, ale już na Podolu mógł być uznawany za Kijowianina. Na tym ta tożsamościowa drabinka się nie kończyła. Poniżej tożsamości stanowo-politycznej (naród polityczny szlachciców), podziału ustrojowego na „kroniarzy” i Litwinów oraz różnic etniczno-regionalnych

mieliśmy jeszcze identyfikacje z konkretnym województwem, ziemią czy rodem.

5. POLSKOŚĆ MULTIKULTUROWA

Na końcu pozostaje jeszcze kwestia kultury i języka. Za przyjęciem politycznej identyfikacji z polskością szło oddziaływanie kulturalne. Od tak podstawowego poziomu jak znajomość języka polskiego, poprzez uczestnictwo w sejmach oraz ogólnokrajowym obiegu politycznym i informacyjnym, aż po nasiąkanie kulturą poprzez kontakty towarzyskie. Kwestie kulturowe podlegały takiej samej hierarchizacji jak pozostałe elementy tożsamości staropolskiej. Dlatego choćby nieznanostwo języka polskiego nie wykluczała ze szlacheckości czy polskości, była traktowana raczej jako brak ogłady (mówienie „po chłopsku”).

Dzisiaj spojrzenie na czasy I Rzeczypospolitej kończy się najczęściej obrazkiem wąsatych szlachciców. Tymczasem hybrydalna tożsamość staropolska oglądana z perspektywy współczesnej, pojałtańskiej i monoetnicznej Polski musi jawić się jak coś egzotycznego. Jednocześnie inspirującego, patrząc na nadchodzące migracyjne zmiany i wynikające stąd potencjalne modyfikacje w obrębie „polskości po Jałcie”.

Kamil Wons

Członek kolegium redakcyjnego „Pressji”, stały autor portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Techno-polis pod zarządem Google'a

Rafał Gawlikowski, Piotr Kaszczyszyn

Innowacyjne techno-polis z oświeconą władzą korpo-(za)rządu, w którym nie ma podziałów prawica/lewica? Projekt państwa skierowanego głównie do kreatywnej klasy średniej, gdzie system socjalny i emerytalny nie spędzają nam snu z powiek? Kraj z nową postnarodową techno-tożsamością jego obywateli? Zapraszamy do nowej „Rzeczpospolitej Cyfrowej”.

Nasze rozważania o hipotetycznym państwie Google'a zaczniemy od dwóch wydarzeń.

Pod koniec 2017 r. BBC poinformowało, że na nadbrzeżu Toronto powstaje miasto przyszłości budowane przez spółkę córkę Google'a, Alphabet. Jest to konglomerat i holding, który w portfolio ma liczne przedsiębiorstwa z zakresu m.in. nauk biologicznych i nowych technologii. W roku 2017 spółka osiągnęła 110 mld dolarów dochodów, a zatrudnia blisko 90 tys. pracowników.

Projekt Sidewalk Toronto ma zajmować obszar blisko 49 tys. m². Na początek twórcy proponują szybkie

i dostępne dla każdego Wi-Fi oraz stworzenie rozbudowanej sieci milionów czujników, które mają stworzyć pierwsze w historii miasto oparte na technologii Internetu rzeczy. Sidewalk Toronto ma być zasilane zrównoważoną energią z odnawialnych źródeł, a na ulicach zobaczymy autonomiczne samochody.

Projekt spotkał się z poparciem samego premiera Kanady Justina Trudeau. „Te technologie pomogą nam budować inteligentniejsze, bardziej przyjazne środowisku miasta. Mamy nadzieję zobaczyć takie miasta na całym wschodnim wybrzeżu Toronto i w końcu w innych częściach Kanady i na całym świecie” - stwierdził polityk. Sprawa skomplikowała

się kilka miesięcy później. Wiceprezydent Toronto w wywiadzie dla BBC powiedział, że właściwie nie są znane korzyści dla miasta wynikające z inwestycji, a mieszkańcy Toronto nie wiedzą, jaki będzie ostateczny kształt projektu. Danem Doctoroff, dyrektor naczelny laboratorium Sidewalk Labs, przyznał w rozmowie z BBC, że plany nie są wystarczająco konsultowane z lokalną społecznością, ale nie wskazał, jakie działania firma chce podjąć w przyszłości, aby ten stan rzeczy zmienić.

Sprawa druga. Miesiące wakacyjne 2018 r. Komisja Europejska zdecydowała nałożyć na Google karę w wysokości 4,34 mld euro, co stanowi rekord w historii postępowań antymonopolowych. Amerykańskiemu gigantowi dostało się za wyposażanie fabryczne urządzeń z systemem Android w wyszukiwarkę Google. Zdaniem europejskich decydentów było to działanie o charakterze monopolistycznym, prowadzącym do wytworzenia wśród odbiorców wrażenia, że to właśnie wyszukiwarka Google'a jest właściwą „bramą” do Internetu jako takiego. Ta sytuacja jest tylko przykładowym zobrazowaniem rosnących napięć na linii transnarodowe korporacje a władza polityczna.

Oba te wydarzenia wskazują potencjalny kierunek, w jakim mogą podążać globalni giganci, tacy jak Google, w świecie coraz mocniej cyfrowego i opartego o przetwarzanie informacji kapitalizmu. Jak więc mogłoby wyglądać hipotetyczne państwo Google'a?

TERYTORIUM, LUDNOŚĆ, WŁADZA

Punktem wyjścia musiałyby być porozumienie z władzami lokalnymi/państwowymi, jak w przykładzie z Sidewalk Toronto, w ramach którego technologiczny gigant nabywa w formie dzierżawy/własności ziemię. W końcu nie ma państwa bez terytorium. Biorąc pod uwagę powszechną tendencję wśród transnarodowych gigantów do minimalizacji obciążeń podatkowych, to porozumienie, jak i sam początek budowy państwa Google'a przybrałby znaną nam formę tworzenia czegoś na kształt specjalnej strefy ekonomicznej/parku technologicznego. Tyle że na sterydach. Kluczem nie byłyby tylko niskie podatki płacone przez korporację, ale wywalczenie

możliwości zatrzymania jak największej ich części na poziomie lokalnym, dla dalszego wydatkowania przez samo państwo Google'a. W ten sposób niepostrzeżenie nowy twór zacząłby funkcjonować już bardziej jako nowatorska jednostka terytorialna, w ramach państwa-gospodarza.

Drugi z podstawowych atrybutów państwa to ludność. „Rzeczpospolita Cyfrowa” działałaby na zasadzie swoistego „drenażu mózgów-obywateli” (taką politykę migracyjną prowadzi już choćby Australia). Nieprzypadkowo w tej kolejności. Kluczem byłoby bowiem ściąganie do państwa, jak najlepiej wykształconych ludzi, młodych, 30- i 40-latków, specjalistów w zakresie nowych technologii. Państwo Google'a byłoby więc specyficznym multikulturowym krajem kreatywnej klasy średniej i klasy wyższej, rekrutującej się spośród właścicieli przedsiębiorstw i kadry zarządczej korporacji.

Takie założenie bezpośrednio łączy się z ostatnim z elementów państwowości – władzą. Nowy kraj Google'a byłby techno-polis, państwem-miastem, gdzie władza znajdowałaby się nie w rękach polityków, lecz technokratów. Byłby to kraj korporacyjny, dysponujący nie rządem, lecz zarządem. Co byłoby realizacją już dzisiaj istniejących liberalnych pomysłów na polityczną władzę technokratów i ekspertów. Czy doczekalibyśmy się jakiejś formy demokracji partycypacyjnej albo chociaż klasycznych wyborów? Niekoniecznie. Raczej byłby to model oświeconej techno-no właśnie czego? Bo przecież nie dyktatury. Albo może i dyktatury, ale specyficznej, opartej na dobrowolnej zgodzie przyjeżdżających do państwa mózgów-obywateli, którzy godzą się na życie w kraju pozbawionym politycznego sporu, partii i podziału prawica/lewica. Klasyczna, liberalna idea społeczeństwa kontraktualnego zaadoptowana do nowej rzeczywistości.

PAŃSTWO JEDNEJ KLASY I TOŻSAMOŚĆ POSTNARODOWA

System gospodarczy nowego państwa bazowałby na szeregu rozwiązań z zakresu nowych technologii: waluta stworzona w oparciu o technologię blockchain, rozwinięty system ekonomii współdzielenia, Internet rzeczy wdrożony na szeroką skalę,

autonomiczny transport publiczny, dalsze innowacje związane z robotyzacją, automatyzacją usług czy sztuczną inteligencją. Państwo Google'a byłoby eksperymentem technologiczno-społecznym, testującym nowe rozwiązania technologiczne i adaptującym je do bieżącego funkcjonowania społeczeństwa.

Sama struktura społeczna również byłaby mocno eksperymentalna. Mielibyśmy bowiem do czynienia z państwem z założenia raczej monoklasowym, z wiodącą rolą klasy średniej i wyższej. Taki model eliminowałby konieczność utrzymywania kosztownego systemu socjalnego i emerytalnego. Jednocześnie „Rzeczpospolita Cyfrowa” skupiona na drenażu mózgów-obywateli promowałaby coś na kształt państwa pracy (*workfare state*). Co w praktyce oznacza, że obywatelstwo Google'a mogliby dostać tylko ci, którzy mają już zagwarantowaną pracę w jednej z firm działających w nowym kraju. Pewną proteżą dla systemu zabezpieczenia społecznego mógłby być za to wprowadzony na szeroką skalę akcjonariat pracowniczy, gdzie dywidendy z zysków firmy uzupełniałyby tradycyjne wynagrodzenie.

Istniałaby też alternatywa dla osób niespełniających wyśrubowanych kryteriów zawodowych. Druga obok mózgów-obywateli kategoria ciał-obywateli. W praktyce byłaby to wariacja Agambenowskiej biopolityki, funkcjonująca jako bio-techno-polityka, w ramach której nasze ciała poddawane by były różnego rodzaju eksperymentom na potrzeby rozwoju nowych technologii, sztucznej inteligencji, biotechnologii, nauk neurobiologicznych etc. A nagroda?

Otwarty dostęp do rozrywek na najnowszym poziomie zapewnianych przez wysoko rozwiniętą technologię VR. Ewentualnie jeszcze coś na kształt dochodu gwarantowanego.

Te wszystkie rozwiązania skutkowałyby prawdopodobnie jeszcze jedną zmianą – na poziomie tożsamości. Z jednej strony państwo Google'a podważałoby model klasycznego państwa narodowego, pokazując realną alternatywę, nowy model organizacji naszego jednostkowego i zbiorowego życia. Z drugiej tworzyłoby wśród swoich mieszkańców nową, postnarodową tożsamość, gdzie autoidentyfikacja jednostki wiązałyby się ze światem wirtualnym i życiem w ramach techno-polis, a nie klasycznym uniwersum symbolicznym narodu i państwa.

UTOPIA NIE BEZ PODSTAW

To wszystko brzmi jak *political fiction*? Być może, ale nie jest to scenariusz wyssany z palca. Raczej zabawa w prognozowanie i budowanie konstrukcji na bazie już realnie występujących trendów: rosnącego znaczenia transnarodowych korporacji kosztem państw narodowych, poszukiwania rajów podatkowych, budowania załączków globalnej, postnarodowej, techno-tożsamości, neomediewalnych trendów wskazujących na wzrost znaczenia światowych metropolii, które zaczynają wyglądać coraz mocniej jak średniowieczne państwa-miasta. Państwo Google'a to oczywiście myślowy eksperyment. Ale stojące za nim założenia nie są pozbawione prawdopodobieństwa.

Rafał Gawlikowski

Stały współpracownik czasopisma idei „Pressje”. Dyrektor ds. komunikacji Klubu Jagiellońskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Piotr Kaszczyszyn

Redaktor naczelny czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellon-
ski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego. Doktorant w Instytucie Nauk Politycz-
nych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Republikański flirt z nowoczesnością

Konstanty Pilawa

Poprzedni rok przyniósł co najmniej dwie przesłanki, które nie pozwalają schować ideału samorządnej republiki do szafy. Po pierwsze, poznaliśmy wyniki badań socjologicznych, które w pewnym stopniu potwierdzają trwanie genów republikańskich wśród polskiego społeczeństwa. Po drugie, zgłoszono co najmniej kilka propozycji konkretnych reform, które – mniej lub bardziej świadomie – korzystają z republikańskiego imaginarium. Na drodze do politycznej sprawczości stoi jednak widmo anachronizmu. Czy rozwiązaniem może okazać się republikanizm pojęty w ramach mitu politycznego?

POLSKIE SPOŁECZEŃSTWO POD LUPĄ SOCJOLOGA

W czwartą dekadę III RP wkraczamy ze świadomością wewnętrznego rozdarcia doświadczanego przez polskie społeczeństwo. I bynajmniej nie chodzi tu o wojnę plemienną wśród wierchuszki życia politycznego, ale o coś więcej. Idzie tutaj o dane ukryte pod warstwą banalnych już dzisiaj spostrzeżeń publicystycznych. Dzięki Zbigniewowi Rauowi, Katarzynie Staszyńskiej, Maciejowi Chmielińskie-

mu oraz Krzysztofowi Zagórskiemu poznaliśmy „doktrynę Polaków”, rozpatrywaną w kategoriach filozofii politycznej, a wyprowadzoną w oparciu o wyniki badań empirycznych, przeprowadzonych na reprezentatywnej próbie polskich obywateli. Wnioski z tej lektury, przy wszystkich pytaniach odnoszących się do metodologii, nie mogą napawać optymizmem. Polskim społeczeństwem rządzi chaos, narastająca frustracja i poczucie fasadowości życia politycznego.

Dla pełniejszego zrozumienia publikacji *Doktryna Polaków. Klasyczna filozofia polityczna w dyskursie potocznym* najlepiej posłużyć się metaforą ludzkiej psychiki, rozszerzając tę siatkę pojęciową na całe społeczeństwo. W takiej optyce Polacy w sferze samoświadomości reprezentowaliby poglądy charakterystyczne dla klasycznego liberalizmu spod znaku Thomasa Hobbesa, natomiast w sferze powinności i sumienia byłoby podobni raczej do klasycznych republikanów. Napięcie między samooceną a normatywną sferą powinności, wykazane na wielu, choć nie na wszystkich polach, stanowi źródło „zaburzenia” polskiego społeczeństwa. Jesteśmy liberałami o republikańskim sumieniu albo republikanami zanurzonymi w liberalnym świecie. Obu wariantów nie sposób ze sobą pogodzić. Różnice pojawiają się bowiem już na etapie konstytutywnych założeń. U Hobbesa – jednego z ojców liberalizmu – polityczność zaczyna się od woli zagrożonej jednostki, która poprzedza społeczeństwo skonstruowane na mocy umowy; u Arystotelesa natomiast – ojca klasycznego republikanizmu – kolejność jest odwrotna – to wspólnota polityczna uznana zostaje za pierwotną, jednostka zaś za wtórną i zależną od całości. W pewnym sensie więc obie doktryny nawzajem się wykluczają, co postaram się jeszcze wykazać w bardziej pogłębionej analizie, posługując się również wnioskami podpartymi materiałem empirycznym.

A teraz do rzeczy. We wspomnianych badaniach przeanalizowano stosunek Polaków do: relacji między człowiekiem a społeczeństwem, własności, władzy oraz państwa. Zgodnie z nakazami metodologii badanie zostało przeprowadzone w trzech zasadniczych krokach. Najpierw dokonano wyboru i zdefiniowano wybrane kategorie z zakresu filozofii politycznej występujące w obrębie kilku doktryn politycznych; następnie przeprowadzono jakościowe badanie w postaci standaryzowanych wywiadów grupowych, aby ustalić, jakie znaczenie tym kategoriom przypisują sami badani. Na samym końcu zaś, posługując się wiedzą z pierwszych dwóch kroków, skonstruowano kwestionariusz ankiety. Dzięki współpracy z CBOS-em poznaliśmy odpowiedzi reprezentatywnej próby 934 osób, które magicznym prawem statystyki tworzą przekrojowy obraz poglądów całego polskiego społeczeństwa.

Dla większości Polaków rodzina, społeczność lokalna oraz – co bardzo charakterystyczne – cały naród uznane

są za wspólnoty naturalne, za pośrednictwem których kształtujemy swoje „ja”. Ponadto, naród uznany za najwyższą, ale i najbardziej abstrakcyjną kategorię, nie jest postrzegany jako efekt umowy czy politycznej presji instytucji. Mówiąc prościej, choć niemożliwe jest, aby ze wszystkimi Polakami utrzymywać indywidualne więzi, uważamy w większości, że naród jest nam po prostu dany od urodzenia jako „nasze miejsce na ziemi”. Polacy sądzą, że warunkiem sukcesu jest współpraca z innymi, którą również uznają za naturalną. Cokolwiek może to oznaczać w praktyce, deklarujemy poczucie wspólnoty przez dbanie o wspólne sprawy wszystkich obywateli. Większość uważa nawet, że „bycie Polakiem skłania, aby dbać o wspólne dobro” (tab. 1) oraz że „ludzie spełniają się, kiedy mogą coś zrobić dla swojej małej ojczyzny” (tab. 1). Dla większości polskiego społeczeństwa jednostka jest wtórna wobec trzech naturalnych wspólnot: rodziny, wspólnoty lokalnej oraz narodu. Te trzy kategorie stanowią pierwotne źródła światopoglądu oraz indywidualnych rozstrzygnięć aksjologicznych.

Gdy jednak pytano o konkretne postawy, umieszczając jednostkę w centrum namysłu, te fundamentalne rozstrzygnięcia arystotelesowskiej *Polityki* (1252a) spotykały się zwykle z oporem poglądów o bardziej nowożytniej proveniencji. Polacy uważają się bowiem za społeczeństwo egoistyczne i zazdrosne z wyraźnym deficytem zaufania do bliźnich (tab. 2). Przykładowo, najwięcej ankietowanych odpowiadało twierdząc na takie pytania, jak: „Czy ludzie nie troszczą się o siebie nawzajem?”, „Czy w naszym społeczeństwie można polegać tylko na sobie?” oraz „Czy dla kariery ludzie są gotowi poświęcić rodzinę?” (tab. 2). Polacy dosyć często narzekają na dominację egoizmu: „W tej chwili wszystko ukierunkowane jest na »ja«, liczę się tylko »ja«, [wszystko inne jest] nieważne”. Większość respondentów twierdzi również, że „ludziom nie chce się pomagać innym” (tab 2.).

Podobną tendencję można zauważyć wśród odpowiedzi na pytania związane z kwestiami własności. Co ciekawe, choć własność prywatna uważana jest za naturalną, to jednak zdecydowana większość Polaków sądzi, że na wielu płaszczyznach należy ją ograniczać dla wspólnego dobra, bowiem zbyt daleko posunięta prywatyzacja prowadzi do niszczenia społecznych więzi. Zastanawiające jest również to,

(Tabela 1. Uniwersum Arystotelesowskie)

Zdania poddawane ocenie przez ankietowanych	Dane wyrażone w procentach
Bycie Polakiem skłania do tego, żeby dbać o wspólne sprawy.	Tak: 65,7; Nie: 11,6
Ludzie się spełniają, kiedy mogą coś zrobić dla swojej małej ojczyzny.	Tak: 72,4; Nie: 9,1
Władza powinna działać dla dobra ludzi, a nie instytucji.	Tak: 76,7; Nie: 4,1
Władza powinna dbać o wszystkich, a nie tylko o niektórych.	Tak: 83,8; Nie: 4,2
Poczucie wspólnoty z innymi świadczy o tym, że człowiek przynależy do narodu.	Tak: 88,8 ; Nie: 2,2

Wszystkie dane pochodzą z badań zawartych w cytowanej publikacji

(Tabela 2. Uniwersum Hobbesowskie)

Zdania poddawane ocenie przez ankietowanych.	Dane wyrażone w procentach
W naszym społeczeństwie można polegać tylko na sobie.	Tak: 44,5; Nie: 27,4
Ludzie starają się zdobyć jak najwięcej, nie oglądając się na innych.	Tak: 64,3; Nie: 8,7
Gdyby nie było władzy, wszyscy walczyliby ze sobą.	Tak: 68,5; Nie: 9,6
Ludzie nie troszczą się o siebie nawzajem.	Tak: 70,0; Nie: 1,1
Ludziom zależy na tym, żeby mieć więcej niż inni.	Tak: 75,5; Nie: 7,7
Rośnie konkurencja między ludźmi.	Tak: 77,9; Nie: 5,0
Gdyby nie było władzy, każdy ciągnąłby w swoją stronę.	Tak: 90,3; Nie: 2,6

Wszystkie dane pochodzą z badań zawartych w cytowanej publikacji

że Polacy bardzo szeroko definiują obszary, które powinny należeć do sfery publicznej. Co więcej, większość z nas uważa, że prywatyzacja w Polsce zaszła za daleko i należy dokonać starań, aby ten niesprawiedliwy stan rzeczy zmienić. Szpitale, poligony, zasoby surowców naturalnych, kopalnie i inne strategiczne dla gospodarki sektory powinny należeć do państwa. Tak samo jak rzeki, jeziora oraz lasy.

Jednak, z drugiej strony, Polacy uważają, że „rośnie konkurencja między ludźmi” (tab. 2) oraz że „ludzie

za wszelką cenę starają się zdobyć jak najwięcej, nie oglądając się na innych” (tamże). Łatwo można zauważyć spójność danych dotyczących własności z wyżej przywołanymi poglądami na relację między jednostką a społeczeństwem.

Trzecia grupa poglądów dotyczy szeroko pojętej władzy oraz państwa. W świetle uzyskanych odpowiedzi do najważniejszych zadań rządzących należy wyrażanie obiektywnego interesu wspólnoty, zawsze powinni oni bowiem „dbać o wszystkich,

a nie tylko o niektórych” (tab. 1). Polacy deklarują też negatywny stosunek do biurokracji i twierdzą, że ogólnie pojęta władza na każdym szczeblu ma działać „dla dobra ludzi, a nie instytucji” (tab. 1). W ogromnej większości uważamy również, że każde, nawet najlepsze rządy, muszą posiadać jasno wytyczone granice. Polskie społeczeństwo wysoko ceni swobodę wyrażania poglądów, nawet jeśli jakieś przekonania byłyby sprzeczne ze zdaniem większości (tab. 1). Ponadto duża część ankietowanych postrzega ingerencję ze strony państwa w kategoriach kroku ostatecznego i tylko w sytuacji, gdy obywatele nie są w stanie sami sobie poradzić. Co ciekawe, w zależności od perspektywy pogląd ten może zostać zinterpretowany w kluczu zarówno liberalnym (wolności od ingerencji państwa w życie prywatne obywatela), jak i republikańskim (wolności od ingerencji w przypadku, gdy obywatel może samodzielnie działać na rzecz wspólnoty).

Grupa poglądów prowsólnotowych i tym razem napotyka opór. Władza uznawana jest nie tylko za naturalną instancję porządkującą rzeczywistość; większość Polaków sądzi, że „gdyby nie było władzy, wszyscy walczyliby ze sobą” (tab. 2) oraz „każdy ciągnąłby w swoją stronę” (tab. 2.).

Według autorów publikacji z zebranego materiału empirycznego można wyciągnąć dwa zasadnicze wnioski. Pierwszy dotyczy fundamentalnej tezy, iż naród, państwo, władza czy społeczeństwo nie powstają drogą konwencji oraz umowy, lecz są w pełni naturalne. Po drugie, poglądy Polaków w dużym stopniu charakteryzują się eklektyzmem, mieszcząc w sobie przekonania bliskie konserwatyzmowi, republikańskiemu, ale również socjalizmowi oraz liberalizmowi. Przy całym szacunku dla ogromnego wysiłku autorów, trzeba przyznać, że jak na wyniki kilkuletnich badań, wnioski te nie wyglądają zbyt imponująco. W niewątpliwie dla mnie kwestii, a więc widocznym napięciu między egoizmem społeczeństwa a republikaństwem wyrażanym często wyłącznie w sferze powinności, konkluzja również brzmi mało przekonująco: „Synteza doświadczenia respondentów sprowadza się zatem do takiego ujęcia ludzkiej natury, którą Immanuel Kant określał jako aspołeczną towarzyskość, (...) człowiek jest go-

tów do harmonijnej współpracy, zgodnej z etosem wspólnoty, a kiedy indziej kieruje się wyłącznie egoizmem i ekonomiczną kalkulacją”.

Można pokusić się jednak o bardziej wyostrożoną analizę, jednocześnie nie przecząc tym minimalistycznym konkluzjom. Wnioski płynące z lektury cytowanej pracy są bowiem logiczną konsekwencją uprzednio przyjętych definicji klasycznych doktryn. Dla nas kluczowe będzie doprecyzowanie, czym jest republikaństwo, rozszerzając tym samym pole ideowej konfrontacji z liberalizmem, opisane pokrótce na początku.

NOWOCZEŚNI IDIOTES VS ANTYCZNI POLITES

Zespół autorów publikacji, motywowany potrzebą syntezy, zdefiniował republikaństwo w oparciu o kilka kryteriów. Za ideę przewodnią zostało uznane dobro publiczne, rozumiane jako „wyrażanie zbieżności interesu wspólnoty politycznej” tworzonej przez wolnych i równych ludzi. Podkreślono również wagę zaangażowania jednostki w życie polityczne oraz rolę państwa, które ma stanowić instytucjonalizację wspólnego interesu. Za Dorotą Pietrzyk-Reeves można jednak wskazać, że republikaństwo definiowane w ten sposób odnosi się raczej do późnych implementacji tej tradycji w czasach nowożytnych (poczynając od Machiavellego).

Dla ojców republikaństwa, a więc Arystotelesa oraz Cyserona, polityczne uniwersum tworzą: wspólnota polityczna – a nie państwo, obywatel – a nie jednostka, wolność polityczna – a nie wolność negatywna. Dzięki tym trzem parom przeciwstawnych założeń można pokazać fundamentalne różnice między arystotelesowsko-cyseroniańskim republikaństwem a liberalizmem w jego klasycznej wersji.

Po pierwsze, termin „wspólnota polityczna”, często redukowany do kategorii normatywnej (moralna gromada ludzi połączonych podobnym sposobem życia), unieważnia nowożytny podział na społeczeństwo oraz państwo będące osobnym bytem instytucjonalnym. W republice obywatele powierzają władzę, ale jej nie przekazują. Polityka pojmowana jest na sposób integralny, nie ma tutaj miejsca na

podział rządzący – poddani. Drogą dygresji można dodać, że nadrzędną kategorią filozofii politycznej również przez całe średniowiecze była *res publica*. Najprawdopodobniej termin „państwo”, w obowiązującym dziś znaczeniu, został użyty po raz pierwszy dopiero przez Machiavellego (*lo stato*).

Po drugie, jak sugerowała Hanna Arendt, starożytni w ogóle nie posiadali naszego rozumienia jednostki czy osoby. Grecy zwykli dzielić ludzi na dwie kategorie: *polites* – obywateli w pełni uczestniczących w życiu *polis*, oraz *idiotes* – ludzi prywatnych, dbających wyłącznie o swoje dobro, o których wypowiadali się pogardliwie. To właśnie owymi *idiotes* byłyby hobbesowskie jednostki, które przekazują część swojej wolności *Lewiatanowi* dla zagwarantowania sobie spokoju i bezpieczeństwa.

Po trzecie, wolność republikańska to nie *licentia* – wolność robienia tego, czego się chce. Republikańska *libertas* zakłada poskromienie własnych pragnień, wyciszenia, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, własnego „ja”, na rzecz sprawiedliwej współegzystencji z innymi obywatelami. Wolność tak pojmowana jest możliwa jedynie pod rządami prawa.

Nie da się więc pożenić republikanizmu z złożoną w liberalizmie antropologią, którą w największym stopniu określają indywidualizm oraz ideał samostanowienia. Dlatego nie można również przyklasnąć konstatacji Marcina Króla przekonującego kilka lat temu, że republikanizm „odgrywa rolę ważną jako korekta liberalizmu, istotna korekta niektórych liberalnych złudzeń – przede wszystkim zaś tego, że można administrować, nie uprawiając polityki”. Republikanizm pojęty na serio jest przewartościowaniem, a nie jedynie retuszem liberalizmu zaciągniętego do narożnika. Jeśli sprowadzimy tę tradycję jedynie do imperatywu zaangażowania w życie publiczne, to zrezygnujemy z realnego wpływu na politykę, kończąc na postulacie promocji społeczeństwa obywatelskiego. Argumentu tego w żaden sposób nie osłabia mnożenie różnych odmian liberalizmu, bowiem wszystkie warianty tej doktryny – nawet Rawlsowska teoria sprawiedliwości – ufundowane są na założeniu nadrzędności jednostki nad grupą ludzi.

REPUBLIKA SNÓW

Radykalne przeciwstawienie liberalizmu i republikanizmu przynosi jednak szereg wątpliwości, które – co należy z całą mocą podkreślić – nękają od wielu lat kilka środowisk intelektualnych w Polsce. Jak, na przykład, zrealizować republikański ideał w realiach globalizacji i demokracji liberalnej? Czy jest w ogóle sens pisać o republikanizmie w kraju, w którym media ogłaszają sukces, gdy frekwencja wyborcza przekroczy 50%? Jak, w mocno różnorodnych społeczeństwach, wypracować ideał wspólnego dobra?

Autor, który w krótkim eseju zechciałby udzielić przekonującej odpowiedzi na wszystkie te pytania popisałby się niechybnie nie tylko pychą, ale i naiwnością. Jednak można chyba wskazać kilka argumentów, które osłabiają moc powyższych wątpliwości.

Zarzut z anachronizmu tradycji republikańskiej wynika po części z postrzegania jej w naszym imaginarium politycznym. Republikanizm nie daje się bowiem definiować w ramach spójnej doktryny politycznej czy nawet neutralnie rozumianej ideologii (na wzór E. Heywooda). Stanowi raczej polityczny mit – opowieść, która nadaje sens przeszłości, a także – w co głęboko wierzę – może być motywacją i usprawiedliwieniem dla projektów konkretnych reform. Jak pisała Chantal Delsol: „Republika jest zatem ideałem polityczno-moralnym, podczas gdy demokracja – reżimem politycznym”. Ta cecha w zależności od kontekstu jest największą zaletą lub największą wadą tak pojętego republikanizmu. Korpus przekonań moralnych, jaki stoi za republikańskim mitem, bez dążenia do ich realizacji szybko staje się zbiorem pustych frazesów. Można wręcz fałszywie sądzić, że stajemy przed wyborem: albo hołdowania nieodpowiedzialnemu idealizmowi, albo likwidacji złudzeń i skupieniu uwagi na reformowaniu chorego państwa na poważnie. Wówczas odpowiedź jest jasna i często powtarzana, żeby przypomnieć tylko konkluzję Rafała Matyi z *Wyjścia awaryjnego*: „Republikanizm jest przepełniony nostalgią za państwem, które już nie wróci, za modelem, który w Polsce nigdy się nie zakorzenił i jest sprzeczny z realiami współczesnego państwa”. Jednak ten sam autor, w tej samej książce, na diagnozowane przez niego bolączki polskiej polityki wystawia republikańską

receptę, o czym na łamach naszego portalu pisałem krótko po opublikowaniu tej książki.

Intuicja, by współczesnego republikanizm postrzegać w kategoriach mitu politycznego, koresponduje z poglądami Claude'a Levi-Straussa wyłożonymi w *Mysli nieoswojonej*. Francuski antropolog kultury twierdził, że człowiek powodowany pierwotną potrzebą sensu tłumaczy rzeczywistość dzięki „narzędziom”, które w danym momencie ma pod ręką. Jest to aktywność nazywana potocznie w języku francuskim *bricolage*. To pojęcie, które nie ma dokładnego odpowiednika w języku polskim i najczęściej tłumaczone jest jako „majsterkowanie”. Mity obecne w życiu społecznym dające się opisać w ramach politycznego brikolażu, stanowią zestaw tego, w co dana społeczność wierzy i w jakich ideach pokłada najczęściej nadziei.

Nie mamy tutaj zatem do czynienia z pejoratywnym znaczeniem przypisywanym mitowi przez historyków czy badaczy nauk ścisłych, dla których mit to po prostu fałsz. Bliskie jest mi przekonanie, że współcześnie każdy światopogląd polityczny musi być ufundowany – mniej lub bardziej – na pozytywnie rozumianym micie. Skoro mit odpowiada na pierwotną dla człowieka potrzebę sensu, to również w działaniu politycznym nie sposób uciec od określenia *principiów*, które pozwalają nam odnajdywać się w społeczno-politycznej rzeczywistości. Różnorodność poglądów, tradycji oraz nieustannie zmieniających się warunków, w których kształtujemy swoje myślenie o polityce, wymusza na nas wiarę w pewien ograniczony korpus idei. Jest to szczególnie wyraźnie widoczne dzisiaj, kiedy mamy do czynienia z zanikiem istnienia partii klasowych na rzecz polityki skupionej wokół aglomeratu ograniczonej ilości haseł będących na ten moment efektem powszechnego *status quo*.

W Polsce na ten przykład zdecydowana większość obywateli i partii politycznych jest już przynajmniej częściowo proekologiczna; raczej nie wierzymy już także w czysty liberalizm, a więc podkreślamy regulatywną funkcję państwa oraz potrzebę finansowego wsparcia dla najuboższych. Dlatego to, co nas najbardziej odróżnia, uwidacznia się w formie mitu niedgdyś spójnych wizji i światopoglądów. Bo tak jak

liberałowie wierzą w moc indywidualizmu i samostanowienia, socjaliści w równość i sprawiedliwość społeczną, a konserwatyści w ład gwarantowany mądrością ojców, tak republikanie pokładają nadzieję w idei dobra wspólnego i wolności realizowanej najlepiej w działaniu publicznym. Mówiąc krócej, niemożliwa jest pełna demistyfikacja rozumu politycznego człowieka, każda demistyfikacja czyniona jest bowiem w imię innego mitu. Dlatego również demokracji liberalnej nie sposób od tej prawidłowości uwolnić.

Warto myśleć o republikanizmie jako o politycznym micie, ponieważ w prosty sposób neutralizujemy wówczas moc zarzutu anachronizmu. W takiej optyce republikanizm przestaje być postrzegany w roli może i atrakcyjnej, ale jednak niemożliwej do realizacji wizji. Naszym celem nie jest już bowiem implementacja całości tej tradycji, gdzie dzieła Cyserona i świadectwa kronik historycznych traktuje się jako podręcznik gotowych rozwiązań. Mit uwalnia z republikańskiej ortodoksji, dostarczając przestrzeni dla twórczej reinterpretacji, dostosowań, a w końcu przełamania sprzeczności między nowoczesnością a tradycją, o czym pisał chociażby Paweł Rojek w zakończeniu *Awangardowego konserwatyizmu*.

Trzeba wyrazić także wątpliwość, czy na drodze do ducha republikańskich reform potrzebujemy frekwencji rządu 70% lub 80%. Pojawia się też pytanie, jak ustalić kryterium liczbowe, które pozwoliłoby nam uznać, że „dorośliśmy” do miana społeczeństwa zaangażowanego w sprawy publiczne. Zbyt duże znaczenie zwykliśmy przypisywać również formalnie gwarantowanym prawom. Prawo jedynie potencjalne w republikańskim imaginarium – zgodnie z ideałem *vita activa* – stanowi „jedynie” konstytucyjny zapis. Nie znaczy to oczywiście podważania mocy prawa, a wręcz przeciwnie. Powaga zapisanego uprawnienia jest najwyższą zachętą, lecz gdy obywatel, rezygnując z głosowania, sam pozbawia się politycznej podmiotowości, pozostaje jedynie niespełnioną obietnicą.

Po trzecie, pluralizm stojący na drodze do realizacji wspólnego dobra jest tak samo powszechny, co nie-totalny. Oznacza to, że polityka powinna być nakierowana na te obszary, które da się wyłączyć z nie-

rozwiązywalnego sporu, który dziś często – dość buńczucznie i z pewną przesadą – nazywamy wojną kulturową. Skoro republikanizm oparty na klasycznych arystotelesowskich założeniach jest dzisiaj politycznym mitem, to zawsze wymagać będzie konkretyzacji w postaci reform opartych o analizę danej sytuacji. Czasy późnej nowoczesności nie są zresztą specjalnym wyjątkiem. Podobne mechanizmy implementacji potwierdzają spostrzeżenia poczynione przez wspomnianą Dorotę Pietrzyk-Reeves, która, dokonując porównania renesansowych republik włoskich z polską recepcją myśli republikańskiej w XVI wieku, zauważyła między tymi obszarami wyraźne różnice.

Podsumowując ten wątek oraz wyniki przedstawionych badań sędzę, że polityka republikańska w Polsce powinna być nakierowana dzisiaj na jeden cel: zredukowanie skali wyalienowania Polaków od państwa i polityki. Polacy nadal traktują państwo jako twór obcy i zewnętrzny wobec ich autentycznego życia. Jestem przekonany, że samo nawoływanie do praktykowania cnoty oraz skupianie uwagi na ideale wychowania w republikańskim duchu to za mało. W takiej sytuacji poprzestaniemy na moralitecie i narzekaniu na nowoczesność, która nie pasuje do naszego pięknego snu o szczęśliwej republice.

Mit, który wywołuje jedynie nostalgię za utraconą rzeczywistością rodem ze szlacheckiej gawędy, należałoby w całości odrzucić. Republikanizm to jednak coś więcej. To tradycja myślenia o polityce, która również dzisiaj może stanowić źródło inspiracji dla konkretnych reform. Słusznie jednak ktoś zauważył, że nawoływanie do reform republikańskich *implicitie* zakłada możliwość wprowadzenia republikanizmu niejako odgórnie. Proponowanie instytucjonalnych rozwiązań na rzecz radykalnej zmiany ram, w których funkcjonuje społeczeństwo, szczególnie na polskim gruncie, wydaje się wręcz anty-republikańskie. Przecież siłą samorządnej republiki są cnotliwi obywatele, którzy biorą odpowiedzialność za funkcjonowanie swojej wspólnoty. Przekreślenie tej podstawowej zasady może uchodzić za niepoprawne wchodzenie z „królami w alianse” (*Pieśń konfederatów* z I aktu *Księdza Marka* Juliusza Słowackiego). Proponuję jednak odwrócić tę logikę. Skoro społeczeństwo funkcjonuje w obrębie instytucji,

które można określić jako struktury kształtujące złe dyspozycje (lub bardziej konfesyjnie: struktury grzechu), to nigdy nie będziemy mogli skutecznie nawiązywać do tej tradycji, bo ludzie nie będą się „nadawać” na odpowiedzialnych obywateli. Myślę, że wyniki przywołanych badań potwierdzają, że Polacy bardzo często nie potrafią realizować działań, w które wierzą, ponieważ otoczenie instytucjonalne nie pozwala przekroczyć sfery powinności i wejść na obszar realnego funkcjonowania. Dlatego powinniśmy likwidować instytucje generujące egoizm jednostek, a w zamian za to wypracować wizję rozwiązań, które będą nas skłaniać ku pro-wspólnotowym dyspozycjom. Nie proponuję jednak żadnej rewolucji. Te rozwiązania, w których najmocniej widoczne są skutki przyjmowania liberalnej antropologii, powinny być stopniowo zastępowane przez propozycje wychodzące od antropologii relacyjnej.

GDZIE DWÓCH POLAKÓW TAM... HARMONIA I ZGODA

Przeprowadzone rozumowanie można zbyć prostym argumentem, który na szczęście tylko pozornie kończy dyskusję. Co z tego, że diagnoza alienacji Polaków od władzy i państwa zdradza wszelkie znamiona słuszności, skoro nie posiadamy klasy politycznej, która byłaby zdolna do przeprowadzenia niezbędnych reform, nie mamy przecież nawet pomysłu na zmianę politycznej rzeczywistości. Jednak w atmosferze powszechnego i nie zawsze uprawnionego defetyzmu wiele zdaje się nam umykać – co najmniej druga część poprzedniego zdania jest bowiem fałszywa.

Autorzy tak różni jak: Rafał Matyja, Bartłomiej Sienkiewicz, Jarosław Kuisz, a ze strony Klubu Jagiellońskiego – Michał Rzeczycki, na przestrzeni ubiegłego roku zaproponowali kilka inspirujących recept na naprawę dysfunkcyjnego *status quo*, a co najciekawsze wszyscy – mniej lub bardziej świadomie – korzystaliby z republikańskich ideałów.

Rafał Matyja we wspomnianym już *Wyjściu awaryjnym* na wady zbyt centralistycznie zarządzanego państwa proponuje utworzenie „think tanku Polska”. Struktura tej organizacji miałaby opierać się na sieci ośrodków badawczych rozlokowanych w całym kraju, które byłyby zdolne reagować na pojawiające

się problemy i wyzwania w mikroskali. Siła tych odpowiednio finansowanych struktur polegałaby na pokonaniu dystansu między politycznym centrum a obywatelami przez zaangażowanie różnorodnych ekspertów z wielu opcji politycznych do pracy na rzecz wspólnego dobra. Pomysł ma na celu stworzenie systemu wczesnego ostrzegania, który o problemach wielu małych i średnich ośrodków informowałby bezpośrednio władze lokalne lub centralne, tworząc intelektualne ramy politycznej wspólnoty.

Bartłomiej Sienkiewicz w *Państwie teoretycznym* proponuje podobne rozwiązanie. O pokrewieństwie intelektualnym obu autorów przekonałem się bezpośrednio na ostatnim „Open Eyes Economy Summit” w Krakowie, gdzie Matyja i Sienkiewicz zamiast ze sobą debatować – co zapowiadał program wydarzenia – niemal wyłącznie się ze sobą zgadzali.

Najbardziej konkretny pomysł przedstawiony w *Państwie teoretycznym* dotyczy reformy powiatu. Autor powołuje się na tradycje ustrojowe sięgające czasów Łokietka, gdy starosta był pierwszą osobą reprezentującą państwo w kontaktach z obywatelami. Teraz, po reformie samorządowej z 1990 r. i późniejszych zmianach, sposób funkcjonowania powiatów łamie zarówno tradycję, jak i logikę ustrojową. Powiaty, odtąd należące do władz samorządowych i pozbawione istotnych kompetencji, nie pełnią już funkcji „państwa pierwszego kontaktu”; tę istotną rolę przejął wojewoda, który działając na dużo większym obszarze, zwiększa alienację obywatela od państwa.

Choć Sienkiewicz proponuje, by starosta z samorządowca stał się na powrót urzędnikiem reprezentującym centrum decyzyjne, to paradoksalnie, celem proponowanej zmiany jest zbliżenie owego centrum na tyle, aby obywatel uznał w końcu państwo za własne. Sprawna polityka powinna być budowana „od dołu”, co przyczyniłoby się – zdaniem autora – do przewartościowania państwa, które z narzędzia dominacji nad partyjnym przeciwnikiem mogłoby stać się „służebnym aparatem mającym na celu dobro wszystkich mieszkańców kraju”.

Oprócz Rafała Matyi i Bartłomieja Sienkiewicza we wspomnianej debacie uczestniczył jeszcze Leszek Jażdżewski – redaktor naczelny „Liberte”, który

w odróżnieniu od swoich adwersarzy mocno zaznaczał swoje polemiczne stanowisko. Podkreślał, że Polska pozostanie „państwem teoretycznym” i żadne „wyjście awaryjne” nie będzie możliwe, jeśli (post)solidarność elity władzy nie dopuszcza do wielkiej polityki młodych ludzi spoza układu. Powoływał się przy tym na *Koniec pokoleń podległości* – książkę redaktora naczelnego „Kultury Liberalnej” Jarosława Kuisza, w której autor – co może zaskakiwać – również używa republikańskiego instrumentarium.

Kuisz w jednym z fragmentów przywołuje ideał samorządnej I Rzeczypospolitej, w której obywatele charakteryzowali się propaństwową dyspozycją mentalną. Nadzieją na wyjście z zamkniętego kręgu pokoleń podległości są dla niego dzisiejsi dwudziestoparolatki, nie znający realiów Polski Ludowej i którym obcy jest postkomunistyczny mit zachodniego świata. Kuisz przywołuje wzór XVI-wiecznego ruchu egzekucyjnego, w ramach którego średnia szlachta zdolna była wykazać się odpowiedzialnością za całe państwo: „»Państwo to ja« – mógł powiedzieć monarcha absolutny. »Państwo to my« – sądziła polska szlachta przed rozbiorem. »Państwo to oni« – myślał przez dekady przeciętny obywatel Polski Ludowej, a potem III Rzeczypospolitej”. Choć, obok spójnej z Matyją i Sienkiewiczem diagnozy oraz postulatu buntu młodych, książka Jarosława Kuisza nie zawiera propozycji konkretnej reformy, to jednak samo pozytywne odniesienie do republikanizmu czasów I RP dokonane po liberalnej stronie debaty publicznej warte jest odnotowania.

Ostatnim przywołanym tekstem będzie esej Michała Rzeczyckiego *Wyjście z wojny polsko-polskiej prowadzi przez reformę Senatu*, który został opublikowany na łamach portalu opinii Klubu Jagiellońskiego. Autor, po zreferowaniu genezy i kontekstu obecnego kryzysu konstytucyjnego, przechodzi do propozycji zreformowania Senatu w duchu klasycznego ideału rządu mieszanego. Stwierdza eufemistycznie, że obecne znaczenie izby wyższej parlamentu jest „co najmniej dyskusyjne”, ponieważ działa ona w logice partyjnej, co w praktyce oznacza, że w zdecydowanej większości przypadków potwierdza mechanicznie decyzje podjęte w Sejmie. Jak zreformować więc parlament, aby jedna z jego części wymykała się logice „partiokracji”?

Rzeczycki przywołuje propozycję sformułowaną krótko wcześniej przez Kazimierza Michała Ujazdowskiego. Senat miałby w tym wariantcie składać się z 50 senatorów wybieranych spośród kandydatów kolegów samorządowych, których członkami byłiby prezydenci i burmistrzowie miast oraz starostowie i marszałkowie województw, a także radni gminni, miejscy, powiatowi i wojewódzcy. Propozycja Ujazdowskiego uzupełniania jest przez Michała Rzeczyckiego komponentem merytokratycznym. Autor proponuje bowiem, aby część senatorów wywodziło się również z senatów uniwersyteckich.

Warto zauważyć, że propozycja Senatu jako systemowego równoważnika przypomina rzeczywistość instytucjonalną I RP, w ramach której kandydaci na sejm walny byli wybierani spośród posłów sejmików ziemskich – organów samorządowych republiki szlacheckiej. Tak skonstruowany Senat miałby równoważyć cały ustrój polityczny Rzeczypospolitej. Reforma odpowiadałaby tym samym na fundamentalny kry-

zys polskiego ustroju, bo jak konstatuje Rzeczycki, używając Cycerońskiej definicji: „(...) trzeba stwierdzić, że jeżeli państwo jest to rzeczywiście gromada ludzka złączona prawem dla pożytków płynących ze wspólnego życia, to Rzeczpospolita Polska w obecnej sytuacji jest jedynie tworem quasi-państwowym”.

Skoro dysponujemy przekonującą diagnozą oraz kilkoma propozycjami reform systemowych, potrzebujemy w tej chwili skutecznych działań wzmacniających wolę polityczną. Zauważmy, że żaden z przywołanych pomysłów nie jest jedynie manifestem nawołującym do większego zaangażowania obywateli w życie polityczne. Co może brzmieć paradoksalnie, wymienieni autorzy (za wyjątkiem Jarosława Kuisza) pragną wprowadzić republikański ład odgórnie – poprzez większą lub mniejszą rewolucję ustroju. I całe szczęście! Wydaje się bowiem, że tylko terapia szokowa może coś zmienić. Tylko radykalny republikanizm może stać się wehikułem przenoszącym sferę bezpłodnej powinności do realnej polityki.

Konstanty Pilawa

Sekretarz redakcji czasopisma idei „Pressje”. Koordynator krakowskiego oddziału Klubu Jagiellońskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Stara wieś już odeszła, nowa jeszcze nie powstała

Piotr Kaszczyszyn

W cieniu wielkiej historii po cichu umiera polska kultura chłopska. Nie uratują jej skanseny, zespoły pieśni i tańca ani vintage gadzety w regionalne wzorki. Nie o cepelię i folklor tutaj chodzi. Wraz ze śmiercią ostatnich gospodarzy znika całościowy i unikalny sposób istnienia w świecie, wraz z określonym stosunkiem do ziemi, filozofią pracy i wizją międzypokoleniowej wspólnoty. To uniwersum, którego reguł i tajemnic ani już nie poznamy, ani w pełni nie zrozumiemy. Nowa wieś, która przychodzi na miejsce starego świata chłopskich gospodarzy i ich ziemi nie ma wciąż własnej tożsamości.

DLACZEGO KOŃ JEST TAK WAŻNY?

Jaką rolę w polskiej historii odegrał koń? Ciąg skojarzeń jest raczej jednoznaczny. Bojowy rumak, a w siodle ciężkozbrojny rycerz w husarskiej zbroi. Bitewno-powstańcze obrazy Matejki i Grottgera. Marszałek i jego ukochana Kasztanka. Wreszcie ułani, co pod okienko podjeżdżają nie inaczej jak konno...

Tymczasem prof. Andrzej Mencwel w eseju *Toast na progu* wyciąga na pierwszy plan innego konia. Mało fotogenicznego, mało efektownego. Takiego, który w cieniu wielkiej historii towarzyszył nam przeszło 800 lat, od XII stulecia do lat 90. XX wieku. Koń bitewny swój ostatni moment chwały przeżył w roku 1920, aby z areny dziejów zejść w trakcie II wojny światowej pokonany przez konie mechaniczne pancernych czołgów. Koń gospodarski – przez wieki

niezastąpiony w chłopskiej zagrodzie i na chłopskim polu – odszedł raczej niezauważony całkiem niedawno, bo jakieś 20 lat temu. Ostatecznie wyparły go tanie, używane kombajny marki New Holland sprowadzane z Zachodu.

W kapitalistycznym świecie nic się jednak nie marnuje. Mencwel opisuje w eseju przyjazd do podwarszawskiej wsi – gdzie miał swój letni domek w dawnej chłopskiej chacie- kupców – handlarzy na włoskich rejestracjach, tzw. faktorów. W efekcie ich wizyty konie robocze okolicznych chłopów za cenę więcej niż przyzwoitą trafiały za zakratowane okna. Później czekał je transport na Zachód.

„We florenckiej knajpce przy Via dei Neri powiedziano mi, że prawdziwego tataru robi się z mięsa końskiego i ma być skrobany, a nie mielony” – pisze. 800 lat historii polskiego konia „czarnego, sprzężajnego, rolnego” swój finał znalazło setki kilometrów od polskich granic na włoskich stołach.

Dlaczego o tym piszę? Bo dla autora *Toastu na progę* to tylko jeden z symboli napięcia pomiędzy dwoma obliczami polskiej kultury wiejskiej: tym szlachecko-folwarcznym i tym chłopskim. Według Mencwela kultura szlachecka zniknęła ostatecznie po roku 1945 i reformie rolnej, która bezpowrotnie zniszczyła świat ziemiańskich dworów. Kultura chłopska odchodziła powoli. W jej przypadku trudno wskazać jednoznaczny moment, choć na datę graniczną autor *Eseju o narodzinach kulturalizmu polskiego* wybiera ostatecznie rok 2004 i wejście Polski do Unii Europejskiej. I to właśnie o mało dostrzeganym i mało dyskutowanym kresie kultury chłopskiej jest ten mocno autobiograficzny esej.

CZTERY OBLCZA ODCHODZĄCEJ KULTURY CHŁOPSKIEJ

1. Chłop i jego ziemia

Mencwel sięga do lingwistycznych korzeni. Słowo „kultura”, pochodzące z łaciny, oznacza uprawę i odsyła nas do starożytnego, rzymskiego rolnictwa. Z tego powodu kultura chłopska to przede wszystkim kultura uprawy ziemi. To właśnie stosunek i przywiązanie do ziemi stanowiło oś odchodzącej kultury chłopskiej.

Takie ujęcie sprawy pozwala także autorowi podkreślić zasadniczą różnicę pomiędzy dwoma obliczami kultury wiejskiej Polski. W literaturze znajdziemy wizerunek szlachcica z jego bielonym, wiejskim dworkiem i utrwalonym choćby w *Panu Tadeuszu* powiedzonkiem, że „pańskie oko konia tuczy”. Tymczasem stosunek ziemianina do ziemi był tylko pośredni. Kluczową rolę odgrywała bowiem postać rządcy majątku, często obrotowego Żyda. Szlachcic, owszem, mieszkał na co dzień w swym wiejskim majątku i objeżdżał włości na grzbiecie rumaka wartego więcej niż niejedna wieś, ale za bieżące zarządzanie nimi odpowiadał już zatrudniony w tym celu specjalista. Inaczej było z chłopem.

Fundamentem kultury chłopskiej było, zdaniem Mencwela, samodzielne gospodarstwo kmiecie. Historyk literatury zdaje sobie oczywiście sprawę ze złożonej struktury społecznej funkcjonującej na dawnej wsi polskiej, gdzie już od średniowiecza żyli obok siebie kmiecie, zagrodnicy (właściciele chaty z małym podwórkiem i zabudowaniami gospodarczymi, czasami też ogrodu i małego skrawka pola), chałupnicy (pozbawieni domu i pola pracownicy najemni) i komornicy (mieszkający u bogatych gospodarzy lub w zabudowaniach folwarku szlacheckiego najemni pracownicy, którzy za kąć do spania odpłacali pracą lub oddawali część zarobku). Nie zmienia to jednak faktu, że to właśnie samodzielni gospodarze, chociaż liczbowo nie dominowali, to zawsze stanowili wzorzec społeczny i kulturowy. Do ich pozycji materialnej, socjalnej i symbolicznej (elita wsi) aspirowali pozostali chłopcy z niższych szczebli wiejskiej drabiny społecznej.

Chłopi dalecy byli od budowania jakichś bliżej nie sprecyzowanych mistycznych więzi z ziemią czy cikliwego sentymentalizowania sielskiego krajobrazu wsi. Ich stosunek do ziemi był praktyczny. To ona zapewniała samodzielnym gospodarzom niezależność oraz pozwalała własną pracą wziąć odpowiedzialność za los i utrzymanie swoje i swojej rodziny. Jeśli szukać już jakiejś metafizyki, to wyrażała się ona co najwyżej w traktowaniu uprawianej ziemi jako ojcowizny, czyli dziedzictwa przeszłych pokoleń, które należy następnie przekazać własnym dzieciom. W ten sposób kultura chłopska była kulturą międzypokoleniową, budującą trwałe więzi między światem

zmarłych przodków a jeszcze nienarodzonych potomków.

Dziś jednak ulega to daleko posuniętej ewolucji. Jak mówił w wywiadzie na łamach portalu klubjagiellonski.pl prof. Piotr Nowak, socjolog obszarów wiejskich i rolnictwa, do historii odchodzi dawny stosunek do ziemi wraz z chłopską filozofią pracy, gdzie bardziej od finansowej efektywności liczył się fizyczny wysiłek włożony w codzienny znój, a praca na roli stanowiła jedną z osi chłopskiego życia, nie tylko sposób zarobku. W zamian pojawiają się dwa nowe elementy tożsamościowe budujące etos nowej, kształtującej się od lat 90. kultury wiejskiej.

Po pierwsze, z dawnego przywiązania do ziemi i pracy pozostało przywiązanie do żywności, jej jakości oraz dbałość o najmniejsze detale jej produkcji. To już nie specyfika starych samodzielnych gospodarstw rozsianych po całej wsi, lecz nowych, wielkoobszarowych farm ze specjalistycznym sprzętem, gdzie dawnych chłopów-gospodarzy zastąpili farmerzy-zawodowcy zorientowani w 100% na rynek. Ich troska o jakość produkowanej żywności ma też pobudki wynikające z etosu kapitalistycznego. Mniej kapitalistyczne, a bardziej ekologiczne przywiązanie do żywności i naturalnego procesu produkcji towarzyszy za to coraz częściej powstającym na wsiach gospodarstwom agroturystycznym.

Drugim elementem tożsamości „nowej wsi polskiej” jest traktowanie jej w kategoriach „małej ojczyzny”. Łączy w sobie kultywowanie pamięci o istotnych wydarzeniach historycznych oraz sławnych i zasłużonych postaciach z regionu, a także przywiązanie do krajobrazu, a tym samym troskę np. o lokalne pomniki przyrody. Za ten element tożsamości, pozabawiony już jednak wiejsko-chłopskiej specyfiki, bo charakterystyczny dla całego kraju, odpowiadają przede wszystkim miejscowi nauczyciele i bibliotekarki.

2. Dawnych gospodarstw rodzinnych już nie ma

Drugim z filarów odchodzącej kultury chłopskiej było uniwersalne gospodarstwo rodzinne z zabudowaniami gospodarczymi, prowadzone przez patriarchalną rodzinę wielopokoleniową. Dziś z tego

modelu niewiele już zostało. Rodzinę, gdzie trzy pokolenia razem uprawiały pole, zastąpiła charakterystyczna dla współczesnej kultury miejskiej rodzina nuklearna. Dziadkowie najczęściej pracować już na szczęście nie muszą. Wnuki, dzięki procesowi upowszechnienia edukacji, który na dobre zaczął obejmować wieś polską po 1945 r., a przyspieszył jeszcze i stał się modelem dominującym w III RP, wyjechały już do miast. Zostali coraz starsi rodzice z coraz mniejszą liczbą zabudowań gospodarskich wokół domu.

Uniwersalne gospodarstwo rodzinne zastąpiła profesjonalna farma. Zmechanizowana, zorientowana na rynek, gdzie pracują już farmerzy-zawodowcy. Praca na roli jest dla nich świadomym wyborem zawodowym, drogą życiową, która im całkowicie odpowiada. Nie ma już mowy o dawnym etosie chłopskim, gdzie stosunek do ojcowizny nie był kwestią dobrowolnej decyzji, lecz sposobem zmagania się z losem, który obejmował czyjeś życie z zewnątrz. Najpierw wynikało to z poddaństwa i pańszczyzny. Po uwłaszczeniach – ze struktury gospodarczej i społecznej, w której chłopom trudno było znaleźć pracę w niedorozwiniętym polskim przemyśle, a droga do innych zawodów dla zdecydowanej większości mieszkańców wsi była zamknięta ze względu na braki w edukacji.

Współczesny model farmera-zawodowca produkującego na potrzeby rynku jest pewnego rodzaju zwycięstwem (a może epilogiem?) nad wielowiekowym przywiązaniem chłopca do ziemi, której w polskiej historii zawsze było za mało. Jeszcze w II RP przeludnienie na wsi szacowano na 4,5-5,5 mln osób, a gospodarstwa karłowate, z których rodzina chłopska nie była w stanie się wyżywić, stanowiły większość na polskiej wsi.

3. Świekra, dziewierz, wujna...

Kultura chłopska była kulturą wspólnotowości i budowania trwałych relacji przekraczających nie tylko rodzinę nuklearną, lecz także wielopokoleniową. Zdaniem profesora Mencwela potwierdza to choćby rozbudowana terminologia krewnicza obejmująca blisko 60 terminów. „Jedynie znawcy odróżniają dzisiaj świekrę od teściowej, dziewierza od szwagra,

taryzuje” – przekonywał. Wieś zatem coraz mocniej upodabnia się do miasta tracąc ów swoisty sposób życia wynikający z pracy na roli.

Ten proces z pewnością napędzają migracje i kształtujący się nowy skład mieszkańców wsi. Mamy profesjonalnych farmerów-zawodowców, którzy z uprawy ziemi stworzyli biznes z prawdziwego zdarzenia. Ci, którzy nie mieszczą się w tych 18% utrzymujących się głównie z gospodarstwa, mieszkają na wsi, ale codziennie dojeżdżają do miasta do pracy. Przypominają w tym nową odśloną PRL-owskich chłoporobotników. W przeciwieństwie jednak do czasów Polski Ludowej nie wracają z miasta na wieś do uprawy roli, lecz mają co najwyżej przydomowy ogródek.

Są też nowi mieszkańcy wsi, którzy w wyniku procesów rozlewania się miast i suburbanizacji budują swoje domy poza zatłoczonym miastem. Część z nich traktuje wieś instrumentalnie, tylko jako „sypialnię” i miejsce do sobotniego grilla z miejskimi przyjaciółmi. W ten sposób miejski sposób życia „kolonizuje” wieś, wprowadzając do niego miejską anonimowość i zamknięte na wspólnotę sąsiedzką wsobne grupy przyjaciół. Są też jednak tacy, którzy angażują się w życie wsi.

Nowak zwracał nam uwagę na stowarzyszenia zakładane przez nowe wiejskie elity: już nie księdza i nauczycielkę, lecz właśnie ludzi, którzy z różnych powodów przeprowadzili się na wieś. Ich aktywność społeczną finansują środki z unijnego programu LEADER przeznaczone na potrzeby lokalnych liderów w ramach programu rozwoju obszarów wiejskich. W ostatnich latach swój renesans przeżywają także koła gospodyń wiejskich, „nieraz inicjowane przez żony, których mężowie pracują w miejskiej korporacji, ale rodzina przeprowadziła się na wieś”.

Te zjawiska, jak przekonuje socjolog, dotyczą jednak wsi leżących niedaleko większych miast – z tego powodu liczba ich mieszkańców rośnie, zmieniając jednocześnie oblicza tych wsi. Inaczej ma się rzecz ze wsiami peryferyjnymi, położonymi z dala od dużych ośrodków miejskich, źle skomunikowanymi ze światem zewnętrznym. Te wyludniają się i będą zniknąć być może wraz ze śmiercią ostatniego poko-

lenia tradycyjnych chłopów, których dzieci dawno wyjechały już do miasta..

KULTURA CHŁOPÓW TO UNIKALNY SPOŚÓB ISTNIENIA W ŚWIECIE

Czym innym jest słowo „kulturowy”, a czym innym słowo „kulturalny”. Z braku tego językowego rozróżnienia wynika, zdaniem autora *Toastu na progu*, redukcja kultury chłopskiej do „repertuaru czynności i wytworów artystycznych: strojów odświętnych, pieśni i tańców, naczyń, haftów, zdobień, które można osobno podziwiać, wystawiać i kolekcjonować”.

Tymczasem kultura chłopska to spójny i całościowy sposób życia: określone spojrzenie i interpretacja rzeczywistości, opisany już stosunek do ziemi i pracy, rozbudowany model małżeństwa, wspólnoty krewniaczej i wiejskiej. To cały chłopski i wiejski mikroświat zorganizowany według wielowiekowych i międzypokoleniowych reguł, których wszystkich tajemnic, ani już nie poznamy, ani w pełni nie zrozumiemy.

Kultura chłopska była pewnym *sposobem istnienia w świecie*, a nie tandetną cepelią lub współczesnym kolekcjonowaniem vintage przedmiotów. Była doświadczeniem pokoleń, a nie chwilową zajawką poddaną rynkowej logice i postmodernistycznemu podejściu do świata, w którym przedmioty związane z chłopskim sposobem życia są wyciągane z ich zakorzenionego uniwersum. Miały określone miejsce, funkcję i znaczenie, więc ich rzekomy „renesans” to wypłukiwanie ich z pierwotnych i głębokich, antropologicznych znaczeń i redukcja do roli „modnego gadżetu”.

TOAST NA PROGU

Czy w naszej dynamicznej rzeczywistości możemy jeszcze coś zachować z tego odchodzącego – wielu by powiedziało anachronicznego – świata kultury chłopskiej? Mencwel wskazuje na dwie sprawy.

Po pierwsze, to właśnie filozofia pracy gospodarzy: odpowiedzialnej, samodzielnej, twórczej, w pewien sposób dumnej i suwerennej. To godna ocalenia fi-

lozofia, która traktowała pracę jako przestrzeń samorealizacji. Autor *Toastu na progu* pisze, że dzisiaj takie podejście do pracy mają głównie artyści czy naukowcy. Mencwel nie ma wątpliwości, że ten chłopski etos pracy, traktujący ją jako spełnienie człowieczego losu, powinien stać się integralną częścią nowej kultury narodowej, łączącej dwa oblicza polskiej kultury wiejskiej: tej chłopskiej i tej szlacheckiej (z etosem przywiązania do państwa, niepodległości i służby publicznej).

Po drugie, Mencwel zwraca uwagę na chłopskie struktury wzajemnej pomocy, które przełożyć można na kategorie kapitału społecznego i odnieść do modnej rzeczywistości „aktywizmu społecznego”

i „organizacji pozarządowych”. Zamiast kopiować te struktury z Zachodu, możemy dojrzeć wreszcie starsze korzenie tych samych postaw w życiu własnych, chłopskich przodków.

Stary świat chłopskiej kultury odchodzi bezpowrotnie. Profesor Mencwel nie ma co do tego złudzeń. Nie ma też jednak wątpliwości, że wartości wynikające z tego unikalnego sposobu istnienia w świecie powinny i chyba mogą zostać zachowane i przekazane nowym pokoleniom „Polski miejskiej”. Dlatego na koniec pije toast na progu: chłopskiej chaty i nowego świata. Na zdrowie!

Piotr Kaszczyszyn

Redaktor naczelny czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellon-ski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego. Doktorant w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lista niepolskich Polaków

W dziale przedstawiamy sylwetki zasłużonych w historii Polaków, których tożsamość daleka była od etnicznej i kulturowej jednoznaczności. Pomimo tego wciąż Polakami byli.

Polak, Żyd, historyk. Sylwetka Szymona Askenazego

Jan Woźniak

*Najbardziej popularny polski historyk początku XX wieku. Charyzmatyczny wykładowca. Wzięty polemista i obdarzony swadą publicysta. Dyplomata. *Religionae Iudaeus, natione Polonus*. Te określenia jedynie częściowo oddają wielowymiarowość postaci Szymona Askenazego, wybitnego znawcy dziejów politycznych stuleci XVIII i XIX, autora prac stanowiących – obok pisarstwa Henryka Sienkiewicza – jedno z najważniejszych lektur formujących pokolenie walczące o niepodległość Polski.*

Szymon Askenazy urodził się najprawdopodobniej w 1865 r. w Zawichoście pod Sandomierzem jako syn Wolfa Askenazego, zamożnego żydowskiego kupca. W 1883 r. podjął studia prawnicze na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Jego zainteresowania ogniskowały się wówczas wokół prawa państwowego i cywilnego, jednak ostatecznie kariera prawnika – wybrana za namową praktycznie myślącego ojca – nie została uznana przez przyszłego autora *Księcia Józefa* za pociągającą, bowiem po ukończeniu aplikacji adwokackiej podjął on studia historyczne

na uniwersytecie w prześląkniętej liberalnym duchem Getyndze. Po latach tak pisał o swojej decyzji: „Wybrałem ten uniwersytet ze względu na czołowe jego (...) w dyscyplinie historycznej stanowisko. Ze względu też na półangielskie niepodległościowe tradycje (...) Zaś nienajmniej ze względu na starodawny tej wszechnicy przychylny do Polski stosunek”. Pod kierunkiem Maxa Lehmana, przeciwnika pruskiej szkoły historycznej, Askenazy napisał doktorat traktujący o ostatnim polskim bezkrólewiu i elekcji Stanisława Augusta.

Praca ta – nosząca tytuł *Die letzte polnische Königswahl* – nie została nigdy przełożona na język polski, być może dlatego że sam Askenazy, dojrzewając jako badacz, zrewidował z czasem swój pogląd na intencje przyświecające Katarzynie II w 1764 r. W swojej dysertacji bowiem uznał Prusy za największe w owym czasie zagrożenie dla integralności Rzeczypospolitej, przyszłej zaś Semiramidzie Północy przypisał kierowanie się romantycznym sentymentem, każącym wynieść na tron polski dawnego kochanka. Z czasem stosunek Askenazego do Rosji będzie się ostrażał, a sam historyk wątpić będzie w możliwość wynegocjowania jakichkolwiek swobód dla Polaków znajdujących się pod carskim berłem. Niezależnie od tego, sam doktorat stanowi dowód na znakomite orientowanie się Askenazego w meandrach dyplomatycznych rozgrywek mocarstw europejskich toczone wokół ostatniej elekcji.

ROMAN DMOWSKI WYPOMINA ASKENAZEMU JEGO ŻYDOWSKIE POCHODZENIE

Po ukończeniu studiów, wyposażony w dogłębną wiedzę z zakresu historii polskiej i powszechnej europejskiej, znający kilka języków obcych Askenazy powrócił na ziemię polskie, usiłując znaleźć zatrudnienie na uczelni.

Obawa, że bezpardonowa rusyfikacja w Królestwie Polskim kępowała go jako historyka, kazała mu podjąć, za pośrednictwem naukowego mistrza i przyjaciela – Tadeusza Korzona – starania o uzyskanie posady na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednak treść odpowiedzi odmownej rektora Akademii Umiejętności Stanisława Smolki stanowiła złowrogie preludium przyszłych niepowodzeń i szykan, jakie położą się cieniem na karierze naukowej Askenazego.

Smolka stwierdził bowiem nie tylko, że od wpływ utalentowanych badaczy z Królestwa jest sprzeczny z polską racją stanu, ale również zapowiedział możliwość wystąpienia istotnych trudności z przyznaniem posady Askenazemu, wynikającej z faktu, że na Wydziale Filozoficznym wykłada już dwóch Żydów. Wówczas to po raz pierwszy – i niestety nie ostatni – rzucono Askenazemu kłody pod nogi ze względu na jego pochodzenie etniczne. Pomijając

wszelkie inne względy, stanowiło to niedorzeczność choćby i z tego powodu, iż historyk przez całe swe dorosłe życie politycznie czuł się Polakiem. Świadczy o tym zarówno wymowa jego dzieł, jak i treść działalności publicznej. Nie byli w stanie zrozumieć tego jego przeciwnicy, wśród których znalazł się i Roman Dmowski. Przywódca i duchowy ojciec endecji poświęcił nawet Askenazemu fragment książki *Polityka polska i odbudowanie państwa*, w którym skonstatował, że „gdyby nie było Polski, Askenazy znalazłby sobie na pewno drugą ojczyznę”. Gwoli ścisłości przyznać jednak trzeba, że nie wszystkie ataki, jakich autor *Łukasieńskiego* doświadczył w życiu, miały charakter antysemicki – już w niepodległej Rzeczypospolitej przeciwko powierzeniu Askenazemu katedry na Uniwersytecie Warszawskim wystąpił Marcei Handelsman, również wybitny historyk pochodzenia żydowskiego.

GWIAZDA LWOWSKIEJ UCZELNI

Po doznanym niepowodzeniu młodemu badaczowi w sukurs przyszli książę Adam Sapieha oraz galicyjski arystokrata hrabia Karol Lanckoroński, którzy, po zamknięciu przed ich protegowanym bram Uniwersytetu Jagiellońskiego, skutecznie wsparli jego starania o zdobycie stanowiska na Uniwersytecie Lwowskim. Tam w 1897 r. Askenazy habilitował się na podstawie napisanego pod kierunkiem profesora Tadeusza Wojciechowskiego *Przymierza polsko-pruskiego*, kolejnej pracy traktującej o schyłku I Rzeczypospolitej. Wkrótce potem otrzymał powołanie na stanowisko docenta w Katedrze Historii Nowożytnej Uniwersytetu Lwowskiego.

Wykłady Askenazego szybko zaczęły przyciągać tłumy słuchaczy, wśród których obok studentów różnych wydziałów znaleźć można było wielu ludzi niezwiązanych z uniwersytem: studentów Politechniki, dziennikarzy, mieszkańców Lwowa, a nawet młodych endeków. Jak wspominali uczniowie Askenazego, ich mistrz podczas wykładów improwizował, na bieżąco dochodził do nowych konkluzji i ocen.

Równocześnie na każdym kroku dawał dowody swojej olbrzymiej wiedzy i znakomitej pamięci (cytuje m. in. z pamięci obszernie fragmenty źródeł), odkry-

wając przed słuchaczami nieznanie powszechnie epizody z dziejów Polski i mocarstw ościennych. Swoje robiła także nieprzeciętna osobowość Askenazego, skłonnego do kategorycznych sądów i niechętnie idącego na ustępstwa. O popularności Askenazego jako wykładowcy świadczy fakt, iż wskutek tak szerokiego zainteresowania jego prelekcjami kierownictwo Uniwersytetu Lwowskiego powierzyło Askenazemu największą aulę znajdującą się w posiadaniu uczelni.

INSPIRATOR ŻEROMSKIEGO, ULUBIONY AUTOR PIŁSUDSKIEGO

Askenazy swoją rosnącą popularność zawdzięczał jednak nie tylko wykładom. Drugi filar jego działalności stanowiły publikacje, w tym najbardziej znana i do dziś wznawiana – mimo mogącego współcześnie razić podniosłego stylu – życiorys księcia Józefa Poniatowskiego. Stanowił ona, jak określił to biograf lwowskiego historyka Marcin Nurowski, „Biblię dla całego niepodległościowego pokolenia”, a także jedną z ulubionych lektur Józefa Piłsudskiego. Historyk Mirosław Filipowicz określił ją nawet jako „szczytowe osiągnięcie neoromantycznej biografistyki”.

Utrzymana jest w tonie podziwu dla księcia – ułana, któremu w geście uznania licznych zasług patriotycznych Askenazy wybacza prowadzony w porobiorowej Warszawie hulaszczy i swobodny obyczajowo tryb życia. „W sądach społeczno-dziejowych miara zasadnicza jest jedna, ale właśnie dlatego jej zastosowanie dla różnych obiektów musi być różne (...) Miało się to niebawem okazać jak najdowodniej na ks. Józefie w nadchodzącej już godzinie najwyższej próby, skoro nad samym uchem jego i kraju ogromną, wytrącającą z letargu pobudką ozwą się lotne pioruny napoleońskie (...)”. Bratanek ostatniego króla Polski, przeciwstawiony swojemu stryjowi, ukazany jest w biografii jako niezłomny bohater, odrzucający przez wiele lat pokusy wysuwane przez Prusaków i Rosjan, mimo nieufności okazywanej mu przez rodaków, by w ostatnich latach życia stanąć *de facto* na czele państwa. Obcy mu był jednak pęd ku majątkowi i zaszczytom. Podsumowaniem pracy może być cytat Napoleona przytoczony przez Askenazego: „Poniatowski był prawdziwym królem, łączył wszystkie po temu tytuły i talenty, a jednak on milczał”.

Ocierający się o literackość sugestywny styl tego i innych dzieł Askenazego spowodował, że jego książki silnie oddziaływały na najwybitniejszych przedstawicieli polskiego neoromantyzmu. Stefan Żeromski pod wrażeniem prac lwowskiego historyka dokonał zmian w pisanych właśnie *Popiołach*, a Stanisław Wyspiański w charakterystycznym dla siebie stylu zrecenzował *Księcia Józefa*: „Ukończyłem właśnie czytać książkę Askenazego o księciu Józefie Poniatowskim. Jakże ogromna i tragiczna Dola rozwija się w tej książce o wielkim rycerzu (...) Jaką to w sobie świętą miał moc, dla której i przez którą żył i dla której ginąć był gotów i walczył i dla której zginął”.

Urokowi Askenazego uległ również przedstawiciel młodszego pokolenia Jan Lechoń, który – dostrzegając trudny charakter historyka czy jego skłonność do idealizowania niektórych postaci – uważał go za mistrza słowa.

Naturalnie pisarstwo Askenazego miało również swoich przeciwników, którzy zarzucali autorowi *Przymierza polsko-pruskiego* nadmierną skłonność do psychologizowania i przesadne akcentowanie roli jednostki w dziejach, prowadzące nieraz do panegiryzmu. Oswald Balzer stwierdził nawet, że w konsekwencji Askenazy „ślizga się więcej po powierzchni życia (...) ale samego życia narodowego jeszcze nie odkrywa”. Syntezę tych wszystkich negatywnych opinii stanowi określanie Askenazego jako „wielkiego brązownika”. Niestety, krytyka ta nie zawsze dotyczyła kwestii merytorycznych, jak przyszło się przekonać autorowi *Księcia Józefa* podczas starań o uzyskanie kierownictwa Katedry Polskiej Historii Nowożytnej na Uniwersytecie Lwowskim.

CZY POLAK WYZNAWCA JUDAIZMU MOŻE ZROZUMIEĆ „DUCHA POLSKICH DZIEJÓW”?

W połowie 1905 r. umysły profesorów Wydziału Filozoficznego zaprzętała kwestia następstwa po mistrzu Askenazego, profesorze Tadeuszu Wojciechowskim, który w wyniku stopniowej utraty wzroku został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska szefa Katedry Historii Polskiej. Powszechnie spodziewano się, że następcą wybitnego mediewisty zostanie Szymon Askenazy. Trzyosobowa komisja historyków, w skład której wchodził Wojciechowski,

Ludwik Finkel i Bronisław Dembiński, nie zdołała wyłonić następcy, ostatni z wymienionych zgłosił bowiem stanowczy sprzeciw wobec kandydatury Askenazego.

Autor *Księcia Józefa* i Dembiński skrzyżowali szpady już wcześniej na niwie naukowej. Tematyka pracy habilitacyjnej Askenazego – *Przymierza polsko-pruskiego* – przecinała się bowiem z obszarem badań Bronisława Dembińskiego, który został zmuszony do uznania wyższości swojego adwersarza. Niechęć do Askenazego (którego określił jako „historyka z łaski Bożej, darowanego narodowi polskiemu przez naród Izraela”), spotęgowana tą porażką, popchnęła Dembińskiego do próby storpedowania jego kandydatury za wszelką cenę. Spór, którego temperatura nieustannie wzrastała, doprowadził do powstania pęknięcia pomiędzy profesorami Wydziału Filozoficznego.

Wbrew pozorom, znaczenia tego konfliktu nie można zredukować wyłącznie do antagonizmu personalnego. Za tym sporem kryło się bowiem fundamentalne pytanie – czy Żyd, który, zachowując swoją religię, w pełni zgłosił akces do polskiej kultury, może być uznany za jej pełnoprawnego przedstawiciela. Dembiński wytoczył bowiem argument, że nie można powierzyć Askenazemu kierownictwa katedry, bowiem ten – będąc wyznania mojżeszowego – nie jest w stanie zrozumieć polskiego ducha dziejów.

Ostatecznie zdecydowano się na rozwiązanie kompromisowe – władze Uniwersytetu zaproponowały Askenazemu objęcie mającej dopiero powstać Katedry Historii Powszechnej Nowożytnej, ewentualnie „ze szczególnym uwzględnieniem dziejów polskich”. Wyczerpany sporem autor *Księcia Józefa* przyjął wiadomość o tym rozstrzygnięciu z głębokim oburzeniem. Postanowił zwrócić się o pomoc do przychylnego mu Henryka Sienkiewicza, a o pośrednictwo prosił w liście przyjaciela autora „Trylogii” Dionizego Henkla. Sam ton listu dobrze oddaje stan psychiczny Askenazego w tej fazie sporu: „Gdybym mógł postąpić uczciwie, powinienem im plunąć w twarz i odmówić. Ale nie mogę postąpić uczciwie, bo znalazłbym się na bruku żebrakiem (...) Jest to całe rozwiązanie po prostu kompromitujące. Nie wiem, jak mogę [je] zaakceptować wobec młodzieży, wobec siebie same-

go, ja, który nic nie pisałem z historii powszechnej, a pisałem o przymierzu polsko-pruskim, o ks. Józefie i Łukasińskim, mam zostać odsądzony od wykładu mojej, polskiej historii (...)”. Ostatecznie, mimo interwencji Henryka Sienkiewicza u namiestnika Galicji, nie udało się uratować Katedry Historii Polskiej dla Askenazego i 29 maja 1906 r. objął on kierownictwo Katedry Historii Powszechnej ze szczególnym uwzględnieniem historii Polski.

HISTORYK MUSI BYĆ ARTYSTĄ I AKTYWNYM OBYWATELEM

Praca dydaktyczna Askenazego, mimo przeszkód stawianych mu na drodze przez część środowiska naukowego, zaowocowała skupieniem się wokół niego grupy najzdolniejszych uczniów, zwanej niekiedy „szkołą historyczną Askenazego”. Co do tego, czy lwowski historyk rzeczywiście stworzył własną szkołę, zdania są podzielone, przede wszystkim z uwagi na płynność pojęcia „szkoła historyczna”. Nie ulega jednak wątpliwości, że pomiędzy Askenazym a grupą jego najzdolniejszych i najbardziej żądnych wiedzy studentów – do których zaliczali się m.in. Marian Kukiel, legionista i szef Biura Historycznego Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w latach 20., Władysław Konopczyński, późniejszy profesor UJ i polityk endecki, Emil Kipa, historyk i dyplomata, czy Natalia Gąsiorowska, przyszła profesor historii i działaczka komunistyczna – wykształciła się szczególnie silna więź, która znajdowała swoje ujście w seminariach w prywatnym mieszkaniu autora *Księcia Józefa* czy dyskusjami prowadzonymi na spacerach.

Askenazy wpajał swoim uczniom pogląd na rolę historyka w społeczeństwie, podkreślając, że badacz nie powinien być jedynie rekonstruktorem przeszłości, ograniczającym swoją działalność do pisania „historii antykwarycznej”. Historyk nie może być jedynie rzemieślnikiem, powinien być także artystą, oddziałującym nie tylko na intelekt, ale i na emocje czytelników. I wreszcie, historyk ma być obywatelem, któremu znajomość przeszłości ułatwia spojrzenie w przyszłość.

Jak pisał we wspomnieniu o Askenazym Marian Kukiel: „Siebie i swych młodych współpracowników

uważał za sługi żywej wciąż Rzeczypospolitej. Pracom ich stawiał cele naraz poznawcze i bojowe. Czynił ich uczestnikami walki o sprawę polską, prowadzonej środkami, jakie daje nauka historyczna”.

To przeświadczenie o konieczności obywatelskiego zaangażowania historyka przejawiało się wielokrotnie w toku kariery naukowej Askenazego. Doskonałym przykładem jest zaangażowanie się lwowskiego badacza w dzieło wydawania źródeł do porobiorowej historii ziem polskich. Stał na stanowisku, że znajomość tych dziejów może oszczędzić wielu klęsk i błędów („co najgorsza, powtarzanych”) walczącym o niepodległość Polski. Przekonanie o polityczności zawodu historyka popchnęło Askenazego do opuszczenia w 1914 r. Lwowa i emigracji do Szwajcarii, gdzie wstąpił do Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce. Nigdy już nie powrócił do kariery uniwersyteckiej.

JAK ASKENAZY POMÓGL II RP OTRZYMAĆ GDAŃSK

Askenazy nie ograniczył swojej szwajcarskiej działalności do pracy w powołanym przez Sienkiewicza Komitecie. Współpracując z Janem Kucharzewskim, przyszłym premierem rządu Królestwa powołanego przez Radę Regencyjną, publikował artykuły we francuskojęzycznym „Le Moniteur Polonais”, starając się przyciągnąć uwagę zachodniej opinii publicznej ku sprawie polskiej. Dodatkowo, w 1916 r., własnym kosztem wydał trzy numery założonego przez siebie kwartalnika „Uwagi”.

W jego pierwszym numerze opublikował bardzo ważny – z punktu widzenia własnej myśli politycznej – tekst pt. *Wola narodu*. Autor *Księcia Józefa* porównywał zawieruchę Wielkiej Wojny do epoki napoleońskiej, wskazując, że w wyniku konfliktu pomiędzy zaborcami nastąpiła korzystna dla sprawy polskiej sytuacja międzynarodowa. Jednak odzyskanie niepodległości może być jedynie dziełem samych Polaków, podobnie jak to było podczas kampanii napoleońskich. Askenazy był przekonany o potęgę polskiego narodu: „Polska, z ziemią dziedziczną [mierzącą] 3/4 miliona kilometrów kwadratowych, tysiącletnią przeszłością dziejową, bogatą cywilizacyjnie puścizną, cudną mową i piśmiennictwem (...) to nie ułamek, to wielki naród, jeden z kilku wielkich

narodów Europy i świata”. Przejaw „woli narodu” i filozofii czynu widział w walce podjętej przez Legiony, choć nie ukrywał, że ich powiązanie z Austro-Węgrami i Niemcami może mieć szkodliwe skutki dla sprawy polskiej. Życzliwy stosunek do Piłsudskiego i legionowych zmagani ułatwił Askenazemu już w niepodległej Rzeczypospolitej rozpoczęcie nowego etapu w życiu, co , stanowiło naturalną ewolucję działalności szwajcarskiej – karierę dyplomatyczną.

Nim jednak jesienią 1918 r. autor *Księcia Józefa* przekroczył progi Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w ciągu kilku miesięcy napisał pracę *Gdańsk a Polska*, uzasadniając prawa rodzącego się państwa do tego miasta. Wywód Askenazego stał się później istotną pomocą dla polskiej delegacji na konferencji paryskiej w 1919 r. Sam historyk w 1920 r. został mianowany przez ministra spraw zagranicznych księcia Eustachego Sapiechę polskim przedstawicielem przy Lidze Narodów. Znajomość języków obcych, silna osobowość i erudycyjna wiedza o współczesnym świecie (według anegdoty opowiedzianej przez Jana Lechonia Askenazy równie dobrze orientował się w zawiłościach XVIII-wiecznego koncertu mocarstw, jak i w subtelnościach współczesnej międzynarodowej polityki) stanowiły jego najważniejsze atuty jako polskiego ambasadora.

W stosunkach z delegacjami żydowskimi lubił z kolei chlubić się swoimi przodkami, do których zaliczał wybitnego siedemnastowiecznego rabina Chachama Cwi Askenazego oraz Salomona Askenazego, nadwornego lekarza Zygmunta Augusta. Autor *Księcia Józefa* nigdy bowiem nie przeszedł na chrześcijaństwo i wręcz z niechęcią odnosił się do tych Żydów, którzy wstydzieli się swojego pochodzenia. Co więcej, mimo niechęci, czy nawet wrogości, jaka dzieliła go z Dmowskim, miał kiedyś stwierdzić, „że mimo krytyk Dmowskiego od wielu poglądów obozu narodowego dzieli go właściwie tylko szerokość jednego naskórka”. Jednak to właśnie objęcie władzy przez rząd Chjeno-Piasta skłoniło Askenazego do podania się do dymisji w 1923 r.

ZGORZKNIAŁY MĘDRZEC

Szymon Askenazy po powrocie do Warszawy znalazł się w stanie zawodowego niebytu. Dawno zerwał

już związki z Uniwersytetem Lwowskim, a wstęp na Uniwersytet Warszawski uniemożliwiali mu dawny przeciwnik Bronisław Dembiński oraz Marceli Handelsman, a także środowiska endeckie. Jeszcze bowiem w 1919 r. porażką zakończyły się starania Askenazego o uzyskanie profesury na UW i to pomimo wsparcia wybitnego prawnika prof. Leona Petrażyckiego. Po złożonej dymisji ze stanowiska przedstawiciela przy Lidze Narodów nie było dla Askenazego również miejsca w dyplomacji. Dojście do władzy Piłsudskiego w wyniku zamachu majowego nie poprawiło położenia autora *Księcia Józefa*, bowiem zaczął on coraz wyraźniej dystansować się od obozu sanacyjnego, nie akceptując jego metod sprawowania władzy. Lojalny pułkownik Marian Kukiel usiłował wstawić się za swoim dawnym mistrzem, lecz gdy w 1928 r. zaproponowano Askenazemu powołanie go na honorowego profesora UW, ten nie przyjął nominacji.

Zredukował kontakty towarzyskie i usunął się w cień, co wiązało się również z wyraźnym osłabieniem jego mocy twórczych. W niepodległej Rzeczypospolitej Askenazy nie napisał już żadnego dzieła, które mogłoby się równać z jego przedwojennymi pracami. Nadal żywo jednak interesował się polityką międzynarodową, a według krytyka literackiego i eseisty Jerzego Stempowskiego miał – w 1932 r. – przewidzieć wspólną napaść Niemiec i ZSRR na Polskę: „Tylko zupełnie naiwni mogą sobie wyobrazić – miał stwierdzić Askenazy – że Polska może toczyć wojnę inaczej niż na dwa fronty. Niemcy nie mogą przekroczyć granicy pod Zbąszyniem, bez tego, aby Rosjanie nie przekroczyli jej ze swej

strony pod Baranowiczami (...) Czy Rosjanie mogą czekać, aż Niemcy dojdą do ich granicy? Nie. Elementarna przezorność każe im już przedtem przekroczyć granicę i zająć co się da, aby mieć coś w rękę przy pertraktacjach z Niemcami i w razie możliwego konfliktu trzymać ich jak najdalej od własnych granic”.

W 1934 r. Askenazy zapadł na ostrą niewydolność nerek. Z tej choroby już się nie podniósł i zmarł 22 czerwca 1935 r. Został pochowany na Cmentarzu Żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie. Na grobowcu umieszczono napis: „Walczył o Polskę niepodległą – służył wyzwolonej”.

Postać Szymona Askenazego stanowi swego rodzaju fenomen. Był człowiekiem, który bez trudu godził dwie odrębne z pozoru tożsamości – Żyda i Polaka. Znakomity pisarz i niezwykle popularny wśród studentów wykładowca był zdolny – gdy zaszła taka potrzeba – porzucić karierę naukową, zgodnie z ukutym przez siebie hasłem, że „nie czas pisać historii wówczas, gdy należy ją robić”. W swojej szkole wychował przedstawicieli kolejnego pokolenia historyków, często o skrajnie odmiennych poglądach. I – podobnie jak bohaterowie jego prac, ks. Józef i Walerian Łukasiński – za życia nie doczekał się godnych go zaszczytów. Doznane upokorzenia i szkany kładą się pewnym cieniem na to, co Askenazy uosabiał całym swoim życiem – wielowiekową tradycję współżycia wielu narodów w ramach jednej Rzeczypospolitej.

Jan Woźniak

Współpracownik czasopisma idei „Pressje”, stały autor portalu opinii klubjagiellonski.pl.

Szara eminencja zjednoczonej Europy

Bartosz Wójcik

Na palcach jednej ręki policzyć można Polaków, którzy odegrali w historii XX wieku równorzędną mu rolę. Chyba żaden z nich nie wzbudza przy tym tak wielkich kontrowersji. Kontrowersji – dodajmy – w dość wąskich kręgach, gdyż powszechnie pozostaje on postacią anonimową. Dla części – chorobliwie ambitny kosmopolita o skłonnościach mitomańskich, reprezentujący interesy masonerii i obcych wywiadów; dla innych – jeden z ojców Zjednoczonej Europy, sprawny polityk i polski patriota, który „widział rzeczy szerzej”, nie obrażając się przy tym na rzeczywistość. Niezmiennie jednak, Józef Hieronim Retinger – bo o nim mowa – nawet wśród swych zajadłych przeciwników, obok podejrzliwości, niekiedy też odrazy, budził daleko idący respekt. Bez dwóch zdań był też przypadkiem wyjątkowym na całej europejskiej szachownicy politycznej minionego stulecia.

Gdy w 1960 roku zmarł, jego osobisty sekretarz, Jan Pomian, napisał: „Niczym impresario, potrzebował innych w charakterze gwiazd przedstawienia, siebie zaś obsadzał w roli szarej eminencji, człowieka za sceną”. I niezależnie od oceny intencji, jakimi kierował się Retinger, jest to cytat znakomicie oddający burzliwą drogę tego tajemniczego człowieka, do którego określenie „szara eminencja” – zresztą w jego mniemaniu jak najbardziej schlebujące – przyłgnęło chyba na stałe.

Wspomnianą drogę zaczął w roku 1906, gdy, dzięki pomocy opiekującego się nim Władysława Zamowskiego, trafił do Francji, gdzie podjął studia w École des Sciences Politiques oraz na Sorbonie. Równoległe, będąc świetnie, mimo niespełna dwudziestu lat, wykształconym, wchodzi w kręgi socjety artystycznej Paryża, co wydatnie ułatwiały mu więzy rodzinne – spokrewniona z nim rodzina Godebskich prowadziła jeden z czołowych salonów artystycz-

nych miasta nad Sekwaną. To wówczas Retinger po raz pierwszy wykazuje się niezwykłą łatwością nawiązywania kontaktów z wpływowymi nazwiskami, co z czasem stanie się jego swoistym znakiem rozpoznawczym. Zaczyna jednak od ludzi kultury, by wspomnieć Ravela, Mauriaca czy Valery'ego.

Nie zaniedbuje przy tym studiów, dzięki czemu w wieku 20 lat (!) broni na Sorbonie pracę doktorską, zostając najmłodszym w Europie doktorem literatury. Już wtedy zaczyna jednak myśleć o związaniu swej przyszłości z polityką, co skłania go do podjęcia dalszej edukacji w tym kierunku. W ciągu dwóch kolejnych lat kształcił się w Monachium, Florencji oraz Londynie, by w 1910 roku powrócić do Krakowa.

Nie na długo. W 1912 roku zostaje jednym z trzech emisariuszy Galicyjskiej Rady Narodowej, mających za zadanie propagować na zachodzie problematykę „sprawy polskiej”. To też robi, nagłaśniając w Anglii temat pruskiego ucisku i akcentując polskie dążenia niepodległościowe. Nauczony doświadczeniem, by zwiększyć swoje wpływy, zaczyna wchodzić w środowisko ludzi kultury. W ten sposób poznaje Josepha Conrada vel Józefa Korzeniowskiego. „Akcje” pisarza idą wówczas wyraźnie w górę, a relacja szybko przeradza się w przyjaźń, co Retinger w swoim stylu błyskawicznie wykorzystuje, na samym progu Wielkiej Wojny nawiązując bliską znajomość z premierem Wielkiej Brytanii Herbertem Asquithem oraz znanym, choć całkiem jeszcze młodym politykiem, Winstonem Churchillem. Równolegle nabierają znaczenia jego wpływy we Francji, o czym najlepiej świadczy fakt, że przedmowę do publikacji 29-latką z Polski pisze... urzędujący szef dyplomacji Stephen Pichon.

Wtedy też Retinger zaczyna poważniej interesować się kwestią zjednoczenia Europy pod przewodnictwem Paryża i Londynu. W tę stronę idą także jego wysiłki na rzecz „sprawy polskiej”. Optuje bowiem coraz wyraźniej za poparciem tych dwóch stolic dla oderwania Polski od sojuszniczej wobec nich Rosji, sugerując, że odrodzenie Rzeczypospolitej w oparciu o demokracje zachodnie zagwarantuje sprawiedliwą równowagę europejską. W swych – dosłownie, bo najprawdopodobniej działał wówczas na własną

rękę – działaniach idzie daleko, sugerując rządowi alianckim możliwość objęcia protektoratem nowego kraju. Mimo, że ma niespełna 30 lat i w zasadzie pozbawiony jest politycznego zaplecza, poinformowana o działaniach „młodego awanturnika” dyplomacja rosyjska interweniuje, żądając wydalenia Retingera z obu tych krajów, czemu Paryż i Londyn ostatecznie ulegają. Niebawem młody polityk poróżni się też ze stroną... polską, krytykując ideę utworzenia armii polskiej zasilanej jeńcami dotąd walczącymi po stronie niemiecko-austriackiej, twierdząc, że w razie dostania się jej żołnierzy do niewoli, będą oni traktowani jako dezercerzy i rozstrzelani.

Tak zaczyna się światowa tułaczka Retingera, której najistotniejszym elementem będzie pobyt w Meksyku, gdzie zostanie doradcą rewolucyjnego rządu Eliasa Callesa. Ze względu na radykalny antyklerykalizm wspomnianego gabinetu posądzanego niejednokrotnie na Zachodzie o komunizowanie, wątek ten bywa częstym punktem wyjścia do jego krytyki. Sam Retinger twierdził, że tak złą prasę Meksyk zawdzięczał Waszyngtonowi, w którego wpływy uderzyła radykalna i niepodległościowa polityka Callesa, głównie w sektorze naftowym. Wskazywał ponadto, że agitatorzy bolszewicy byli wówczas przez władze Meksyku masowo wydalani.

Władze meksykańskie nie ukrywały jego znaczącej roli w poprawie stosunków z północnym sąsiadem, która nastąpiła na skutek prowadzonej przez niego akcji dyplomatycznej. Znamienną pod tym względem relację zamieścił podczas jednej z licznych emigracyjnych debat nad „szarą eminencją”, na łamach londyńskich „Wiadomości”, Aleksander Janta-Półczyński: „Żeby ukazać poziom jego stosunków, przypomnieć należy, że ludzie, z którymi w Stanach Zjednoczonych rozmawiał w interesie Meksyku Retinger, nazywali się: jeden Herbert Hoover, a drugi Felix Frankfurter” [odpowiednio – przyszły prezydent USA oraz sędzia Sądu Najwyższego – przyp. B. W.].

Jednak „bilateralne” stosunki na linii Retinger-Waszyngton miały się znacznie gorzej. Podczas tej samej wizyty został aresztowany, a następnie uznany za persona non grata. Stany Zjednoczone zażądały też wydalenia go z terytorium Meksyku, jednak władze meksykańskie kategorycznie odmówi-

ły. Gdy Calles został prezydentem, w uznaniu jego zasług określili Retingera jedynym doradcą, który wyjechał z Meksyku tak samo biedny, jak do niego przybywał. I rzeczywiście, Retinger nie przywiązywał wagi do kwestii materialnych, za to usilnie eksponował swoje wpływy, na każdym kroku starając się nimi imponować. To właśnie kontakty uważał za swój rzeczywisty kapitał, niejednokrotnie zresztą wyolbrzymiając ich skalę.

Okres dwudziestolecia był dla „prywatnego polityka” – jak z czasem zaczęto określać Retingera – relatywnie spokojny. Jako że cofnięto mu zakazy pobytu w Anglii oraz Francji, na swoją „bazę” wybrał Londyn. Często bywał też w Warszawie i Paryżu. Utrzymując świetne stosunki z Partią Pracy, która w 1924 roku doszła do władzy, lobbował na rzecz jej współpracy z Polską Partią Socjalistyczną, której był swoistym zagranicznym reprezentantem. W ramach tej działalności aranżował m.in. wizyty polskich socjalistów u labourzystowskich ministrów, z premierem MacDonaldem włącznie. Ponadto bardzo wzrosły – za sprawą aktywności w Meksyku – jego wpływy w międzynarodowych centralach związków zawodowych.

Jednak dwudziestolecie to także czas powrotu do idei zjednoczeniowej. Początkowo Retinger starał się forsować ją w Polsce, gdzie nie spotkał się z większym zainteresowaniem, nie będąc chyba traktowanym poważnie. Lepsze widoki dawała pod tym względem Anglia. Jak sam pisał: „W początkach XIX stulecia pewne idee były skutecznie rozpowszechniane przez swego rodzaju porozumienia rozmaitych ludzi w różnych krajach. Wydawało mi się, że moglibyśmy posłużyć się podobną metodą”. Widząc w zjednoczeniu drogę do zażegnania problemów ekonomicznych i zaprowadzenia trwałego pokoju, przekonał do swej koncepcji bardzo wpływowego labourzystę Edmunda Morela. Czy była to postać istotna? Najlepszą odpowiedzią będzie informacja, że właśnie w tym okresie pokonał on w wyborach Winstona Churchilla. Jednak krótko po zwycięstwie zmarł, tym samym Retinger utracił „motor napędowy” swojego planu.

Tajemnicą pozostaje jego rzekome zaangażowanie na rzecz powstania Abd el Karima w Maroku. Zarzut

ten, bardzo popularny w latach późniejszych w łonie polskiej emigracji, wysuwał wobec Retingera choćby Stanisław Cat-Mackiewicz. Jednak nie są znane żadne źródła potwierdzające jego rzeczywisty udział w dozbajaniu tej, skierowanej przeciwko Hiszpanii i Francji, rewolty. Zdaniem biografy „szarej eminencji”, Bogdana Podgórskiego, nie można tego jednak wykluczyć. Tym bardziej, że Abd el Karim ubiegał się o taką pomoc u europejskich ugrupowań lewicowych. Równie jednak prawdopodobne, że inspiratorem tych pogłosek był sam Retinger, lubiący przesadnie podkreślać swoją rolę i roztaczać wokół siebie aurę tajemniczości.

Druga połowa lat 30. to czas, gdy swą aktywność koncentruje całościowo na wspieraniu antysanacyjnej opozycji, którą zresztą pod postacią Frontu Morges współorganizuje, nieustannie podróżując na linii Londyn-Paryż-Warszawa-Praga. Mimo podejrzliwości jaką wzbudza u czołowych jej polityków, traktowany jest przez nich z estymą. Po konferencji monachijskiej Wincenty Witos w swych pamiętnikach zapisuje: „Pan Retinger w liście z Londynu ocenia położenie bardzo pesymistycznie. Relacje jego biorę jednak dość poważnie, gdyż wielokrotnie jego przewidywania się niemal w całości spełniały. Sądzi, że los Polski jest przesądzony”.

Kłeska wrześniowa i katastrofa Francji paradoksalnie stwarzają Retingerowi nie lada okazję. W chaosie panującym w związku z dokonującym się upadkiem „największej europejskiej potęgi”, potrafi, jak nikt, zachować zimną krew. To on podejmuje działania, by przekonać Churchilla o konieczności ratowania pozostawionych we Francji wojsk polskich, a przede wszystkim – generała Sikorskiego, którego z jednej strony uważał za „prawdziwego męża stanu”, z drugiej zaś – co niewątpliwie ma tu znaczenie – osobę sympatyzującą z koncepcjami zjednoczeniowymi. Zgodę taką uzyskał, po czym natychmiastowo wyruszył przydzielonym mu wraz z załogą samolotem(!) za kanał La Manche, gdzie mimo powszechnego chaosu, odnalazł Sikorskiego. Ten nazajutrz zarządził ewakuację, samemu wyruszając z Retingerem do Londynu. Od tego momentu, przez kolejne trzy lata, nietypowy dyplomata będzie jednym z najbliższych współpracowników generała, otwierając mu nieosiągalne dla pozostałych polskich polityków drzwi.

W tym miejscu warto zastanowić się nad kwestią wzbudzającą największe kontrowersje – skąd brały się tak szerokie umocowania Retingera? Tezą powszechnie panującą w „polskim Londynie”, żywą zresztą i dziś, było przekonanie, że jest on wysokiego szczebla agentem brytyjskiego wywiadu. I rzeczywiście, mogłoby wydawać się to prawdopodobne. Jednak przeczą temu dokumenty MI6, przekazane na prośbę polskiego wywiadu w 1943 roku, opublikowane przez prof. Jana Ciechanowskiego, a także materiały na temat Retingera wytworzone przez brytyjskie Foreign Office w latach 1941-1945. Wynikało z nich, że Londyn sam rozpracowywał Retingera, podejrzewając go na przestrzeni lat o działalność na rzecz Niemiec, Polski, a także Kominternu, przy czym żadnej z wersji nie potwierdzono. Dla odmiany – Francuzi widzieli w nim człowieka Watykanu; Amerykanie – agenta służb meksykańskich, a Beria w kwietniu 1945 roku depešował do Stalina: „Według posiadanych przez nas informacji Retinger jest agentem angielskiego wywiadu”. „Za dużo, jak na jednego człowieka” – skwitował po latach tę kwestię prezydent Ryszard Kaczorowski.

Czy zatem Retinger był agentem? Wszystko wskazuje na to, że, przynajmniej do roku 1945 nie był etatowym agentem którejkolwiek ze służb. Natomiast na pewno – jak pisze kilku zajmujących się tą postacią badaczy – można traktować go jako politycznego agenta wpływu, zarówno angielskiego przy rządzie polskim, jak i polskiego przy rządzie angielskim. Nie ułatwia odpowiedzi postawa samego Retingera, który dla podtrzymania swojej enigmatyczności z reguły nie odnosił się do tej kwestii. Traktowana przez niektórych jako dowód odpowiedź na uszczypliwe pytanie Tomasza Arciszewskiego (- „To ilu wywiadom pan służy, bo mówi się, że trzem? – Tylko dwóm: polskiemu i angielskiemu. Żadnemu trzeciemu”) wynika – jak twierdzi Bogdan Podgórski, biograf „prywatnego polityka” – z nieznamości Retingera, który czując się atakowany, często uciekał w kpiny z adwersarza.

Inaczej rzecz wygląda z drugą, wysuwaną w kontekście jego szerokich wpływów kwestią, mianowicie – przynależnością do masonerii. Wiele wskazuje na to, że Retinger był wysokiego szczebla członkiem loży

„Les Renovateurs” należącej do Wielkiego Wschodu Francji. Wiadomo także, że na początku lat 30. starał się o przyjęcie do Wielkiej Loży Narodowej Polski, posiadającej na terenie Rzeczypospolitej znacznie większe wpływy. Według informacji MI6 miał zajmować również ważne stanowisko w syjonistycznej „B'nai B'rith”, choć kłóciłoby się to z głoszonym przez niego poglądem na kwestię żydowską. Nie był on bowiem bynajmniej zwolennikiem utworzenia państwa Izrael.

Pod skrzydłami i z poparciem gen. Sikorskiego zaczął Retinger na nowo forsować koncepcję zjednoczenia powojennej Europy. Co ważne, rzecznikiem tego pomysłu był też szef dyplomacji polskiej, August Zaleski. Retinger, uważając temat zjednoczenia całego kontynentu za mglisty i na ten moment (1940 – B.W.) utopijny, działał dwutorowo – z jednej strony pracując na rzecz powstania federacji państw Europy Środkowo-Wschodniej, której trzonem miały być Polska i Czechosłowacja; z drugiej – propagując analogiczną ideę wśród polityków z mniejszych państw zachodniej części kontynentu, Skandynawii oraz Bałkanów. Powstałe – jak wierzył – po wojnie tego typu organizmy, miały równoważyć pozycję największych europejskich graczy i być punktem wyjścia dla dalszej integracji na równych zasadach. Co ważne – miała się ona odbywać przede wszystkim na płaszczyźnie ekonomicznej, której podstawą był w jego przekonaniu jednolity system celny. Stanem pożądanym przez Retingera było doprowadzenie do gospodarczej nieopłacalności ewentualnego konfliktu.

Korzystając z tego, że rządy niemal wszystkich okupowanych krajów przeniosły się do Londynu, wyszedł z inicjatywą organizowania cyklicznych spotkań ministrów, które w ramach utworzonego na jego wniosek Sekretariatu Międzyalianckiego, odbywały się od roku 1940 w siedzibie polskiego rządu. Miało to w jego zamyśle wzmacniać prestiż Polski oraz podkreślać rolę Sikorskiego w podjętej inicjatywie. Efektem powyższych działań było głośne przyjęcie Zasad Aktu Konstytucyjnego Związku Polski i Czechosłowacji, a rok później – deklaracji o przyjęciu zasad przyszłej Unii Bałkańskiej, firmowanej przez rządy Jugosławii i Grecji. Retinger planował poszerzenie obu organizmów o inne państwa

regionu, a finalnie – zjednoczenie ich, co skutkowałoby realizacją koncepcji Międzymorza. Równoległe optował za spopularyzowaniem wspomnianej idei w Stanach Zjednoczonych, gdzie w 1941 roku powołana została Rada Planowania Europy Centralnej i Wschodniej, zrzeszająca liczne grono intelektualistów z zainteresowanych państw. Znamienne, że na jej czele stanął Polak, związany z PPS, prof. Feliks Gross.

W siedzibie rządu polskiego toczyły się również konferencje z udziałem przywódców mniejszych państw zachodnich – głównie Belgii i Holandii. Że miały one swoją wagę, niech świadczy fakt, że ich uczestnikami byli politycy pokroju Paula-Henry Spaaka czy Paula van Zeelanda. Po latach Retinger podsumowywał je w ten sposób: „Myślę, że mam rację, twierdząc, że pierwsza sugestia Beneluxu wyłoniła się z naszych rozmów, poświęconych blokom federacyjnym”. Czy rzeczywiście miał rację? Odpowiedzieć nie sposób. Faktem jest, że już w roku 1943 uczestnicy wspomnianych konferencji podpisali porozumienie o przyjęciu prowizorycznego układu monetarnego, a nieco potem – konwencję o powołaniu Beneluxu.

Rok 1943 okazał się jednak dla forsowanych przez Retingera koncepcji dotyczących przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej, tragiczny. Po ujawnieniu zbrodni katyńskiej i zerwaniu stosunków polsko-sowieckich, idea federacyjna zaczęła być już jawnie sabotowana przez Moskwę, której udało się oderwać od niej głównego partnera Polski – Czechosłowację. W lipcu 1943 roku nastąpił kolejny cios, mianowicie – śmierć generała Sikorskiego, zapewniającego całemu projektowi odpowiednią rangę. Według różnych relacji Retinger miał przeżyć tę stratę niezwykle osobiście.

Jednak tragedia ta przyniosła też kolejne podejrzenia dotyczące „szarej eminencji”. W „polskim Londynie” zaczęto – zgodnie z prawdą – akcentować, że tragiczna podróż Naczelnego Wodza była jedyną od 1940 roku, w której nie towarzyszył mu równie wpływowy, co nie lubiany – szczególnie po podpisaniu Układu Sikorski-Majski – doradca. Miało to wskazywać na jego powiązania z ewentualnymi zamachowcami. I niewątpliwie, wątek ten działa

na wyobraźnię. Warto jednak zwrócić uwagę na dwa spostrzeżenia biografy Retingera, Bogdana Podgórskiego: Retinger uczestniczył w obu wcześniejszych lotach Sikorskiego, w trakcie których życie polskiego przywódcy i wszystkich pasażerów zawisło na włosku; według niezależnych relacji ze strony polskiej, Retinger nie polecał w tragiczną podróż z inicjatywą samego generała.

W kwestii ewentualnej współodpowiedzialności Retingera, jego „przeciwnicy” często powołują się na słowa samego Sikorskiego, jakie według relacji prof. Kota miał przekazać politykowi przed jego podróżą do Moskwy, gdzie ten został mianowany ambasadorem: „Ostrzegam cię jak najbardziej stanowczo przed tym włóczęgą. Ja nie wiem dla kogo on pracuje. Ja go tam na swoją odpowiedzialność nie wyślę. Ile on tam i z kim naintryguje, nie mogę przewidzieć”. Pomija się jednak fakt, że zdaniem prof. Kota, Sikorski mówił to pod wpływem silnej irytacji (w relacjach Sikorski-Retinger całkiem częstej). Wystarczy wspomnieć, że nazywany przez generała „kuzynkiem diabła” doradca, aż sześciokrotnie składał rezygnację z pełnionego stanowiska. Warto też uwzględnić relację jednego z najbliższych Sikorskiemu ludzi, ówczesnego ministra obrony narodowej, gen. Kukieła: „Nie mam cienia wątpliwości, że Retinger był człowiekiem niesłychanie przywiązany do gen. Sikorskiego. Dbał o wielostronność powiązań brytyjskich generała. Był to człowiek bardziej dobrej woli, niż to się widziało Polakom [...]”.

Po śmierci generała Sikorskiego Retinger doradzał jego następcy, premierowi Mikołajczykowi, jednak ich relacje układały się znacznie gorzej. Wielką zagadką pozostaje kwestia owianej tajemnicą misji Retingera w okupowanej Polsce, którą formalnie zaproponował mu Mikołajczyk, jednak – jak wiele wskazuje – rzeczywista inicjatywa leżała po stronie mocarstw zachodnich. Jej celem miało być według jednych relacji – wybadanie rzeczywistych nastrojów w kierownictwie polskiego podziemia; według innych – nakłonienie liderów Podziemnego Państwa do ustępstw koniecznych dla osiągnięcia porozumienia z ZSRR, a tym samym zdobycie poparcia dla polityki Mikołajczyka; według jeszcze innych – zbadanie ewentualnych możliwości kon-

tynuowania pracy podziemnej pod okupacją sowiecką. Jest to jednak temat zbyt obszerny, godny osobnego tekstu. Dość wspomnieć, że w trakcie jej trwania zarówno ze strony pewnych czynników w łonie AK, jak i ze strony Narodowych Sił Zbrojnych, podjęto – nieudane, co rodzi kolejne wątpliwości! – próby zglądzenia jego osoby. Znamienne, że ten najstarszy w dziejach II wojny światowej skoczek spadochronowy (w chwili skoku miał 58 lat), wracał z podjętej misji częściowo sparaliżowany. Jeszcze bardziej – że tuż po przyjeździe do Londynu, zgodnie z relacją jego towarzysza, emisariusza rządu polskiego Tadeusza Chciuka, odwiedzili go osobiście m.in. szef dyplomacji angielskiej Anthony Eden, członek gabinetu wojennego Churchilla – Stafford Cripps oraz szef Special Operations Executive, mjr Collin Gubbins.

Kończąc ten wątek można przywołać fragment raportu sporządzonego przez Foreign Office na podstawie zeznań Retingera: „[...] wyraża on opinię, że Polska będzie popierać Mikołajczyka w osiągnięciu porozumienia ze Stalinem, nawet jeżeli będzie się to wiązało z utratą Wilna, ale już nie za cenę utraty Lwowa. Twierdzi [Retinger – B. W.], że w tej sprawie jest znacznie większa jedność Polaków w kraju, niż wśród Polaków za granicą, a Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego reprezentuje obecnie jedynie 2% (sic! – B.W.) populacji, chociaż w wyniku wyzwolenia przez Sowieców, odsetek ten może wzrosnąć do 15%, ale nie więcej [...]”. Nie wydaje się, by była to rzetelna relacja nastrojów panujących w nieustępliwie usposobionym Kraju. Czy w ten sposób chciał skłonić Brytyjczyków do powrotu na drogę koncepcji pojawiających się jeszcze w 1943 roku, skłaniających się do poparcia Polski w kwestii Lwowa, pod warunkiem rezygnacji z Wilna? Nie sposób odpowiedzieć.

Jesienią 1945 roku Retinger – formalnie nie reprezentując żadnej instytucji! – wychodzi z inicjatywą zorganizowania misji humanitarnej dla wyniszczonej Polski. Nawiązuje w tym celu kontakt ze Staffordem Crippsem oraz Hugh Daltonem, pełniącymi wówczas rolę odpowiednio – ministra handlu oraz ministra skarbu w gabinecie Clemensa Atlee. W efekcie rząd brytyjski godzi się na pomoc materialną w postaci „żywności, odzieży, artykułów go-

spodarstwa domowego, kuchni polowych oraz mostów pontonowych”, szacowaną na 4 mln funtów. Sam Retinger zyskuje tym samym świetny pretekst do pojawienia się w Polsce. Wydaje się prawdopodobne, że zamierzał wówczas pozyskać wpływy w kręgach Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Mimo odbycia szeregu rozmów z politykami pokroju Władysława Gomułki, Hilarego Minca czy – ponownie – Stanisława Mikołajczyka, będąc podejrzewanym o pracę dla wywiadu angielskiego, zostaje zmuszony do opuszczenia komunistycznej Polski.

Od 1946 roku, Retinger wraca na dobre do pracy nad swą *idee fixe*. Prowadzi szereg rozmów z politykami europejskimi. Lobbuje także w Stanach Zjednoczonych, gdzie dotarł z pomocą ambasadora USA w Londynie – Averella Harrimana. W efekcie z inicjatywy Retingera powstaje Niezależna Liga Współpracy Gospodarczej. Jednak w obliczu narastającej popularności idei zjednoczeniowej, równoległe powstaje szereg innych organizacji działających na tym polu. Wobec dużego ich rozdrobnienia, Retinger uważa za konieczne skoordynowanie ich wysiłków. W tym też duchu działa, doprowadzając latem 1947 roku do zwołania konferencji, której efektem jest powołanie Międzynarodowego Komitetu Koordynacyjnego Ruchów na rzecz Jedności Europejskiej. Honorowym przewodniczącym ciała wybrany zostaje Winston Churchill, przewodniczącym Duncan Sandys, a rola sekretarza przypada Polakowi, który szybko zostaje też oddelegowany do pertraktacji na rzecz uzyskania wobec wspomnianej idei niezbędnego poparcia Stolicy Apostolskiej. Hierarchą, z którym w tej kwestii prowadził zakończone sukcesem rozmowy był kardynał Montini – przyszły papież Paweł VI.

Kolejnym ważnym wydarzeniem, w którym istotną rolę odgrywa „szara eminencja” – Józef Retinger, będzie zwołany w maju 1948 roku Kongres Europy w Hadze. Podczas imprezy, w przeciwieństwie do negocjacji organizacyjnych, Retinger pozostaje (w swoim stylu) w cieniu. Brylują Winston Churchill, Alcide de Gasperi, Paul-Henry Spaak oraz Paul Ramadier. W osobach Edwarda Raczynskiego i Stanisława Mikołajczyka, reprezentowana na imprezie była także Polska.

W wyniku ustaleń poczynionych podczas kongresu, pół roku później powołany zostaje Ruch Europejski, który już na pierwszej konferencji przyjmuje Deklarację Zasad Politycznych Unii Europejskiej. Ruch ten, którego Retinger jest – standardowo – sekretarzem, postuluje konieczność powołania Rady Europy, Zgromadzenia Europejskiego, Europejskiego Trybunału Praw Człowieka oraz przygotowania europejskiego programu surowcowego, regulującego rynek surowców i produktów przemysłu węglowego i stalowego. Ten ostatni postulat, jak twierdzi Bogdan Podgórski, „został uwzględniony w przedstawionym w maju 1950 roku planie Schumana”.

Powstanie w 1949 roku Rady Europy to z jednej strony niewątpliwie szczęśliwy finał wieloletnich starań Retingera; z drugiej – moment, gdy, jako osoba nie reprezentująca żadnego państwa, siłą rzeczy zaczyna tracić na znaczeniu. Zostanie jeszcze, wraz z przyszłym premierem Wielkiej Brytanii, Haroldem Macmillanem, inicjatorem powołania przy Radzie Komisji ds. Europy Wschodniej, o której utrzymanie będzie następnie zabiegał. Rozczarowaniem, które pociągnie za sobą dalsze obniżenie jego pozycji w ruchu zjednoczeniowym, okaże się postawa Churchilla, który po powrocie do władzy, wbrew zapowiedziom, zaczął wycofywać się z postulowanego wcześniej „kursu na zjednoczenie”, ustępując tym samym patronom „kontynentalnym” z Jeanem Monetem oraz Robertem Schumanem na czele. Dokonają oni w kwestii integracji europejskiej swego rodzaju resetu, bazując na doświadczeniach dotychczasowych prób integracji zakończonych powołaniem Rady Europy, zaowocuje podpisaniem w 1951 roku Traktatu Paryskiego, powołującego Europejską Wspólnotę Węgla i Stali.

Retingera nie wymienia się dziś w panteonie „Ojców Zjednoczonej Europy”. Czy jego osiągnięcia go do tego predestynują? Nie podejmuję się odpowiedzieć na to pytanie. Niewątpliwie jednak spośród Polaków głoszących koncepcje zjednoczeniowe, żaden nie zbliżył się do roli, jaką odgrywał ten tajemniczy obywatel świata rodem z – o czym do końca pamiętał – Krakowa. Warto przytoczyć też w tym kontekście opinię Paula-Henry Spaaka: „Wyjątkowa postać [...]. Inteligentny, aktywny, trochę tajemniczy [...]. Podczas wojny stał u źródeł dyskusji, które Polacy, Ho-

lendrzy, Norwegowie i my, Belgowie, prowadziliśmy, by ustanowić między nami nowe więzy. Po wojnie, kontynuując swój wysiłek, został jednym z najbardziej przekonanych twórców Zjednoczonej Europy. Jego imię powinno na zawsze zostać zaliczone do jej pionierów”.

Ostatnim projektem politycznym Józefa Retingera było utworzenie forum umożliwiającego ponadpaństwowy dialog elit świata europejskiego i amerykańskiego. To z jego inicjatywy, po dwóch latach przygotowań, w 1954 roku odbył się pierwszy zjazd wpływowych gremiów reprezentujących obie strony Atlantyku. Miejscem wspomnianego spotkania był hotel... „Bilderberg”, a zjazdy przybrały charakter cykliczny. Retinger do końca życia pozostawał sekretarzem generalnym budzącej liczne pytania Grupy Bilderberg, nazywanej niekiedy Rządem Światowym, stojąc równocześnie na czele jej Komitetu Wykonawczego.

O roli „szarej eminencji” w powstaniu Grupy najlepiej świadczy relacja włoskiego dyplomaty, Pietro Quaroniego, uczestniczącego w spotkaniach przygotowujących inauguracyjny zjazd: „Był chyba jedynym z nas, który naprawdę przestudiował problem z obu stron Atlantyku i miał określone poglądy na ten temat. Stary intrygant miał tak miły sposób bycia, że godziliśmy się na wszystko, czego chciał”.

W 1958 roku Retinger został nominowany do pokojowej Nagrody Nobla. Na przestrzeni lat, poza działalnością polityczną, którą starałem się zarysować, zajmował się także publicystyką. Co ciekawe – jej istotna część poświęcona była promocji Polski oraz polskiego wkładu w kulturę europejską, stąd w jego bibliografii znajdziemy pozycje takie, jak – wydana w Wielkiej Brytanii – *All about Poland* czy we Francji – *La Pologne et l'Equilibre europeen*.

Osoba Józefa Hieronima Retingera dziś, tak jak przed laty, budzi emocje i kontrowersje. Z takim stanem rzeczy chyba po prostu trzeba się pogodzić. Warto jednak, by nie budziła ich jedynie wśród nelicznych i mam nadzieję, że choć w najmniejszym stopniu, przyczyni się do tego ten tekst. Na zakończenie warto przytoczyć fragment rozmowy z innym propagatorem idei zjednoczeniowej, prywatnie przy-

- jacielem Retingera, Denisem de Rougemont, który mówi więcej, niż niejeden poświęcony mu elaborat: a także sympatykiem komunizmu. Czasem nawet dodają, że jesteś Żydem i pederastą. Co mam na to powiedzieć?
- Powiedz mi Joseph, mówią, że jesteś masonem, agentem Intelligence Service, CIA i Watykanu, – Powiedz, że to jeszcze nie wszystko.

Bartosz Wójcik

Stały współpracownik czasopisma idei „Pressje” i stały autor oraz portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Z pochodzenia Ormianin, z narodowości Polak. Ród Krzeczunowiczów w służbie Polsce

Jan Woźniak

„Gente Ruthenus, natione Polonus”. Pomimo stanowej ekskluzywności, szlachecki naród w I Rzeczypospolitej miał jedną zasadniczą wartość: jako naród polityczny nie patrzył na etniczne korzenie Polaków, obywateli I RP. Sięgnięcie po te dawne wzorce jest szczególnie potrzebne w Polsce po Jałcie, gdzie dawna różnorodność została zastąpiona etniczną jednością, a wszystkie znaki na niebie i ziemi sugerują, że już wkrótce się to zmieni. Stąd warto snuć takie opowieści, jak ta o przedstawicielach ormiańskiego rodu Krzeczunowiczów, przybyłego na ziemie polskie jeszcze w XVII wieku. Pierwszy z nich walczył o poprawę polskiego losu pod austriackim zaborem, drugi – w mundurze kawalerzysty bił bolszewików w 1920 roku, zaś ostatni jest jednym z architektów wejścia Polski do NATO.

Protoplasta rodu, Kirkor Der Awedykiewicz (według przekazów rodzinnych potomek cypryjskich krzyżowców) został wybrany pierwszym wójtem ormiańskim w Stanisławowie, mieście założonym w 1662 r. przez Potockich. Syn Kirkora, Kreczun, miał wziąć udział w odsieczy wiedeńskiej i bitwie pod Połtawą. To właśnie od tego imienia pochodzi nazwisko, jakie przyjęli jego potomkowie. Jeden z nich, Walerian, stworzył w pierwszej połowie XIX w. ekonomiczne podstawy potęgi rodu, koncentrując w swoich rękach kilka majątków ziemskich na czele z Bołszowcami, które stały się siedzibą rodziny.

BOJOWNIK O CHLOPSKĄ DUSZĘ

Wychowywany od dziecka na działacza publicznego, Kornel Krzczunowicz (ur. 1815), syn Waleriana, hołdując przedrozbiorowemu zwyczajowi, po uzyskaniu wykształcenia prawniczego na Uniwersytecie Lwowskim, udał się na ponad dwuletnią podróż po Europie, połączoną ze studiowaniem prawa i nauk ekonomicznych na zagranicznych uczelniach (m. in. na Sorbonie i Collège de France). Podczas wojaży zetknął się z wybitnymi postaciami Wielkiej Emigracji, przede wszystkim z księciem Adamem Jerzym Czartoryskim, duchowym przywódcą polskich konserwatystów tego okresu. Odwiedziwszy Włochy, Szwajcarię, Francję i Anglię, powrócił w 1842 r. do Galicji.

Szybko rzucił się w wir działalności publicznej, a jego zainteresowania koncentrowały się wokół stosunków panujących na galicyjskiej wsi, które, podobnie jak światlejsi ludzie epoki, uważał za anachroniczne i generujące konflikty między chłopem a dworem. Reforma józeffińska oddzieliła wprawdzie grunty szlacheckie od włościańskich, lecz na posiadaczach tych ostatnich nadal ciążył obowiązek odrabiania pańszczyzny oraz rozmaitych usług. By wyegzekwować realizację tych zobowiązań, ziemianie uciekali się nierzadko nawet do użycia siły.

Młody Krzczunowicz, uznając ten stan rzeczy za przeszkodę w modernizacji kraju, zaangażował się w prace nad projektem reformy mającej na celu zniesienie pańszczyzny, której patronowali hrabia Kazimierz Krasicki i Leon Sapieha. Choć plany galicyjskich „proto-pozytywistów” zostały zablokowane

przez dwór wiedeński, pewnym sukcesem było jednak samo podjęcie dyskusji nad modernizacją ustroju społeczno-gospodarczego kraju.

Dla Kornela Krzczunowicza prace stanowiły zaś okazję do nabycia doświadczenia w sejmie stanowym. Ostatecznie jednak reformę zainicjowaną przez szlachtę uniemożliwiły krwawe wydarzenia rabacji, a finalnym zwycięzcą „wyścigu o duszę polskiego chłopca”, jako określił to prof. Jerzy Zdrada, stała się w 1848 r. austriacka administracja, uprzedzając ziemian galicyjskich w zniesieniu pańszczyzny.

NASZ CZŁOWIEK W WIEDNIU

Wkrótce nastąpiła zmiana na tronie w Wiedniu, w wyniku której nastał świat – jak pisał Bruno Schulz – ograniczony Franciszkiem Józefem. Świat ten wprawdzie tylko pozornie okazał się być tak niezmienny, jak sugerować by mógł utrzymujący się przez ponad 60 lat na monetach wizerunek cesarski. Niemniej początkowo tryumfował neoabsolutyzm, który ucieleśniał cesarski minister Aleksander von dem Bach. Mimo ograniczonych możliwości działania, Krzczunowicz nie wycofał się z życia publicznego, pisząc opracowania dotyczące m. in. polityki fiskalnej i regulacji serwitutów, które, po zniesieniu pańszczyzny, stanowiły główną oś sporu pomiędzy włościanami a szlachtą. Jednak dopiero cesarski dyplom październikowy z 1860 r., powołujący sejmy krajowe w częściach składowych wielonarodowej monarchii habsburskiej, umożliwił Krzczunowiczowi rozwinięcie skrzydeł. I nie tylko jemu – kolejne lata stanowiły bowiem dla galicyjskich elit szkołę *Realpolitik*, której sednem było wydzieranie kolejnych koncesji od Wiednia i mozolne budowanie autonomii polityką małych kroków.

Wybrany posłem do Sejmu Krajowego, Krzczunowicz był wielkim orędownikiem projektu rezolucji, która zawierałaby klauzulę, że uchwały wiedeńskiego parlamentu nie mogą mieć mocy obowiązującej bez aprobaty Sejmu Krajowego. Stąd centrowe ugrupowanie sejmowe, do którego należał Krzczunowicz, zwane było Klubem Rezolucjonistów. Miał on wypełnić lukę pomiędzy lojalistycznymi „mamelukami” pod wodzą Franciszka Ziemiałkowskiego a operującymi patriotycznymi frazesami „trom-

tadtratami”. Krzeczunowicz, określany w środowisku krakowskiego „Czasu” jako człowiek – instytucja, sprawował również mandat posła do parlamentu wiedeńskiego, w którym zasłynął żądaniem powołania galicyjskiego kanclerza. Krytykował ponadto pomysł zrzekania się mandatów przez posłów polskich w parlamencie wiedeńskim, uznając taką formę protestu przeciwko polityce rządu centralnego za pusty gest. W liście do Henryka Wodzickiego pisał: „Irlandczycy zasiadają w parlamencie mimo, że są w opozycji, i my robimy to samo”.

Największym osiągnięciem Kornela było doprowadzenie do uchwalenia ustawy o podatku gruntowym, który zawierał ulgi dla zacofanej gospodarki Galicji. Konserwatywny rząd Eduarda Taaffego, w którym ministrami byli Julian Dunajewski i Florian Ziemiałkowski, stał się z tego powodu obiektem ataków ze strony opozycji. Kornel w czterogodzinnym przemówieniu obronił projekt, który został przyjęty bez zmian.

Krzeczunowicz zmarł na gripę kilka tygodni później, w styczniu 1881 r., osłabiwszy organizm intensywnymi przygotowaniem do kolejnej sesji parlamentu. Celnie, choć w nieco patetycznym stylu, podsumował dorobek Kornela Krzeczunowicza jego wnuk i imiennik: „Był stuprocentowym Ormianinem, a jednak myśli jego, serce i praca całego życia były skierowane wyłącznie na wydobywanie narodu polskiego z biedy do dobrobytu, z niewoli do niepodległości, a co najmniej do pełnej autonomii zaboru austriackiego”.

JAK POBILIŚMY BOLSZEWIKÓW POD KOMAROWEM

Wnuk galicyjskiego męża stanu, Kornel Krzeczunowicz (ur. 1894), wszedł w dorosłość, gdy zaczynał walić się stary świat. Po maturze – wzorem dziadka – rozpoczął studia prawnicze, równocześnie podejmując pracę sekretarza marszałka powiatowego. Dzięki wysokiemu statusowi materialnemu i towarzyskiemu rodziców miał okazję wiele podróżować, a jego reportaże z wizyt w Norwegii i Egipcie zostały przedrukowane przez lwowską Gazetę Narodową. Zmobilizowany w 1914 do C.K. armii, włożył mundur 1. Pułku Ułanów Galicyjskich. Los rzucił go na front włoski, gdzie przeżył piekło III bitwy nad rzeką

Isonzo. Po zakończeniu wojny wraz z całym pułkiem, przemianowanym na 8. Pułk Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego, wstąpił do nowo tworzonego Wojska Polskiego.

W 1920 r. brał udział w „ostatniej kampanii konnej”, prowadzonej przeciwko 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego. W sierpniu tego roku, jako 26-letni rotmistrz, został dowódcą pułku, na czele którego wziął udział w zwycięskiej bitwie pod Komarowem. To właśnie dowodzona przez niego szarża rozstrzygnęła o losach batalii. 8. Pułk Ułanów zdobył wówczas samochód dowódcy słynnej Konarmii, zaś sam Budionny ranny uszedł z pola bitwy.

Po latach snuł gorzką refleksję nad zapadłymi w 1921 r. rozstrzygnięciami politycznymi: „Wygraliśmy wojnę, ale przegraliśmy pokój” – pisał o traktacie ryskim. „Nie było powodu do tak kompromitujących ustępstw, jak zdrada naszych sprzymierzeńców przez uznanie komunistów ukraińskich za reprezentantów tego nieszczęsnego narodu” – konstatował. Choć Krzeczunowicz pragnął pozostać w barwach swojego pułku, konieczność objęcia w spadku po ojcu spustoszonego przez wojnę majątku w Bołszowcach zmusiła go do odejścia z wojska. Gdy jednak uporządkował rodzinne sprawy, poszedł w ślady swego dziadka – w latach 30. został posłem na Sejm RP wysuniętym przez Lwowską Izbę Rolną. Sprawując mandat z ramienia BBWR, koncentrował się przede wszystkim na zagadnieniach związanych z gospodarką agrarną, czemu dał wyraz m. in. zakładając klub parlamentarny „Koło Rolników”, w którym pełnił funkcję sekretarza generalnego.

POLSKI POZYTYWISTA NA BRYTYJSKIEJ EMIGRACJI

Po kampanii wrześniowej przekroczył Karpaty i *via* Włochy przedarł się do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po zakończeniu wojny pozostał na emigracji w Anglii, udzielając się aktywnie w środowiskach polskich weteranów, pisząc opracowania z zakresu historii wojskowości i publikując w paryskiej „Kulturze” czy „Przeglądzie Kawalerii i Broni Pancerniej”. Był również współzałożycielem i wieloletnim prezesem powstałego w 1945 r. Związku Rolników Polskich w Wielkiej Brytanii, którego celem była koleżeńska samopomoc i poznanie możliwości prowadzenia

działalności rolniczej na Wyspach – a później – wspieranie zakładania polskich farm, prowadzenie szkoleń i kultywowanie rodzimych tradycji.

Pod koniec życia przyszło mu stoczyć ostatnią bitwę, wprawdzie nie szablą, a piórem – w 1983 r. ukazała się bowiem broszura jego autorstwa, zatytułowana *Wspomnienie o generale Tadeuszu Rozwadowskim*. Pisząc o zmarłym przed laty przyjacielu rodziny, Krzeczunowicz określił go jako „architekta największego polskiego zwycięstwa od czasów Jana III Sobieskiego”, oskarżając równocześnie Józefa Piłsudskiego o wyrządzenie generałowi ogromnej krzywdy i sprowadzenie Polski – poprzez traktowanie przeciwników zamachu majowego – do poziomu „któreś z niestałych republik południowoamerykańskich”. Publikacja wywołała wrzenie w środowiskach piłsudczykowskich, a jej autor ostatecznie złożył funkcję redaktora naczelnego „Przeglądu Kawalerii”.

Zmarł pod koniec 1988 r., a pochowany został na cmentarzu Gunnersbury. W polskim środowisku emigracyjnym pozostawił po sobie pamięć światłego i niezwykle zaangażowanego w sprawy wspólnoty obywatela, odważnego oficera, a także utalentowanego autora opracowań historycznych i pamiętników.

NA „MEDIALNYM POSTERUNKU” W RADIU WOLNA EUROPA

Syn Kornela, Andrzej (ur. 1930), dorastał już w Wielkiej Brytanii. Uzyskał stypendium na uniwersytecie w Strasburgu, gdzie przypadkowo – podczas próby francuskojęzycznego przedstawienia – wypatrzył go Jan Nowak Jeziorański. Dawny „kurier z Warszawy” i szef polskiej sekcji Radia Wolna Europa zaproponował młodemu Krzeczunowiczowi pracę tłumacza w monachijskiej rozgłośni, którą ten chętnie przyjął. Przekładał m.in. reportaże autorstwa Zbigniewa Błazyńskiego, powstałe w wyniku rozmów dziennikarza z Józefem Światłą. Efekt tej pracy – nadawanie przez sekcję polską RWE wywiadów z byłym szefem departamentu X MBP, Krzeczunowicz uważał za pierwszy i fundamentalny sukces rozgłośni, który umożliwił zdobycie szerokiego audytorium w Polsce Ludowej.

W kolejnych latach syn ułana spod Komarowa pełnił funkcję redaktora, kierownika dziennika

radiowego, wreszcie wicedyrektora rozgłośni. Krytycznie oceniał funkcjonowanie Radia w latach 80., a źródło stopniowej utraty świetności upatrywał m.in. w działalności peerelowskich służb, które instalowały agentów w zespole dziennikarzy. Takim „kretem” był na przykład Józef Ptaczek, ps. „Koliber”, toczący konflikt z trzecim dyrektorem sekcji polskiej RWE, Zdzisławem Najderem.

Poza pracą w Radiu, Andrzej Krzeczunowicz pisał jako tzw. stringer (niezależny dziennikarz) do tygodnika „Time”. Szczególnie intensywny okres współpracy z amerykańskim tygodnikiem przypadł na lata 70., po usunięciu przez Breżniewa z terenu ZSRR wszystkich korespondentów tego medium. Dzięki wykonywanej pracy, Krzeczunowicz miał okazję zaprzyjaźnić się z korespondentem tygodnika, „Stroben” Talbottem, późniejszym zastępcą sekretarza stanu w administracji Billa Clintona. Znajomość ta okazała się niezwykle cenna po kilkunastu latach, gdy były dziennikarz RWE został Stałym Przedstawicielem RP przy NATO.

CICHY BOHATER POLSKIEJ DROGI DO NATO

Kariera dyplomatyczna Andrzeja Krzeczunowicza rozpoczęła się w 1992 r., kiedy na prośbę ministra Krzysztofa Skubiszewskiego objął funkcję Ambasadora RP w Brukseli. Doświadczenia pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości nie wróżyły młodej Polsce szybkiego akcesu do NATO. Na Zachodzie panowała obawa co do reakcji ZSRR, a później Rosji, zaś nowo wybrany w 1992 r. prezydent USA, Bill Clinton nie chciał rysować „nowej granicy między Wschodem a Zachodem”. Wspólnota Atlantycka – jak pisał Henry Kissinger – grała na zwłokę. Decydowały o tym również względy bardziej prozaiczne – Krzeczunowicz wspominał, że gdy przyjechał do stolicy Belgii, o krajach dawnego bloku wschodniego nadal mówiono jako o „byłych przeciwnikach”, gdyż z pamięci przywódców państw NATO wciąż trudno było wymazać czterdziestoletnie trwanie po przeciwnych stronach zimnowojennego frontu.

Ambasador Krzeczunowicz szybko nawiązał życzliwe relacje z Sekretarzem Generalnym Sojuszu, Manfredem Wörnerem, którego uważał za polityka wyróżniającego się wyobraźnią i znajdującego się

„w awangardzie myśli politycznej Zachodu”. Widział w nim bowiem pierwszego zachodniego męża stanu, który przychylnie odniósł się do wizji rozszerzenia NATO. Równocześnie Krzeczunowicz rozpoczął korespondencję ze „Strobem” Talbottem, przeciwnikiem przyjęcia do Sojuszu nowych członków w celu obrony ich przed Rosją, przekonując go, że Wspólnota Atlantycka w nowej rzeczywistości będzie miała do odegrania rolę przede wszystkim polityczną, co uwidaczniała chociażby szalejąca na Bałkanach wojna.

Z czasem jednak wizja przystąpienia do NATO stawała się coraz bardziej realna – w USA powstało prorozszerzeniowe lobby, w ramach którego działali nie tylko Jan Nowak Jeziorański i Zbigniew Brzeziński, ale i Henry Kissinger czy wpływowi republikański senator Richard Lugar, autor sloganu *enlarge or perish*. Potężnym bodźcem popychającym Polskę na drogę akcesu do Sojuszu była również słynna deklaracja Wałęsa-Jelcyn z sierpnia 1993 r. Kamieniem milowym na tej drodze okazał się udział Polski w programie Partnerstwo dla Pokoju, co w momencie jego akceptacji wcale nie było oczywiste, mógł on bowiem równie dobrze przekształcić się w alternatywę dla rozszerzenia. Jednak, zdaniem Krzeczunowicza, przyjęcie państw Europy Środkowo-Wschodniej do Sojuszu było możliwe między innymi dlatego, że współpraca wojskowa w ramach operacji pokojowych dała daleko lepsze rezultaty, niż się spodziewano.

Ambasador Krzeczunowicz złożył urząd w 1997 r., uznając szczyt w Madrycie, na którym Polska została oficjalnie zaproszona do NATO, za kres swojej misji. W pracy pt. *Krok po kroku. Polska droga do NATO*, wydanej w 1999 r., pisał, że przed So-

juszem, a zatem i przed Polską, stoją co najmniej trzy zadania: zaprowadzenie pokoju na Bałkanach, „zaangażowanie” Rosji, Ukrainy i Białorusi oraz – dedykowane przede wszystkim Polsce – zadbanie o to, „by drzwi do NATO pozostały otwarte”. Dziś wydaje się, że podjęcie pierwszego zakończyło się powodzeniem (choć niepełnym), drugiego – porażką, zaś trzecie pozostaje nadal jak najbardziej aktualne.

Jak pisał w przedmowie do emigracyjnego wydania pamiętników Kornela Krzeczunowicza młodszego Edward Raczyński, dzieje tego rodzaju stanowią miarodajną ilustrację roli, jaką społeczność ormiańska odegrała w dziejach Rzeczypospolitej. Wniósłszy w nie swoją rycerską i kupiecką tradycję, wrosła trwale w krajobraz kresów dawnej Polski, co było możliwe również dzięki unii Kościoła ormiańskiego z Rzymem w XVII wieku.

Sami Krzeczunowiczowie zaś dali znakomity przykład aktywizmu obywatelskiego na drodze walki o podmiotowość – czy to w zaborze austriackim, czy to w ramach pracy emigracyjnej po zakończeniu II wojny światowej. Łączyli na wskroś pozytywną ideę pracy na rzecz modernizacji i rozwoju gospodarczego z gotowością walki o niepodległość. Tradycję tę kontynuował również Andrzej Krzeczunowicz, pełniąc służbę na medialnym odcinku frontu zimnej wojny. Mając w pamięci zbliżającą się setną rocznicę odzyskania niepodległości warto mieć na uwadze, że dzieje rodziny Krzeczunowiczów i polskich Ormian w ogóle stanowią jeden z narodowościowych wątków, z których utkane jest społeczne dziedzictwo I i II Rzeczypospolitej.

Jan Woźniak

Współpracownik czasopisma idei „Pressje”, stały autor portalu opinii klubja-giellonski.pl.

Polska i Śląnsk

Polak? Niemiec? Polski Niemiec? Niemiecki Polak? Po prostu Ślązak?
Śledzimy i próbujemy rozwikłać tożsamościowe zagadki związane
ze Śląskiem.

Śląsk się budzi, Polska śpi

Konstanty Pilawa

Współczesny spór tożsamościowy pomiędzy Polakami a Ślązakami przypomina sytuację z dzieła Francisca Goi „Bójka na kije”. Obie uwięzione w rytualnym pojedynku strony nie są w stanie przewartościować własnych resentymentów i wzajemnych uprzedzeń. Tymczasem ich „duchowe konstytucje” pokazują, że porozumienie jest zdecydowanie bliżej niż wszyscy myślą.

CO ZAGRANICZNE PRZEWODNIKI MÓWIĄ NAM O POLSKICH PROBLEMACH?

Lektura przewodników turystycznych publikowanych przez zagraniczne wydawnictwa może okazać się doświadczeniem nadzwyczaj pożytecznym oraz inspirującym. Okazuje się bowiem, że wyglądający obraz Polski, jaki dostają potencjalni turyści z Francji, Niemiec czy Hiszpanii nie jest wcale aż tak daleki w swojej jednowymiarowości od tego, co sami o sobie myślimy i mówimy. Wystarczy sięgnąć po przykład Górnego Śląska, który w przewodnikach zostaje zredukowany do Katowic, „stolicy polskiego postindustrializmu”. Ten ograniczony obraz dawne-

go górniczego regionu obecny jest także w rodzimej debacie publicznej. Jego symbolem zostały głośne słowa Jarosława Kaczyńskiego o „zakamuflowanej opcji niemieckiej”.

Cała ta postawa ma jednak swoje historyczne uzasadnienie i jest wypadkową pojałtańskich oraz powojennych zmian etnicznych. Współczesna Polska jest dziedzicem monoetnicznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jak więc reagujemy na tę regionalną inność? Postawy są dwie: albo zbywamy temat milczeniem, albo uciekamy w emocjonalną krytykę, jak szef Prawa i Sprawiedliwości. Wyjątkiem potwierdzającym tę regułę są górale i Kaszubi, którzy dla skostniałej formy

polskiej stanowią kolorowy, folklorystyczny ozdobnik. Choć na pierwszy rzut oka nie sposób tego zauważyć, kulturowa przepaść między Polakami a Ślązakami wciąż jest istotnym problemem. I to z obu stron, ponieważ dotyka centralnego pytania dla każdego organizmu politycznego – pytania o polityczną tożsamość.

„DUCHOWE KONSTITUCJE” POLITYCZNYCH WSPÓLNOT

Mit tworzy tożsamość polityczną. To jedna z najstarszych tez zachodniej myśli politycznej. Za Platonem (*Państwo*, 376 E) można powtórzyć, że nie oznacza to jeszcze dowolnej interpretacji dziejów wspólnoty na użytek polityczny. Z tego powodu mity możemy podzielić na te, które znajdują swoje pokrycie w historycznych faktach i te, które grzeszą nadmiarem fantazji. Tylko pierwsze z nich mogą być użyteczne dla państwa w ramach społecznej pedagogiki. Carl Jung uważał natomiast, że mit jest istotny dla kodyfikacji wzorców postępowania stanowiących ideał dobrego i skutecznego życia. Stąd historie dotyczące początków państwowości, czasów największej *prosperity* lub nielicznych herosów walczących o przegraną sprawę w mniejszym stopniu dotyczą faktów, w większym zaś – wartości. Drogą dygresji i gwoli intelektualnej uczciwości dodać należy, że zreferowane wyżej poglądy klasyków zostały na początku obecnego wieku odkurzone przez grupę warszawskich konserwatystów z Dariuszem Karłowiczem, Tomaszem Mertą i Markiem Cichockim na czele. Pamięć aksjologiczna – termin pierwszego z wymienionych – idealnie wpisuje się w rekonstrukcję agonicznych mitów politycznych, z którymi mamy do czynienia w relacjach polsko-śląskich. Czytamy u Dariusza Karłowicza, że „to, co nazywam pamięcią aksjologiczną, jest odcisniętym w wyobraźni zbiorowej zapisem kanonu wartości będących rodzajem duchowej konstytucji wspólnoty – kanonu ubranego najczęściej w kostium historycznych wypadków”. Spójrzmy więc, jak układają się odrębne „duchowe konstytucje” Polaków i Ślązaków i co można byłoby zrobić, aby tę nikomu niepotrzebną agonizację przełamać. Własne doświadczenia jako Polaka urodzonego i wychowanego na Śląsku wikłają mnie w subiektywizm. Dlatego przedstawiona poniżej rekonstrukcja politycznych mitów bardziej opiera się na osobistych spostrzeżeniach niż na fachowej literaturze.

TOŻSAMOŚĆ ŚLĄSKA OCZAMI ŚLĄZAKA: (A) POLITYCZNOŚĆ

Mit polityczny definiujący „prawdziwego Ślązaka” składa się ze specyficznie rozumianej triady: rodziny, pracy i religii. Te trzy elementy stanowią *axis mundi* śląskości – całe życie toczy się w ich obrębie. Już na tym etapie pojawia się słuszna wątpliwość: jeśli ideał śląskiego życia obraca się wokół rodziny, pracy i religii, to przecież nie ma w nim miejsca na polityczność. Czy mit polityczny konstytuujący wspólnotę może być apolityczny? Paradoks jest jednak pozorny.

W tym przypadku mamy bowiem do czynienia z sytuacją, w której tożsamość wspólnotowa stanowi jednocześnie polityczną manifestację nieangażowania się w cudze przepychanki polityczne. Śląska apolityczność w tym sensie jest polityczna, że nie toleruje ani *gorolskiej*, ani niemieckiej polityki. Nie rozmawia się o niej przy rodzinnym stole – jej treść poznaje się wyłącznie za pośrednictwem mediów. Alienacja od „zawodowej” polityki jest integralną częścią śląskiej tożsamości. Dla Ślązaków polityka zawsze jest czymś *zewnętrznym* wobec autentycznego, codziennego życia. Funkcja mitu politycznego polega na wytwarzaniu poczucia integralności poprzez świadome lub nieświadome instrumentalizowanie historii.

Skoro Ślązacy zwykle dowiadywali się od Niemców lub Polaków, kim są i do jakiego państwa w danym momencie historycznym należą, to nic dziwnego, że nawet wraz ze zmianami pokoleniowymi, wciąż podejrzliwie i bez entuzjazmu podchodzą do tego, co polityczne. Właśnie w tym duchu należy interpretować wyniki ostatniego spisu powszechnego. Ponad 800 tysięcy zadeklarowanych Ślązaków nie oznacza jeszcze antypolskiego buntu. To największa jak do tej pory polityczna manifestacja (a)polityczności Ślązaków. Takie wnioski znajdują swoje potwierdzenie w niewielkim poparciu dla Ruchu Autonomii Śląska (RAŚ) – 7% w ostatnich wyborach nie robi na nikim wrażenia.

TOŻSAMOŚĆ ŚLĄSKA OCZAMI POLAKA: (ARCY) POLITYCZNOŚĆ

Stosunek polskiej formy do śląskiej inności wydaje się z tej perspektywy zupełnie niezrozumiały. Re-

akcje wszystkich moich nie-śląskich znajomych na śląskość sprowadzają się niemal wyłącznie do estetycznego szoku i podejrzewam, że jest to reakcja reprezentatywna dla większości Polaków. Konsternacja, jaka powstaje, gdy w luźnej atmosferze ktoś „zanieczyści” szlachetną polszczyznę twardą i „gburowatą” gwarą jest pochodną jawnej lub skrywanej niechęci. Wychwytywane przez nie-śląskich Polaków niemieckie pochodzenie niektórych słów budzi zażenowanie i nieswiadome oskarżenie o proniemieckie afiliacje. Za niechęcią i zażenowaniem – powstałymi wskutek zderzenia polszczyzny z dialektem śląskim – idzie brak zrozumienia, a w końcu również brak dialogu.

A ten ostatni jedynie wzmacnia wizerunek Śląska jako przasnego skansenu nieprzystającego do reszty kraju, a Ślązaków jako podejrzanych krypto-kolaborantów państwa niemieckiego. W tym sensie mit polityczny „ukrytej opcji niemieckiej” zdradza znamiona aktualności. Choć samo sformułowanie Jarosława Kaczyńskiego zostało wyrwane z kontekstu, adekwatnie opisuje nastawienie części Polaków do mieszkańców Górnego Śląska.

Słowa prezesa PiS-u są charakterystyczne również z innego powodu. W debacie publicznej nierzadko pojawia się opinia, że tzw. tożsamość górnośląska jest projektem wyłącznie politycznym. Z kolei postulat utworzenia autonomii i jawna sympatia RAŚ-ii wobec europejskich separatyzmów z Katalonią na czele nie przysparza kwestii śląskiej przychylnych głosów. Mamy więc do czynienia z olbrzymim kontrastem między tym, jak Ślązacy widzą siebie a jak postrzegani są przez resztę kraju. (A)polityczność stanowiąca rdzeń śląskiej tożsamości staje się w oczach Polaka kwestią (arcy)polityczną. Wszelkie przejawy śląskości są dla niego separatystycznym dążeniem przebrany jedynie w konstruowaną na użytek polityczny kulturową odmienność.

W ROZKROKU MIĘDZY STARYM A NOWYM

Śląskość określana jest w fachowej literaturze tożsamością pogranicza. Jak przekonywał brytyjski filozof i socjolog Ernest Gellner, niewielkie odmienności etniczne aspirujące do statusu narodu budują swoją podmiotowość na fundamencie resentymen-

tu – w klasycznym nietzscheańskim rozumieniu tego słowa. „Skoro polityka większych organizmów politycznych zawsze nami pomiatała, to my nie będziemy nigdy angażować się do tej brudnej gry – będziemy uciążliwą drzazgą w oku i co nam zrobicie?”. Śląskość zbudowana jest na prawie negacji przez geografii i historię. (A)polityczny Ślązak ustawia się w kontrze do politycznego mieszkańca Zagłębia, politycznego Polaka, Niemca lub Czecha.

Orężem, który dziś najczęściej używany jest dla podkreślenia własnej inności, jest śląska gwara. Bo co współcześnie Ślązakom pozostaje? Realia są nieubłagane.

Śląska rodzina się zmienia, bo zmienił się model pracy, a i religijność często zaczyna sprowadzać się do obrzędowości. Jak realizować klasyczny etos pracy w korporacji, gdzie nie ma już miejsca na tradycyjnie pojmowane poświęcenie, ryzyko i coraz trudniej mówić o wyraźnych efektach własnych starań? Gdzie żona nie tworzy bezpieczeństwa i domowej harmonii, bo podobnie do męża chce i musi pracować poza domem? To problemy, z którymi konserwatywni Ślązacy muszą się współcześnie mierzyć.

Ideały stawiają jednak opór procesom globalizacji. Stąd tak wielkie zaangażowanie w lokalną kulturę i konstruktywistyczne zapędy kodyfikatorów nieistniejącego przecież „śląskiego języka”. Zjawiska takie jak ślonsko godka na Facebooku, śląski dizajn, czerpiący bezpośrednio z górniczego dziedzictwa, czy nawet znana ze Świętej wojny Joanna Bartel odczytująca z głośnika w komunikacji miejskiej nazwy przystanków po śląsku, prowokują oczywisty wniosek: odmiennością własnej kultury Górnoślązacy walczą o emancypację i większą podmiotowość w monoetnicznym państwie. I całe szczęście! Z kulturą bowiem łatwiej rozmawiać niż spierać się na argumenty historyczne.

Dopiero pokolenie młodych Ślązaków (20-, 30- i 40- latków) próbuje na nowo dokonać kulturowej translacji tożsamości wyniesionej z tradycyjnego domu. Z wielką nadzieją, ale i pewnym niepokojem spoglądam na te często udane projekty kulturalne. Wymownymi przykładami niech będą tu dwie najbardziej rozpoznawalne ikony współczesnej formy

śląskiej: *Gryfnie* i *Oberschlesien*. Marka *Gryfnie* produkuje wysokiej jakości odzież ze świetnie wykonanymi i zabawnymi grafikami promującymi śląską gwara. Oprócz tego jest również sprawnie funkcjonującym portalem, na którym można korzystać ze śląskich przepisów kulinarnych, kupić książeczki dla dzieci po śląsku lub nawet publikacje dla dorosłych. *Oberschlesien* to natomiast dobrze znany w całej Polsce zespół grający tzw. *industrial metal*. Teksty grupy dotyczą niemal wyłącznie tematów związanych z Górnym Śląskiem. W wyróżniającym się utworze *Richter* refren dowodzi, że pomimo upadającego ciężkiego przemysłu, kopalniane dziedzictwo wciąż stanowi oś śląskiej tożsamości: „Kaj stary stoi szyb / Kaj ôjców stoi dom / Kaj richtich woniõ chlyb / Tam jõ swõj Hajmat mõm / Kaj huty woniõ dym / Kaj fury pchajom zaś / Kaj czõrnõ hõlda jest / Tam Hajmat swiwynty nasz”. To dla mnie jeden z niewielu przykładów lirycznego tekstu napisanego śląskim dialektem o poważnej (wręcz patetycznej) wymowie, który jednocześnie nie wzbudza we mnie ani zażenowania, ani ironicznego uśmiechu.

Pojawiają się jednak wątpliwości. Czy rzeczywiście z gruntu wsobną kulturę śląskiego folkloru można komercjalizować w tak swobodny sposób, nie narażając jej zarazem na utratę autentyczności? Jak daleko można posunąć się w promocji, aby nie ulec pokusie sztucznego konstruowania tożsamości na użytek zewnętrzny? Zarówno *Gryfnie*, jak i *Oberschlesien* zdradzają pewne objawy konstruktywizmu. Najcięższy zarzut dotyczyć musi języka. Dość nachalnie proponuję w tym tekście mówić o śląskiej „gwarze” lub „dialekcie”, bo przekonany jestem, że wbrew opinii wielu entuzjastów język taki nie istnieje. Jedynie posługując się teorią postmodernistyczną można dziś zasadnie mówić o „śląskim” – w tej optyce, aby uznać jakiś system porozumienia za pełnoprawny język, wystarczy autoidentyfikacja jego użytkowników. Jeśli Ślązacy uważają, że mają swój własny system językowy, to mają i na tym kończymy dyskusję. Słabość takich teorii polega jednak na tym, że językiem można właściwie nazwać wszystko, co służy komunikacji. Nie potrzebujemy oddzielnej gramatyki, własnej ortografii czy nawet własnych słów. Jeśli jakkolwiek odczuwamy inność, możemy postulować istnienie własnego języka. Na tej zasadzie gwara krakowska również mogłaby

zostać nazwana językiem. Reszta językoznawców (posługujących się bardziej poważnymi teoriami) jest zgodna – śląski to nie język, lecz dialekt. Nawet znany z sympatii do Górnoślązaków profesor Miodek kręci głową z powątpiewaniem: „Mogą mieć moi ziomkowie do mnie żal, ale konsekwentnie będę powtarzał, że jedyną literacką formą śląskiej gwary jest literacki język polski”.

Ten brak kulturowej niezależności jest na Śląsku widoczny i nie dotyczy wyłącznie języka. Dla przykładu: z pewnym smutkiem przyjąłem informację, że większość utworów *Oberschlesien* to *covery* Rammsteina z dopisanym śląskim tekstem, który czasem stanowi po prostu tłumaczenie piosenek niemieckiej grupy metalowej. *Gryfnie* natomiast oprócz świetnych projektów graficznych proponuje w swoim sklepie internetowym śląski przekład Nowego Testamentu, co jednak wydaje mi się przekroczeniem pewnej granicy. Nie zagłębiając się w oddzielny temat, podchodzę sceptycznie do wszelkich przekładów Biblii na gwara. Przekład na dialekt śląski jest jeszcze mocniej kontrowersyjny – nie istnieje bowiem ujednoliconą wersja tej odmiany języka polskiego. Na czele z dwiema dominującymi formami zapisu, a więc z odmianą elementarzową oraz międzywojenną ortografią Feliksa Steuera, funkcjonuje jeszcze kilka innych rodzajów „śląskiego pisma”. A jeśli tak, to przekład Biblii narażony jest na niedopowiedzenia i niedokładności. Pomijając sferę religijną, czy jakkolwiek poważny tekst kultury można kłaść taką dawką translacyjnego konstruktywizmu?

Każda kulturowa translacja na warunki lokalne wymaga wytyczenia jasnych granic. Finalny efekt tak swobodnych zabiegów może okazać się negatywny dla obu stron. Ucierpi na tym zarówno kultura polska, jak i tradycyjnie wsobna autentyczna kultura śląska. To właśnie od tego należy zacząć dyskusję. W przeciwnym razie jedyne, co nas czeka, to narastający konflikt.

POLSKO-ŚLĄSKA BÓJKA NA KIJE

Nie chcąc polegać jedynie na bezpośrednich doświadczeniach, podam teraz przykłady dwóch charakterystycznych tekstów. Oba potwierdzają obecność polsko-śląskich i śląsko-polskich antagonizmów.

Mój redakcyjny kolega Mateusz Tondera na swoim oficjalnym facebookowym profilu zamieścił sążnisty, dwuczęściowy wpis. Czytamy tam: „Górnośląskość to dla mnie od zawsze estetyczny szok, za którym postępuje instynktowna niechęć, co wreszcie prowadzi do ostrożnej i podszytem niepokojem fascynacji. Wyobraźcie sobie, że w ogrodzie u sąsiada odkrywacie ogromnego chrabąszcza w typie owadów, o jakich byliście przekonani, że żyją może gdzieś na Borneo czy w lasach Panamy. Zdziwienie, groza, ostrożna ciekawość”.

Zwolennik teorii postkolonialnej zaczęły się w tej chwili trząść z irytacji. Jeśli podrzędną politycznie inność porównuje się do nieprzyjemnego widoku owada, to należy bić w najcięższe dzwony dehumanizacji podszytej rasizmem!

Nie chcąc prowokować niepotrzebnie negatywnych emocji, chciałbym jednak ostrożnie pochwalić to ekscentryczne porównanie. Zdradza ono bowiem typowe nastawienie Polaka do śląkości. Tondera zdaje się sądzić: Ślązak to skansen, to nieadekwatność, to ordynarne nieprzystawanie do postszlacheckiego wzorca Polaka późnej nowoczesności! Z estetycznego szoku autor przechodzi do bardziej radykalnych wniosków. Skoro Ślązacy są tak odrębni, to niech uzyskają oficjalnie status mniejszości narodowej, a dialekt tak różny od polskiego niech zostanie przyjęty jako pełnoprawny język tego nowego tworu.

Na szczęście konstatacje te zostają później uwikłane w wątpliwości i rozterki. Ostateczne remedium pozbawione jest potencjału politycznego rewolucjonizmu: „Polska potrzebuje wobec Śląska nowej narracji. Samoistne, chociaż w sumie naturalne, połączenie peerelowskiej z narodowo-polską może się okazać nie tyle nawet niewystarczające, co zbyt antagonizujące i archaiczne. Specyfika i odrębność Śląska domaga się uznania, odrębności historyczne i kulturowe mogą zostać uzgodnione na »wyższym« poziomie polskości traktowanej kulturowo i inkluzywnie”.

I tutaj pełna zgoda. Nie da się jednak wypracować inkluzywnego modelu polskości, reagując jednocześnie uczuleniowo na śląską inność. Ślązak to nie owad na

Borneo, ale współczesny człowiek zamieszkały w bliskim sąsiedztwie, a więc zanurzony również w polskiej codzienności (jak słusznie w innym kontekście wskazuje Tondera).

Drugi tekst – podejmujący problem tym razem z perspektywy śląskiej – stanowi właściwie lustrzane odbicie pierwszego. Szczepan Twardoch kilka miesięcy temu napisał dla Onetu emocjonalny felieton będący jednocześnie polemiką z Leszkiem Długoszem – wieloletnim współpracownikiem „Piwnicy pod Baranami”.

Twardoch – zdeklarowany Ślązak – w takich słowach przedstawia swój stosunek do Polski: „Moim pisaniem pomagam rozkładać i rozmontowywać ten spotworniały, zdegenerowany konstrukt, kościółkowo-powstańczo-romantyczny kompleks, tę tajemniczą mieszaninę ignorancji z arogancją, dumy z nieswoich zasług zmieszanej z całkowitym brakiem wstydu za cokolwiek, potocznie zwaną polskością”. Emocjonalność podszyta lekturą Gombrowicza sprowadza się ostatecznie do refleksji na temat języka śląskiego. A ten to dla pisarza „język intymny”, polski natomiast nie jest zarezerwowany wyłącznie dla Polaków. Piszę po polsku, bo potrafię to robić, po polsku też lepiej płacą – zdaje się konkludować Twardoch. W tym samym tekście pisarz podkreślał jednak, że nie wyklucza zaangażowania się w projekt literacki oparty wyłącznie o dialekt śląski.

Długo nie trzeba było czekać. *Drach* – powieść wydana po polsku w 2014 roku, właśnie doczekała się śląskiej edycji. Co prawda oryginalny tekst został przepisany na gwarę nie przez Szczepana Twardocha, a niezależnego tłumacza, to jednak sam fakt warty jest odnotowania. Pierwszy raz powieść popularnego współczesnego polskiego pisarza została przetłumaczona na „śląski” i wydana w prestiżowym wydawnictwie.

Wytykanie katalogu polskich wad, uczuciowy stosunek do śląskiego dialektu i jedynie użytkowe posługiwanie się językiem polskim są dla Ślązaków charakterystyczne. Takie postrzeganie Polski jest elementem śląskiego mitu – wiecznego poczucia bycia wykorzystywanym ze strony demonizowanej Warszawy.

Nawet jeśli sytuacja została dziś obrócona o 180 stopni, to znaczy śląski przemysł nie jest już dłużej drenowany przez stolicę, a wręcz reanimowany przez rząd, ma to niewielkie znaczenie. Wielkim zadaniem dla Śląska jest takie pomyślenie siebie, żeby coś ze śląskości pozostało, nawet po wyłączeniu poza tożsamościowy nawias antypolskich resentymentów.

Cała ta intertekstualna polemika Mateusza Tondery ze Szczepanem Twardochem wywołała we mnie luźne skojarzenie z *Bójką na kije* – dziełem Francisca Goi, które doczekało się nawet lirycznej interpretacji Jacka Kaczmarskiego. Malowidło przedstawia scenkę rodzajową: dwaj mężczyźni, grzęznąc po łydki w ziemi, pojedynkują się na śmierć i życie. Goya chciał ponoć w ten sposób przedstawić jeden z hiszpańskich zwyczajów pojedynkowania, który popularny był wśród ludności chłopskiej. Dzieło często odczytuje się jednak w ramach politycznej alegorii.

Wzajemne okładanie się mitami politycznymi nie ma większego sensu. Realny problem nieprzy-

stawalności Śląska do formy polskiej nie może zaczynać się i kończyć na obustronnych resentymentach. Skoro – z racji politycznej i kulturowej dominacji – więcej mocy sprawczej znajduje się w rękach polskiej strony sporu, to od kogo jak właśnie nie od Polaków należy wymagać wyciągnięcia ręki?

Jeśli polskość ma być dla Ślązaków atrakcyjna, musi oferować bardziej inkluzyjny model kulturowy. Taki, w którym deklaracja *Gente Silesius, natione Polonus* będzie afirmowana przez obie strony. Zadanie, jakie stoi przed Warszawą, to „skaszubizowanie” swojego stosunku do Śląska w takim stopniu, by śląska „inność” nie była już balastem, ale nową jakością dla polskiej formy. Ślązacy natomiast w obliczu nowej globalnej rzeczywistości ani nie mogą pozostawać kulturą wsobną, ani konstruować w dowolny sposób własnej tożsamości. Jeśli nie chcą wyprzedzić swojej autentycznej tożsamości, muszą z większym entuzjazmem przystąpić do kulturowego dialogu z polskością.

Konstanty Pilawa

Sekretarz redakcji czasopisma idei „Pressje”. Koordynator krakowskiego oddziału Klubu Jagiellońskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego. Ślązak.

Kim jesteś, Ślązaku?

Górny Śląsk to tykająca bomba ze spóźnionym zapłonem. Choć napięcie rośnie, politycy i mainstreamowe media milczą. O problemach tożsamości Ślązaków w Polsce doby późnej nowoczesności rozmawiają: Piotr Kaszczyżyn, Konstanty Pilawa, Konrad Siembiga oraz Kamil Wons.

Konstanty Pilawa: Jestem Ślązakiem, urodzonym i wychowanym na Górnym Śląsku, który jednocześnie nie ma żadnego problemu ze swoją polską tożsamością narodową. Ta identyfikacja, którą określam w ramach republikańskiej formuły *Gente Silesius, Nazione Polonus*, rodzi jednak problemy i to zarówno z polskiej jak i ze śląskiej strony. Po Jałcie odziedziczyliśmy Polskę jednolitą kulturowo i etnicznie. Skutkiem obiektywnych procesów dziejowych żyjemy w kraju, w którym ludzie uczuleniowo reagują na każdą inność. Dlatego śląskość jako silna identyfikacja regionalna z definicji budzi podejrzenia. Z drugiej strony w Spisie Powszechnym z 2011 roku ponad 375 tys. obywateli RP, nie nazwawszy się

Polakami, uznało śląskość za swoją najsilniejszą tożsamość. Dlatego wśród bardzo wielu mieszkańców Górnego Śląska pokutuje przekonanie, że nie można być prawdziwym Ślązakiem, uznając jednocześnie polskość za najważniejszą identyfikację. Mamy więc do czynienia z narastającym konfliktem, który w przyszłości może przynieść wiele negatywnych konsekwencji, również tych o charakterze politycznym. Dlatego obie strony powinny wejść ze sobą w twórczy dialog, uznawszy na początku, że niekoniernie musimy być skazani na konfliktowość obu typów tożsamości. Czy waszym zdaniem deklaracja *Pochodzeniem Ślązak, narodowością Polak* posiada pojednawczy potencjał?

Kamil Wons: Problemu nie należy odnajdywać w deklaracji, ale w nowożytnej koncepcji narodu. Państwo powstałe w wyniku II Wojny Światowej między Szczecinem a Przemyślem stanowi pewną formę aberracji dla formy polskiej. Między innymi kwestia tożsamości śląskiej jest polem, na którym te napięcia się ujawniają. PRL przyjął nowoczesną, a więc zuniformizowaną i etniczną definicję narodu. Tym samym pozbawiono Ślązaków prawa do manifestowania ich autentycznej odmienności. Działo się to poprzez opresyjność językową w szkole oraz szykany wobec osób niewykazujących zdecydowanej identyfikacji polskiej. W konsekwencji republikańska formuła *gente Silesius et natione Polonus* jest zupełnie dla nich niezrozumiała.

Konstanty Pilawa: Nie twierdzę, że podejrzliwość Ślązaków jest nieuzasadniona. Uważam, że najwyższy czas, aby tej podejrzliwości się pozbyć i to z dwóch stron. Wchodzimy w czwartą dekadę III RP, a argumentem *contra* nieodmiennie jest zgubny wpływ Polski Ludowej na naszą post-komunistyczną mentalność.

Konrad Siembiga: Nie należy bagatelizować wpływu PRL-u na śląską tożsamość. W politycznym sensie dominacja Polski Ludowej na Górnym Śląsku jest analogiczna do wcześniejszej dominacji niemieckiej. Istnieje jednak pewna istotna różnica. Niemiecka elita intelektualna i urzędnicza była na Śląsku bardziej naturalna niż ta polska napływowa z PRL. Nie mówiąc już o niemieckich właścicielach fabryk, bo to osobny wątek. Macie świadomość tego, że wielu zwyczajów dolnośląskich nie znalazłoby dzisiaj, gdyby nie praca niemieckich etnologów? Niemcy tradycyjnie stanowili dla całego Śląska (Górnego i Dolnego) najbardziej wykształcone warstwy społeczne. Nie byli po prostu imperialistami. I w tym sensie jesteśmy też potomkami narracji komunistycznej, wszak Niemcy nie mogą kojarzyć się nam dziś z niczym pozytywnym. W każdym z nas siedzi mały Gomułka (*śmiech*).

KP: (*śmiech*) Pełna zgoda. Choć to może dobry trop dla określenia różnicy między Polską a Śląskiem. Mam wrażenie, że dla współczesnych Ślązaków niemieckość staje się coraz bardziej obojętna.

KW: Cały ten problem sprowadza się do tego, że Ślązakom bardzo trudno posiadać typowo polski stosunek do Niemców, ponieważ nierzadko część ich rodzin żyje w Niemczech, a doświadczenie podróży na jakieś wesele do Bawarii czy innej Saksonii nie jest dla nich niczym dziwnym. Pamiętam zajęcia na studiach historycznych w Uniwersytecie Śląskim, gdzie okazało się, że spora część mojej grupy miała przysłowiowego dziadka w Wehrmachcie. Rodzinna historia utrudnia skrajnie negatywne podejście. Natomiast fakt, że Niemców już na Śląsku nie ma i że ślady ich obecności są coraz słabsze ułatwia odejście od stricte pozytywnego do nich stosunku. Paradoksalnie, historia uzasadnia pojawienie się neutralizacji nastawienia Ślązaków do zachodnich sąsiadów.

Piotr Kaszczyszyn: Neutralność powstaje na zasadzie balansu i działa na dwóch biegunach. Jeden to ten nieszczęsny dziadek z Wehrmachtu. To dziedzictwo, do którego podchodzi się negatywnie. Jest też drugi biegun, powstały w latach 80. i pierwszej „Solidarności”, kiedy wreszcie można było zamieszkać w lepszym kawałku świata. Wielu Ślązaków emigrowało wówczas do RFN. Niemiec jako symbol obozu koncentracyjnego z jednej strony, ale są też przecież Niemcy jako nowoczesność. Niemcy jako coś lepszego, konkretniejszego – niemieckie samochody, autostrady, słodycze i środki czystości. Jeździło się przecież na saksy, to był inny, wspaniały świat.

KP: Powstały na przełomie 80. i 81. roku kabaret „Rak” napisał piosenkę, gdzie refren brzmi: „Autobaną numer zwei, richtig Deutschland, bo tam raj. Tam nic robić nie potrzeba, tam banany lecą z nieba”. To jest ten mit, choć nie wydaje mi się dzisiaj szczególnie żywotny.

PK: To mit, który jednocześnie nie był jedynie powtarzaną przez wszystkich opowieścią. Ślązacy realnie tam jeździli i o dekadę wcześniej zaczęli w swobodny sposób budować swój dobrobyt. Wrócmy jednak do źródeł polskości na Śląsku. Zacznijmy od II RP, żeby nie zaczynać od Piastów. Padł już wątek klasowy – Niemiec reprezentant elity, a także właściciel fabryki. Interesuje mnie kwestia wyboru polskiej tożsamości właśnie z tych względów. Jedną z głównych postaci w *Drachu* Szczepana Twardocha wybiera polskość właśnie jako wyraz sprzeciwu

wobec Niemca-właściciela. Zastanawiam się, czy uprawniona jest hipoteza, że po 1918 r. na Śląsku istniały zasadniczo trzy grupy ludzi: ci uważający się za Polaków; mieszkający tam od pokoleń Niemcy oraz ci deklarujący się jako Ślązacy, którzy byli gdzieś pomiędzy. Ostatni są dla naszej dyskusji najciekawszy. Może po prostu nie interesowały ich typowo nowoczesne wybory dużych identyfikacji. Nie chcieli opowiadać się po stronie polskiej czy niemieckiej, bo po prostu nie czuli potrzeby tak abstrakcyjnej dla nich identyfikacji.

KS: Podział na niemiecki Dolny Śląsk i polski Górny Śląsk ukształtował się prawdopodobnie ostatecznie pod koniec XIX wieku. Bardzo się cofam w tym momencie, ale chciałbym pokazać, że niemieckość nie pokrywała się z niemieckim językiem. Nabożeństwa w języku polskim przetrwały w wielu miastach Dolnego Śląska do XIX wieku i to nawet pod Wrocławiem. Narodowość nie była jednak tożsama z językiem dla wszystkich. Ziemię, o których rozmawiamy, funkcjonowały jako części Polski, Czech, także tych habsburskich, a później jako prowincja Prus. Przez większość tego czasu Śląsk posiadał własną identyfikację. Ten Górny zresztą stanowił przez długi czas biedniejszą część. Celem podboju pruskiego był Śląsk Dolny przynoszący duży procent habsburskich podatków, który stanowił bardzo popularny cel dla napływających niemieckojęzycznych osadników. Myślę, że jeśli rozmawiamy na poziomie publicystycznej syntezy, to za najistotniejsze źródła niemieckiego wpływu na śląską tożsamość można uznać napływ ludności z Rzeszy oraz wprowadzenie obowiązku szkolnego w Prusach.

PK: Tak, szkolnictwo było jednym z podstawowych pasów transmisyjnych nowoczesności. Mówiąc kolokwialnie, nauczyciele wmawiali Ślązakom: „tutaj jesteś Niemcem”. I oni dopiero wtedy zdawali sobie z tego sprawę. Dolny Śląsk był bogatszy, a więc idee, pisma, książki docierały głównie do lepiej uposażonych warstw. Natomiast chłop górnośląski miał mniej pieniędzy i ta nowoczesność, w tym idee nowoczesnych narodów, docierały do niego wolniej. Dzięki temu mógł dłużej trwać w swojej lokalności. Górnoślązak pozostawał rodzinny i wsobny, bo nikt go nie indoktrynował, nikt nie kupował mu symbolicznej niemieckiej gazety.

KW: Sprawa jest oczywiście dużo bardziej złożona, choć nie da się ukryć, że to kusząca perspektywa. Dodając jeszcze jeden wątek, chciałem zauważyć, że paradoksalnie Niemcy pośrednio kształtowały na Górnym Śląsku polską tożsamość. Wiąże się to z wizją bismarckowskiego *kulturkampf* i działalnością niemieckiego episkopatu. Wymagano od kleryków znajomości języka polskiego dla lepszego kontaktu z wiernymi. W momencie silnej presji państwa niemieckiego na katolicyzm, kościół nie mógł sobie pozwolić na utratę wiernych, szczególnie, że niemiecki Kościół wypracował bardzo społeczne podejście. Wśród księży promowano nastawienie do silnej pracy u podstaw. Proboszcz czy ksiądz, nie byli jedynie osobami głoszącymi prawdy duchowe, ale mieli być animatorami lokalnej wspólnoty, a także rozwiązywać jej problemy społeczne. Czynienie tego w języku polskim odegrało kapitalną rolę w podtrzymywaniu na Górnym Śląsku nastrojów pro-polskich.

Przez większą część XIX wieku język nie był czynnikiem wpływającym na stosunek do państwa. Społeczność posługująca się na co dzień językiem polskim nie miała problemu z tym, że żyła w państwie Pruskim, mogła natomiast buntować się wtedy, gdy ograniczano liczbę nabożeństw w języku polskim.. Częściowo zmieniło się to wraz z wyraźnym nasileniem polityki germanizacyjnej przez Bismarcka po zjednoczeniu Niemiec. Znam ciekawy, choć nieoczywisty przykład analizy, która łamie nasze proste kategorizacje. Jeśli spojrzymy na katolickie kapliczki budowane na Górnym Śląsku, to do lat sześćdziesiątych XIX wieku napisy są tworzone łamaną polszczyzną, zaś te budowane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych posiadają napisy wyłącznie w języku niemieckim. Natomiast w latach osiemdziesiątych znowu mamy napisy polskie. Trudno uwierzyć więc, że język na Śląsku był czynnikiem dominującym w kształtowaniu tożsamości narodowej. Przykład kapliczek pokazuje, że polityka centralna często rozmija się ze świadomością ludzi, szczególnie tych mieszkających na „tożsamościowym pograniczu”. Niechlubne słowa Kaczyńskiego to bzdura. Ukrytą opcję niemiecką można sfalsyfikować również za pomocą innego historycznego przykładu. Największym czasopiśmie namawiającym podczas plebiscytu do głosowania za Polską był przecież niemieckojęzyczny

„Der Weisse Adler”, podczas gdy polskojęzyczny „Pieron” wspierał stronę niemiecką.

KP: Doszliśmy więc do zniechęcającej konkluzji, która *nota bene* zawsze pojawia się na jakimś etapie rozmowy z historykami. Otóż, każda generalizacja jest zbyt daleko posuniętym uproszczeniem, a wszystko można wytłumaczyć jedynie indywidualnym wyborem. Więcej odwagi, panowie!

KS: Natomiast tendencją socjologa lub filozofa politycznego jest wpisanie wszystkiego w tabelkę i dokonanie ostrego cięcia, które bardzo często kończy się na wywołaniu kolejnej dyskusji lub kłótni. Jedyłą syntezą, jaką można sobie tutaj wyobrazić, jest ocena, że zarówno historia, jak i analiza obecnej sytuacji na Śląsku pokazują stopień ryzyka takich uproszczeń. Trwa wojna o Śląsk, a więc trwa również wojna o dominującą historyczną narrację. Kolejnym punktem zapalnym są kontrowersje związane z powstaniem śląskimi.

KP: Nie chciałbym poruszać kwestii powstań śląskich, bo to temat na osobną dyskusję. Myślę, że naszą wycieczkę w historię możemy zakończyć chyba mało kontrowersyjną tezą, że na pewno Ślązak deklarujący szczerze przynależność do polskiego narodu procentowo zaczyna wyraźnie dominować w latach 30. XX wieku. Myślę, że pierwszy nowożytny wybuch polskości mógł nastąpić na Śląsku w 1939 roku, kiedy chwymano za broń, walcząc z Niemcami lub Sowietami.

PK: Śląski Polak, czy polski Ślązak? II Rzeczpospolita ma tutaj kapitalne znaczenie.

KS: Polski Ślązak.

KP: Czyli polskość była dominująca waszym zdaniem?

KS: Nie. W polskim Ślązaku dominująca była postawa Ślązaka, który dobrowolnie wybierał wówczas Polskę. Nie odwrotnie.

KW: Zasadniczo się zgadzam. Jednak deklaracja Konstantego na początku dyskusji to coś odwrotnego. Myślę, że użyteczna będzie analogia do bośniackiego Serba. Nie mamy w tym wypadku wątpliwości,

że bośniackość nie stanowi tutaj cechy dominującej. I na tym paliwie, mówiąc kolokwialnie, jedzie RAŚ i śląski nacjonalizm. Częścią, która nie wybrzmiewa w polskiej debacie, jest na przykład to, że RAŚ jest mocno nieadekwatny do kultury śląskiej. Wchodził przecież w bardzo mocne polityczne konszachty z Ruchem Palikota, co nijak ma się przecież do kultury tego tradycyjnego regionu. Jednak sami wpychamy Ślązaków w ręce nacjonalistów. Za każdym razem kiedy Kaczyński przyjeżdża do Katowic i mówi o ukrytej opcji niemieckiej, to kogoś trafia szlag. To jest tak jak z narracją TVN-u o polskich faszystach, która mobilizowała wiele osób do przyjazdu na marsz niepodległości i pokazania, że tak nie jest. To tłumienie pewnych odruchów, które jedynie radykalizują postawy.

KS: RAŚ nie jest jak CSU w Bawarii, bo nie stanowi jeszcze partii narodowej czy nawet regionalnej. RAŚ jest przede wszystkim partią niewielką. ŚPR i Ślonzoki Razem nie osiągnęły, co zresztą widać po zerowej liczbie mandatów, sukcesu. Oni naprawdę mają niewielkie poparcie na Śląsku.

KW: Najlepszy komentarz odnośnie wyborów samorządowych był taki, że skoro śląscy autonomiści krótko przed wyborami pokłócili się, a w konsekwencji nie otrzymali żadnego mandatu, to dali nam najlepszy dowód na to, że są Polakami. (*śmiech*)

KP: (*śmiech*) Gdy patrzemy na statystyki, dużo mniej ludzi, którzy zadeklarowali narodowość śląską w ostatnim Spisie Powszechnym, głosowało na te partie. Wniosek jest jasny, że ani RAŚ, ani ŚPR, ani Ślonzoki Razem nie reprezentują Śląska politycznie. Jeśli zgadzamy się na pierwszą tezę, może zgodzimy się też co do drugiej. Jeśli Ślązacy tak mocno deklarują swoją odmienność, a jednocześnie nie stworzyli poważnej siły politycznej, zdolnej walczyć o ich prawa, to być może Śląsk dalej pozostaje wsobny i apolityczny? Może warunkiem zachowania śląskiej autentyczności jest brak zaangażowania w brudną politykę?

PK: Powiem nawet ostrzej: jeżeli Śląsk hipotetycznie za 10 lat wróciłby do Niemiec, to samych Ślązaków niewiele by to obchodziło. Ot, zmiana w funkcjonowaniu urzędów i szkół – wielkie rzeczy.

KW: To prowokacyjna i krzywdząca dla Ślązaków teza. Ich apolityczność może nie być niczym wyjątkowym. Mamy przecież w Polsce powszechny problem ze sprawiedliwym wyłanianiem reprezentacji politycznej i to nie dotyczy wyłącznie Śląska. Nie podważam tej myśli jakoś radykalnie, ale apeluję o ostrożność.

KS: Dla mnie Śląskość to przywiązanie do ziemi, dumy i tradycji – do pracowitości i etosu. Dziś mamy zmianę. Próbuje się tworzyć coś w rodzaju nowoczesnej, trochę hipsterskiej wizji śląskości. Dobrym przykładem jest firma „Gryfnie”.

KW: To również przykład zespołów hip-hopowych rapujących po śląsku. To jest ciekawe, bo oni odnoszą się do tradycyjnej śląskości, tej związanej z ciężkim przemysłem.. Identyfikują się z miejscem dlatego, że ono jest twoje. To bardzo intrygujący, pierwotny związek.

KP: To oczywiste, choć znowuż bardzo charakterystyczne. Nie ma przecież już tak wielu hut, nie ma kopalni, nie ma „omy” (babci), „opy” (dziadka), a my ciągle o tym samym. Odwołują się do tego, co już nie istnieje. Podobnie jak Wojciech Wencel piszący wier-

sze o płaczącej, wąsatej, szlacheckiej Polsce, której już nie ma. Ta epigonia jest irytująca.

PK: To w takim razie czy nie odkryliśmy nieoczywistego podobieństwa? Czy Polaków i Ślązaków nie łączy patologiczna tęsknota za przeszłością? Za światami kopalń, patriarchalnej rodziny, uporządkowanego życia?

KP: Idźmy w stronę nostalgii. Polacy są bardziej śmieszni ze swoją tęsknotą do XVI w. niż Ślązacy, którzy tworzą wspólnotę dzięki nostalgii za wiekiem XIX i XX.

PK: Nie są śmieszni, ponieważ mogą wykazać faktyczną genealogiczną ciągłość, że autentycznie jego pradziadek, dziadek i ojciec kopali węgiel. Natomiast pradziadek prawicowca, który roi o dworach szlacheckich, zużywał życie na odrabianiu pańszczyzny.

KS: Śląskość wymaga wrażliwości i zrozumienia. Łączy nas nostalgia, ale to zupełnie inne uczucie po polskiej i śląskiej stronie. Jedno jest pewne – czas zakopać wojenny topór. Gdy patrzymy na Europę poza Polską, to ostatnie czego możemy dzisiaj chcieć, to wewnętrzny konflikt.

Piotr Kaszczyszyn

Rredaktor naczelny portalu opinii klubjagiellonski.pl oraz czasopisma idei „Pressje”. Członek Klubu Jagiellońskiego. Doktorant w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Konstany Pilawa

Sekretarz redakcji czasopisma idei „Pressje”. Koordynator krakowskiego oddziału Klubu Jagiellońskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego. Ślązak.

Konrad Siembiga

Absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Student historii i „filmówki” Uniwersytetu Śląskiego. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Kamil Wons

Członek kolegium redakcyjnego „Pressji”, stały autor portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Dizajn made in Śląsk

Hanna Groborz

Nie brakuje im ani chęci, ani kreatywności. Swoje pomysły i lokalny patriotyzm przekuwają na gotowe projekty. Odczarowują stereotyp kopalnianego, szarego i smutnego regionu, w którym „hanysi wadzom się z gorolami”, a w prowadzonej działalności są skuteczniejsi od niejednego profesjonalnego programu promocji regionalnej. O kim mowa? O śląskich artystach tworzących nowoczesny dizajn i pokazujących, że lokalne przywiązanie może być powodem do dumy.

Kojarzycie Państwo Huberta i Annę Dworników, mieszkających przy ul. Korfantego 13/6 w Katowicach – bohaterów serialu „Święta wojna”, emitowanego na antenie telewizyjnej Dwójki? Prawdopodobnie tak. Niemądry Bercik w każdym z 322 odcinków realizował swoje zwariowane pomysły, zwykle w ukryciu przed żoną Andzią i w kooperacji – lepszej

lub gorszej – ze swoim kolegą warszawiakiem, Zbigniewem Pyciakowskim, powtarzającym co chwilę charakterystyczne „Nie ma to tamto!”. Czasem szli do knajpy Alojza, żeby spotkać się z Gerardem, Ernestem i resztą hanysów. I tak przez 10 sezonów. Serial czasem śmieszył, często żenował, jeszcze częściej denerwował przez operowanie nierzadko krzyw-

dzącymi stereotypami; jednym słowem – wzbudzał w widzach mieszane emocje, zależne zapewne od regionu, z którego odbiorca pochodził. Nie da się ukryć, że w pewien – choć nieco ułomny – sposób stanowił próbę reklamy Śląska. W końcu, obok języka polskiego, pojawiała się w nim ślōnskō *gōdka*, a akcja rozgrywała się na ulicach Katowic (nawiasem mówiąc, nie należały one jeszcze wtedy do najpiękniejszych miejsc na świecie).

Taka promocja regionu nie spełniła jednak oczekiwań ludzi, którym bliski sercu jest zarówno Śląsk, jak i ogólnie pojęta estetyka, ukrywających swoje lokalne przywiązanie z obawy przed oskarżeniami o kicz albo też zwyczajnie nieutożsamiającymi się z modelem przedstawiania śląskiego życia zaproponowanym przez twórców „Świętej wojny”.

Z tych powodów powstały śląskie marki designerskie, promujące szeroko rozumianą kulturę regionu – a więc gwarę, topografię czy architekturę. Trafiają do grona odbiorców wcześniej „nieaktywnych”, do których artyści sami niedawno należeli – trafiają, wychodząc naprzeciw im oraz nowoczesności, zrywając ze stereotypem *gōdki* nadającej się jedynie do skansenu i przedstawianej jako gatunek wymierający.

„GRYFNIE” ZNACZY PIĘKNIE

Z osób, które w swojej twórczości postanowiły postawić na świeżość, z pewnością wyróżniają się Klaudia i Krzysztof Rokselowie, małżeństwo odpowiedzialne za markę Gryfnie, produkującą dziś odzież i gadżety okraszone w całości Śląskiem i nim inspirowane. Zaczęli w listopadzie 2011 roku, kiedy to założyli fanpejdż na Facebooku. Zdecydowali wówczas stworzyć coś nowego, co przyciągnie młodych ludzi do gwary i tutejszej kultury. Okazało się, że, mimo niszowej tematyki popularność profilu rosła dość szybko: w kilka miesięcy udało im się uzyskać kilkanaście tysięcy „lajków”, a liczba ciągle rosła (stan na dziś to niemal 88 tysięcy polubień). Profil oparty był o udostępnianie zdjęć przedmiotów z ich śląską nazwą – miało to pomóc w zapamiętywaniu śląskich słów; przy okazji taka forma pozwalała na generowanie dużej ilości treści, co z kolei ułatwiało skuteczne wybicie się Gryfnie w logarytmach Facebooka.

Kilka miesięcy później Rokselowie postanowili założyć osobny serwis. Zanim do tego doszli, przejrzeni Internet w poszukiwaniu stron o podobnym profilu tematycznym. Natrafili na kilka witryn opowiadających o Śląsku, jednakże pierwszym, co rzuciło się w oczy, był brak estetyki; zamiast niej – wszechobecna prząsność. Znaleźli wówczas profesjonalnego grafika, zainwestowali w stronę, a w zakładce „Łonos” napisali: „Gryfnie to je po polsku ładnie i pięknie. (...) Wsłuchujemy się w bicie syrca dzisijszego pokolynio i podug tego łonaczymy ślōnski projekt „gryfnie”. (...) Skisz tego, że przajymy ślōnskiej godce, chcymy się niom asić i pokozac z trocha inkszyj strony – barzij współczesnyj”.

Kolejnym krokiem rozwoju marki było rozpoczęcie produkcji odzieży i gadżetów. Rokselowie nie przewidzieli jednak, że popularność produktów będzie tak duża – niektóre wręcz rozeszły się na pniu.

Rozszerzyli więc i usystematyzowali działalność; dziś w swoim asortymencie oferują przede wszystkim koszulki *dlo babów*, *dlo chopów* i *dlo bajtli*, bluzy, torby (np. *tasze na maszkety*, czyli słodycze), skarpetki-*zoki* z *pyrlikiem* i żeloskiem tworzącymi górniczy herb, ale także książki tematyką związane z regionem, gustowne kubki, magnesy, a nawet gry (np. planszówkę „Familonok” albo śląskie memory „Spamiyntej ślōnski słowa”).

Oprócz sklepu, znajdziemy na Gryfnie zakładki „Kultura”, „Muzyka”, „Warzyni” (gotowanie) czy też „Bydzie się dzieło”. Zainteresowanych etymologią niektórych słów zadowoli *Słownik Ślōnski*, z którego dowiemy się, co to znaczy łonaczyć, czym jest *wihajster* i do czego służy *dinks*, zaś zakładka wideo zawiera filmy z serii „Jezech stond” ukazujące m.in. sylwetkę Szczepana Twardocha czy Roberta Talarczyka. A to wszystko tworzone jest w śląskiej gwarze i w sposób nieprzywołujący rubasznych skojarzeń.

W wywiadzie dla firmy marketingowej KavaStudio, zapytana o specyfikę prowadzenia firmy na Śląsku, Maria Dziubany (menedżerka marki Gryfnie), przyznaje: „Ludzie tutaj są z jednej strony prości (nie prostacy!) i przy tym wymagający. Nie musimy robić wymyślnych kampanii, bo nikt tego nie oczekuje,

ale wiemy też, że nie przeszłyby koszulki słabej jakości, z nieciekawymi grafikami. Ślązacy nie lubią, gdy ktoś traktuje ich niepoważnie i próbuje sprzedać im kit. Nie krępują się też, żeby skrytykować coś, co im się nie podoba albo postawić warunki.”

KUP SOBIE NIKISZ

Równie szeroką gamę produktów oferuje kolejny projekt o śląskich korzeniach – Qdizajn. Zrobiło się o nim szczególnie głośno, kiedy jedna z jego autorek, Monika Kudełko, pokazała, jak według niej mogłyby wyglądać plakaty filmowe, gdyby dane filmy były produkowane na Śląsku. I tak oto mogliśmy podziwiać *Haje we kosmosie*, a więc *Gwiezdne wojny*, *Pyjtra (Piotrusia Pana)* czy też *Frelkę ze sztracheclami (Dziewczynkę z zapalkami)*. „Chciałam nawiązać nazwą, ale i rysunkiem do naszego regionu. Dla przykładu »Hobbit. Niezwykła podróż« to u mnie »Utopek. Dupno rajza« i widać na nim kominy, Spodek i Pomnik Powstańców Śląskich. Chciałam nawiązać nim do Śląska” – komentuje Kudełko.

Na plakatach Qdizajn się nie kończy – mamy więc designerskie ubrania (także dla niemowląt), torby i gadzety, a wśród nich prawdziwy hit – śląską wersję Eurobiznesu, która dopiero od kilku miesięcy jest dostępna w sprzedaży.

„Ślonsko grafjka” („grafjka” oznacza zręczność, talent) to również dzieło Kudełki i, podobnie jak poprzednie, jest ono mocno zakorzenione w śląskiej gwarze, w której to napisana została zarówno instrukcja, jak i karty do gry. Gra składająca się wyłącznie ze śląskich miast, zawiera m.in. takie pola jak: familok z robotniczego osiedla, Muzeum Śląskie w Katowicach albo Kopalnia Guido w Zabrze. „A dej pozór co trefisz na Pyrzowice we mgłę, to czekosz trzi kolejki”.

WĘGIEL DLA OZDOBY

Kolejnym projektem zasługującym na uznanie jest powstała w 2010 roku w katowickiej dzielnicy robotniczej Załęże pracownia bro.Kat, zajmująca się projektowaniem biżuterii – i to zupełnie nietuzinkowej, bo wykonanej z... węgla. Autorki pomysłu tak mówią o swoim projekcie: „Nazwa pracowni to trans-

formacja pierwszych sylab naszych imion (Bogna, Roma) oraz nazwy miasta, w którym żyjemy i pracujemy – Katowic. Ich połączenie tworzy słowo bro.Kat, kojarzące się z czymś mieniącym, ozdobnym. Brokat to bezpośrednie nawiązanie do „czarnego złota”, jak na Śląsku nazywa się węgiel. Niegdyś na nim budowano bogactwo regionu, dziś, gdy jego rola jako paliwa kopalnego spada, staramy się odkrywać go na nowo w naszej działalności projektowej”. Owo odkrywanie skutkuje naprawdę niespodziewanymi efektami: można sprawić sobie kolczyki, pierścionki, a nawet broszki; męskiemu gronu odbiorców bro.Kat oferuje także eleganckie spinki do mankietów. Biżuteria pokryta jest specjalną warstwą chroniącą przez plamami, a całość zręcznie komponuje się ze srebrnymi elementami.

Historia tej marki doskonale pokazuje rosnące zainteresowanie oryginalnymi produktami lokalnymi. Pierwsze dwa lata działalności Roma Skuza, jedna ze współautorek bro.Katu, opisuje jako okres wzlotów i upadków. „Jeżeli rok zamykałyśmy na zero, był to sukces”. Dziś produkty bro.Katu (tzw. *Hochglance*) można zdobyć w sklepach w całej Polsce; są także eksportowane do 30 krajów. I już nie trzeba czekać, aż z węgla wytworzy się diament. Wystarczy sam węgiel.

BRUD, KTÓRY MYJE

Surowiec ten wykorzystuje także inna marka, już nie odzieżowa, a kosmetyczna. Sadza Soap – bo o nich będzie teraz mowa – to firma stworzona przez Martę Frank i Marcina Babko, nieżyjącego już śląskiego animatora kultury i artysty. Firma oferuje kosmetyki, których bazą jest węgiel aktywny – składnik słynny ze swoich właściwości oczyszczających, regenerujących i przeciwbakteryjnych.

Premiera produktu odbyła się w grudniu 2012 roku podczas Silos Falami Fest – śląskich targów sztuki i dizajnu, a czarne mydło w kształcie węgla promowane hasłem „Sadza odmładza!” rozeszło się błyskawicznie.

W następnym roku rozpoczęli już działalność na dobre – wtedy uzyskali opatentowany znak towarowy oraz wszelkie potrzebne atesty dermatologiczne i załatwili formalności niezbędne do dalszego pro-

wadzenia działalności. Wreszcie znaleźli miejsce przeznaczone na produkcję i nazwali je Białą Fabryką Czarnego Mydła (od białego wystrój wnętrza). Ich popularność rosła szybko, już w 2014 roku mydło było oficjalnym produktem na berlińskich targach Design It. In Silesia. Od tamtego czasu swoją ofertę poszerzyli – dziś w Sadzy można dostać nie tylko mydło w kształcie węgla, ale także szampon z węglem aktywnym, czy peeling do twarzy i ciała. „Teraz Sadza Soap dla Śląska jest jak Biały Jeleń dla Polski” – tak sukces firmy komentuje Marta Frank. Zgodnie z zapewnieniami producenta, produkty pochodzą w 100% z naturalnych składników, dzięki czemu są odpowiednie nawet dla osób z wrażliwą skórą. Sadza Soap, podobnie jak bro.Kat, ma swoich odbiorców nie tylko w Polsce, ale także we Francji, Wielkiej Brytanii czy Portugalii.

Z MODERNĄ NA PLECAKACH

Kolejnym elementem, który zdecydowano się popularyzować poza obszarem Górnego Śląska, jest katowicka architektura, wszak Katowice „moderną” stoją. Właśnie ten kierunek obrali sobie dwaj studenci architektury, którzy stworzyli markę Cuda Krowskie. Produkują plecaki, torby i poduszki – na każdym egzemplarzu umieszczają jeden z przykładów śląskiej moderny; wszystko robione ręcznie. Wśród wzorów mamy zatem sławny katowicki Drapacz Chmur czy choćby Spodek.

POCZYTAJ O ŚLĄSKU

Śląsk da się także w umiejętny sposób reklamować na kartach książek, a tego dowiodła z kolei Joanna Furgalińska, absolwentka katowickiej ASP, ilustratorka książek i autorka „Ślonskiej godki – ilustrowanego słownika dla Hanysów i Goroli”, przybliżającego znaczenie niektórych zapomnianych już słów śląskiej gwary, a także „Ślonskiej kuchni dla Hanysów i Goroli”.

W kręgu literatury należy również wspomnieć o wydanej w 2014 r. pracy doktorskiej Zofii Oslislo-Piekarskiej pt. „Nowi Ślązacy”.

Publikacja ta, nie tylko napisana, ale również w całości zaprojektowana przez autorkę, jest zbiorem czter-

nastu wywiadów – historii ludzi, którzy zdecydowali się tworzyć na Śląsku, po Śląsku i o Śląsku, kreując tym samym nowy model śląskości, pozbawiony archaicznego podziału na *hanysów* i *goroli*, przyjezdnych i tutejszych, czy antagonizmów na linii Śląsk-Polska.

Oslislo stara się dociec, skąd bierze się fenomen dizajnu czerpiącego z tradycji miejsca, zwraca uwagę, że Śląsk jest tym terenem, w którym ludzie zaczynają czuć się za siebie odpowiedzialni, a ta odpowiedzialność wyrosła z poprzednio ukształtowanego mitu pracy. Wśród osób, z którymi rozmawia autorka, znajdziemy m.in. twórców Gryfnie, bro.Katu czy Sadza Soap, ale także Ewę Kuchar-ską, śląską ilustratorkę i autorkę książki „Śląskie mity”, Joannę Sowulę, inicjatorkę Haja! Kolektywu, który to już w 2009 r. dążył do zmiany odbioru regionu wśród ludzi spoza Śląska, czy też Irmę Kozinę, autorkę publikacji „Ikony designu województwa śląskiego”. Oslislo zadbała o wszelkie szczegóły i z prawdziwym pietyzmem dopracowała „Nowych Ślązaków” – niech nie dziwi zatem wygląd wydawnictwa. Czarna okładka, czarne brzegi stron. „Nawet na tym poziomie chciałam, żeby ta książka była mocno wyprowadzona ze Śląska, ponieważ mówi o stereotypach, o tym jak projektanci z nimi grają i jak próbują je przepracowywać. Najsilniejszym stereotypem jest jednak węgiel i to, że jesteśmy regionem kopalni, stąd miała być ona takim czarnym pudełkiem, które w środku będzie bardzo kolorowe” – komentuje autorka.

Owej kolorowości z pewnością Śląskowi odmówić już nie można, bo to właśnie ten region, jak prawdopodobnie mało który w Polsce, potrafi umiejętnie wykorzystywać swoje bogactwa. Co ciekawe (i być może przez niektórych niezauważone), prym w działaniu wiodą przede wszystkim kobiety. To tylko zdaje się potwierdzać istniejący już stereotyp śląskiej *baby*. „Portret silnej, odpowiedzialnej i zaradnej kobiety jest niezbywalną częścią tzw. śląskiego mitu. A mity mają to do siebie, że nie ulegają deformacji; rzeczywistość ich po prostu nie obala. Prawdą jest natomiast, że wiele cech pozytywnych, jakimi charakteryzują się dziś Ślązaczki w ogóle, miało i ma odzwierciedlenie w życiu. W trudnych warunkach kobiety na Śląsku wytworzyły własny etos, pomaga-

jący przetrwać ich rodzinie” – mówi prof. Kazimiera Wódz, socjolog z Uniwersytetu Śląskiego.

Wydaje się, że nawet węgiel, który niegdyś stanowił – oprócz ekonomicznej siły – również wizerunkową słabość tego regionu przejawiającą się w stereotypowych skojarzeniach (Śląsk jest czarny i brudny z węgla, Śląsk to tylko kopalnie etc.), udało się przekuć w regionalny i światowy sukces.

Podobnie sprawa ma się z bardzo odmiennie promowaną śląską gwarą: podczas gdy jedni kultywują

tradycję nagrywania śląskich szlagierów, inni idą z duchem czasu, spełniając się w opisanych wyżej projektach albo prowadząc „zwyckajne” profile na Facebooku (doskonałym przykładem jest tu profil „Rubens był z Bytomia” publikujący obrazy flamandzkiego malarza w formie memów ze śląskim podpisem).

„Bo to wszystko bierze się z tego, że Ślązacy mają taką potrzebę artykułować artystycznie swoje ego” – wskazuje we wspomnianym cyklu „Jeżech stond” Robert Talarczyk, a obserwację tę potwierdza rzeczywistość.

Hanna Groborz

Członek Klubu Jagiellońskiego. Studentka prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Lewa strona odpowiada

Nietypowy, bo autorski dział Bartosza Wójcika. W ramach cyklu przedstawiamy sylwetki zasłużonych i inspirujących postaci z lewicy niepodległościowej, którą łączyła polskość z hasłami sprawiedliwości społecznej.

Lidia i Adam Ciołkoszowie

Bartosz Wójcik

Lidia i Adam Ciołkoszowie. Małżeństwo-symbol tragicznego losu polskich socjalistów. Dzielili ze sobą codzienność, dzielili poglądy, a od pewnego momentu także wysoką pozycję w szeregach Polskiej Partii Socjalistycznej. W wyborze podjętym u progu odrodzonej Polski pozostali konsekwentni. Walcząc o socjalizm, nigdy nie zrezygnowali z drugiego, nieodłącznego w ich przekonaniu hasła – niepodległości.

Dlaczego PPS? Oboje – urodzeni u progu XX stulecia – dorastali w atmosferze wrażliwości społecznej i kultu Piłsudskiego. Dla Lidii, zasymilowanej polskiej Żydówki, przeciwstawiająca się antysemityzmowi partia była naturalną kontynuacją fascynacji Żeromskim i działalności w szkolnej, polsko-żydowskiej – alternatywnej dla ZHP, do którego dzieci wyznania mojżeszowego nie przyjmowano – Drużynie im. Tadeusza Kościuszki. Od harcerstwa zaczynał także Adam, który z kolei pod wpływem narastającego w ZHP nacjonalizmu, organizację tę opuścił.

Nim to jednak nastąpiło, trafił do odrodzonej armii polskiej, w której szeregach brał udział w wojnie pol-

sko-bolszewickiej, a rok później w III powstaniu śląskim. Zdążył się także zasłużyć (jako dziewiętnastolatek!) podczas akcji plebiscytowej na Warmii, gdzie został mianowany dowódcą Naczelnej Komendy Organizacji Harcerskiej. To w okresie walk o granice, podczas których bił się głównie u boku robotników, klarować się miała jego ideowa tożsamość.

Z socjalizmem na dobre związali się na studiach. Ciołkosz niemal natychmiast stanął na czele Sekcji Akademickiej PPS Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z czasem wszedł także do władz Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, w którym rozpoczął swą, mającą trwać dekadami, walkę z wpływami ko-

munistów. Wtedy też, co z czasem stanie się charakterystyczne dla jego drogi, zaczął głosić konieczność współpracy z organizacjami studenckimi mniejszości narodowych. Po ukończeniu studiów w Szkole Nauk Politycznych i uzyskaniu absolutorium na Wydziale Prawa UJ objął stanowisko sekretarza redakcji, sztandarowego obok „Robotnika”, socjalistycznego pisma „Naprzód”.

Lidia Kahan, bo tak brzmiało jej panięskie nazwisko, choć partyjnym stażem przewyższała Ciołkosza, w akademickim życiu politycznym nie była tak aktywna. Poza rozwijaniem szerokich – ukończyła polonistykę, historię oraz Studium Pedagogiczne – zainteresowań badawczych, włączyła się w oświatową działalność Towarzystwa Uniwersytetu Ludowego. Tam też poznali się, a w 1925 roku wzięli ślub. Rok później, w wyniku zamachu majowego, polska rzeczywistość polityczna uległa głębokiej przemianie. Kierownictwo PPS w sądnych dniach poparło Józefa Piłsudskiego, błędnie upatrując w jego posunięciu szans na „powrót do realizacji prawdziwej demokracji i ideałów legionowych”.

ZA SOCJALIZMEM, PRZECIWKO KOMUNISTOM

Dwa główne nurty PPS stanowiły wówczas odpowiednio: grupa starych towarzyszy Piłsudskiego z okresu walk o niepodległość, pozostająca zdecydowanie pod wpływem jego autorytetu, której przewodził pierwszy premier Polski – Jędrzej Moraczewski oraz najsilniejsza w partii frakcja, umiarkowanych społecznie działaczy, silnie akcentująca niepodległościowe tradycje partii, ale do Piłsudskiego coraz bardziej sceptyczna z Tomaszem Arciszewskim, Mieczysławem Niedziałkowskim i Kazimierzem Pużakiem na czele. Na marginesie funkcjonowały też środowiska komunizujące.

Ciołkoszowie nie zaliczali się do żadnej z powyższych grup i w partii odbierani byli jako zwolennicy kolejnej, kształtującej się dopiero frakcji młodych działaczy o szczególnie radykalnym usposobieniu społecznym, domagających się konfrontacji z sanacją i odrzucających wszelkie z nią kompromisy. Jej nieformalnym liderem był przyszły przyjaciel Ciołkoszów, Zygmunt Zaremba. Na kongresie partii w 1934 r. to właśnie z tego środowiska wypłynę –

budząca dziś kontrowersje – uchwała, postulująca wprowadzenie w okresie przejściowym przy przejmowaniu władzy przez PPS dyktatury proletariatu. Mimo że „starzy” byli wobec zgłoszonej przez Zarembę propozycji ostentacyjnie niechętni, propozycja przeszła. Ciołkosz nie głosował – przebywał w więzieniu, jednak kierunek ten był mu wówczas bliski.

Równie radykalny jak nastawienie społeczne był ich stosunek do kwestii niepodległości. Jej zagrożenia upatrywali zarówno w zdobywającym coraz większą popularność ruchu faszystowskim, jak i w stanowiącym (co stwierdzi po latach Ciołkosz) potworną karykaturę socjalizmu – komunizmie. Występując publicznie Ciołkosz często podkreślał zbrodniczy charakter stosunków panujących w Związku Sowieckim, podnosząc problem powszechnych represji politycznych oraz ducha militarizmu, w jakim wychowywano młodzież za wschodnią granicą. Przeciwno komunizmowi – jak przekonywali – wymierzony był również wspomniany wyżej radykalizm społeczny, utrudniający komunistycznym wtyczkom i agitatorom występowanie w roli „jedynych prawdziwych”, bezkompromisowych obrońców sprawy robotniczej.

FASZYZM PRZEZ KRAKÓW NIE PRZEJDZIE

W takim też duchu Ciołkosz sprawował swój mandat, gdy na mocy wyborów z 1928 roku, jako jeden z najmłodszych posłów wszedł do Sejmu z rodzinnego okręgu tarnowskiego. Ciołkoszowie przeprowadzili się wówczas do Tarnowa, gdzie jednak szybko musieli zrezygnować z własnego mieszkania. Paradoksalnie, powodem tego kroku było trudne położenie materialne. W PPS obowiązywał bowiem zwyczaj, że tylko 1/3 poselskiego uposażenia przysługiwała parlamentarzystom. Pozostałe 2/3 przekazywał on na rzecz redakcji „Robotnika”, fundusz przyszłej kampanii oraz zapomogi i poręczenia dla znajdujących się w trudnym położeniu, nierzadko karanych za udział w strajkach, robotników.

Pracę parlamentarną (angażował się choćby w działania na rzecz zmiany obowiązującej ciągle na szczeblu samorządowym w Galicji, kurialnej „C-K ordynacji” wyborczej, która siłę głosu uzależniała od statusu majątkowego [sic!]) łączył z równie czę-

stą, co głośną, pracą w terenie. Objawiała się ona dziesiątkami wieców, odczytów oraz bezpośrednim udziałem w strajkach. Piętnując „faszystowskie zapędy obwiepolskie [od Obozu Wielkiej Polski Romana Dmowskiego]” coraz wyraźniej dawał się poznać jako przeciwnik reżimu sanacyjnego, choć, co znamienne dla ówczesnego stosunku socjalistów, zdarzało mu się jednocześnie podkreślać pozytywną rolę samego Piłsudskiego.

W czerwcu 1930 r. był jednym z czołowych organizatorów największej w dziejach pomajowej Polski manifestacji opozycyjnej – Kongresu Obrony Prawa i Wolności Ludu. W trakcie przygotowań do imprezy został do nieprzytomności pobity przez byłych PPS-owców, związanych wówczas z sanacyjną grupą rozłamową. O atmosferze Ciołkoszowskich wieców najlepiej świadczy, odnotowany przez właściwe służby, fragment przemówienia.

Krytykując brak swobód demokratycznych, wyśmiewał pozycję prezydenta w Polsce, mówiąc: „W Warszawie krąży powiedzenie, iż prezydenci RP nie mają szczęścia, ponieważ jednego zastrzelono jak psa, drugiego wypędzono jak psa, trzeci słucha jak pies”. Wypowiedź ta została uwzględniona w trakcie najgłośniejszego procesu II RP – procesu brzeskiego, w ramach którego Ciołkosz był jednym z oskarżonych. Został skazany na 3 lata.

Wówczas część obowiązków uwięzionego pośla przejęła, pozostająca dotąd w cieniu, koncentrująca się na pracy społecznej, Lidia. Na nią też spadł ciężar poprowadzenia kampanii wyborczej PPS. Nie była jednak – i to ogromnie jej pomogło – dla tarnowskich robotników postacią anonimową. Odkąd jej mąż został pośłem, prowadziła liczne odczyty i kursy oświatowe. Organizowała też kolonie letnie dla robotniczych dzieci. Do historii przeszła przywołana po latach słodko-gorzka relacja Ciołkosza z jednej z rozmów z „robociarzami”, gdy ci, nieświadomi pochodzenia Lidii, apelowali: „Mamy do Was, towarzyszu Ciołkosz, prośbę: nie przysyłajcie nam na mówców żadnych Żydów, najlepiej niech zawsze przychodzi towarzyszką Ciołkoszowa”. Lidia sprostała zadaniu, o czym najlepiej świadczy wyjątkowo dobry wynik „Centrolewu” w okręgu tarnowskim (stronnictwa opozycyjne, w tym PPS, startowały

wówczas ze wspólnej listy). Lista zdobyła ponad 30 tys. głosów więcej od rządowej. Rezultat imponował szczególnie na tle wyników ogólnopolskich, gdzie sanacyjny Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem zdobył większość bezwzględna. Pozycja Ciołkoszów w partii rosła.

Po wyjściu na wolność, Adam, przez kilka lat będący wcześniej najmłodszym członkiem ścisłego kierownictwa PPS, został przewodniczącym krakowskiego komitetu partii, jednego z najważniejszych w skali całego kraju. Nieco wcześniej członkinią elitarnej Rady Naczelnej została Lidia. „Góra” liczyła, że Ciołkosz będzie w stanie z jednej strony zmobilizować strategiczny okręg – pierwsza połowa lat 30. to dla PPS okres ogromnego spadku wpływów, z drugiej zaś – przeciwstawić się coraz popularniejszym tam tendencjom jednolitifrontowym [chodzi o jednolity front socjalistów i komunistów].

Na etapie krakowskim Ciołkoszowie zaczęli zmieniać działalność na przede wszystkim antyendecką. Uważali, że los reżimu sanacyjnego, skompromitowanego krwawym stłumieniem wystąpień robotniczych w Krakowie i Lwowie wiosną 1936 roku, przy tym pozbawionego już autorytetu Piłsudskiego, jest przesądzony. Za główną potrzebę chwili uznawali przygotowanie się na nieuniknione (był to pogład całej PPS) – generalne starcie z narodowcami. Utwierdzały ich w tym takie zjawiska, jak coraz brutalniejsze akademickie wystąpienia oenerowców czy sensacyjny marsz na Myślenice, przeprowadzony przez związanego ze Stronnictwem Narodowym Adama Doboszyńskiego. Wykazywały one dobitnie stopień anarchizacji kraju i bezradności – w innych sytuacjach nazbyt opresyjnej – władzy. Utrzymywali również kierunek antykomunistyczny, co paradoksalnie ułatwiała im sama Moskwa – do Polski *via* Łotwa zaczęły właśnie napływać szokujące informacje o czystkach i procesach dokonujących się w ZSRR, które w szeregach Komunistycznej Partii Polski wywoływały dezorientację i zamęt. Okres ten to wreszcie zbliżenie do ruchu ludowego, a szczególnie jego najbardziej radykalnej części – Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”. PPS, po latach bolesnej defensywy obliczonej na jako takie utrzymanie się na powierzchni, odbijała się od dna i zaczynała imponująco rosnać.

Jednak Kraków to także bogate życie towarzyskie w środowisku młodych socjalistów. Interesujące, że w kręgu najbliższych przyjaciół Ciołkoszów znaleźli się wówczas Wanda Wasilewska oraz późniejszy premier PRL, a wówczas błyskotliwy ulubieniec wroga publicznego komunistów Kazimierza Pużaka – Józef Cyrankiewicz. Z Wandą, znaną jeszcze z okresu studiów, rozstaną się na zawsze, gdy stanie się jasne jej ostateczne przejście na pozycję współpracy z komunistami. Zerwanie z Cyrankiewiczem przyjdzie znacznie później i zaboli ich szczególnie. Jednak właśnie na tle losów Wasilewskiej i Cyrankiewicza, droga wybrana przez Ciołkoszów imponuje ze zdwojoną siłą.

Ostatni etap politycznej aktywności Ciołkoszów w wolnej Polsce przypadł na wybory samorządowe, odbywające się w grudniu 1938 roku. *Leitmotivem* prowadzonej przez Ciołkosza kampanii było radykalne przeciwstawienie się coraz wyraźniej totalistycznemu kierunkowi obozu narodowego. „To polska odmiana hitleryzmu! Wołają o Wielką Polskę, ale chcą małego Krakowa, w którym wszystkie szyby byłyby wybite, a połowa ludzi chodziłaby z głowami pokrwawionymi od ciosów endeckich pałkarzy” – pisał w broszurze *Faszyzm przez Kraków nie przejdzie*, konkludując: „Endecja to stronnictwo skarlenia i małości duchowej”.

Przenosząc na grunt krakowski doświadczenia z Tarnowa, Ciołkoszowie nawoływali do współpracy z ugrupowaniami żydowskimi, przede wszystkim z socjalistycznym Bundem. Taktyka okazała się skuteczna – w Krakowie socjaliści w porozumieniu z Żydami zdobyli większość mandatów, jednak dokonany przez nich wybór na prezydenta miasta Mikołaja Kwaśniewskiego, piłsudczyka demokracji, a na jego zastępcę Antoniego Pajdaka z PPS, został zignorowany przez sanacyjny OZON [Obóz Zjednoczenia Narodowego], wskutek czego aż do wybuchu wojny miastem zarządzał narzucony odgórnie komisarz.

LONDYN SIKORSKIEGO JAK WARSZAWA ZA PIŁSUDSKIEGO

We wrześniu Adam, jako skazany za przestępstwa polityczne, nie został przyjęty do wojska. PPS-owskie małżeństwo, podobnie jak setki tysięcy Pola-

ków, rozpoczęło tułaczkę, która dla nich miała okazać się wyborem na całe życie. Po krótkim pobycie w znajdującym się pod sowiecką okupacją Lwowie, postanowili się rozdzielić – on udał się na Zachód przez granicę rumuńską; ona z dzieckiem wyruszyła drogą dłuższą, lecz względnie bezpieczniejszą, przez Litwę. W lutym 1940 roku oboje znaleźli się w Paryżu.

Adam wszedł do stanowiącej emigracyjną namiastkę parlamentu Rady Narodowej, jednak jego zasadniczą rolę była reprezentacja na wychodźstwie punktu widzenia krajowego podziemia socjalistycznego, na którego czele stali Kazimierz Pużak i Zygmunt Zaremba. Wśród postaci wchodzących w skład Komitetu Zagranicznego PPS dominowali działacze „drugiego garnituru”, często pozostający pod wpływem gen. Sikorskiego, niekiedy przejawiający sympatie jednolitifrontowe. Ciołkoszowie, szczególnie zaś Adam, radykalnie antykomunistyczni, mieli równoważyć te tendencje, występując z bardzo silnym mandatem Kraju. Takie też stanowisko zajmowali, ustawiając się coraz wyraźniej w opozycji do rządu.

Równolegle jednak Ciołkosz starał się oddziaływać na gabinet Sikorskiego pozytywnie, proponując kolejne posunięcia, które przeczyłyby powszechnemu przekonaniu o Polsce jako kraju reakcyjnym i antysemickim, często określanym wprost mianem faszystowskiego. Te niezwykle szkodliwe dla sprawy polskiej tendencje umiejętnie podsycali wszechobecni agenci wpływu Kremla.

Ciołkosz nawoływał do podjęcia stanowczych kroków na rzecz zbliżenia z mniejszościami narodowymi, proponując m.in. wprowadzenie ukraińskiej i białoruskiej audycji w nadawanym z Zachodu polskim programie radiowym; utworzenie ukraińskich jednostek w Polskich Siłach Zbrojnych; wprowadzenie przedstawicieli mniejszości kresowych do Rady Narodowej.

Głosił również konieczność jednoznacznej rezygnacji z popularnego w Polsce przedwojennej programu przymusowej emigracji Żydów, który to program „wywoływał fatalne wrażenie”, uderzając jednocześnie – co trzeźwo zauważał – w politykę Wielkiej Brytanii. Był przekonany, że poparcie Zachodu

utrzymać może jedynie Polska jednoznacznie demokratyczna, szanująca swoje mniejszości. We współpracy z mniejszościami widział też szansę na ratowanie przedwojennej granicy wschodniej, coraz wyraźniej zagrożonej ambicjami Stalina. „Lepiej, jak będziemy bronić ich wspólnie z Ukraińcami i Białorusinami, niż w osamotnieniu” – stwierdzał.

O ile Sikorski, w przeciwieństwie do wielu innych polityków pravicowych, znał Zachód i rozumiał wagę zabiegania o ostentacyjnie wręcz demokratyczny charakter powojennej Polski, o tyle w kwestii granicy wschodniej i stosunków z ZSRR prowadził – co być może też ze wspomnianej znajomości wynikało – politykę dla WRN-owskiego nurtu PPS nieakceptowalną. Ciołkosz, podobnie jak krajowy ośrodek partii, za kapitulanki uznał podpisany latem 1941 r. układ Sikorski-Majski. Na jego mocy z łagrów sowieckich wyszło kilkaset tysięcy obywateli polskich, co doceniano, zwracając jednak uwagę, na brak w dokumencie gwarancji sowieckich dla przedwojennej granicy wschodniej. „Będzie to miało dla nas tragiczne konsekwencje” – uważał. Kwestia stała się osią toczonych pomiędzy politykami, aż do śmierci generała, sporu.

Należy podkreślić, że w Komitecie Zagranicznym PPS zasiadali także liczni zwolennicy polityki Sikorskiego. Niekiedy zasadnicze wręcz różnice nie przeszkodziły im wspólnym wysiłkiem powołać jeszcze wiosną 1941 r. Polskiego Biura Informacji Społecznej. Jego zadaniem było wydawanie anglojęzycznego biuletynu zbierającego, a następnie prostującego, szkalujące Polskę informacje oraz stawiającego sobie za cel wpływanie w duchu propolskim na masy Labour Party i związków zawodowych. W jednym z listów poprzedzających powołanie Biura, Ciołkosz pisał: „Nie możemy pozwolić sobie na to, by rząd ten zwalczać i od niego się odciąć [...]. Nasz wysiłek polegać musi na tym, aby uczynić wszystko, co możliwe, by temu rządowi nadać oblicze demokratyczne”.

O wysokim poczuciu odpowiedzialności Ciołkosza świadczy również jego stosunek do „polowania na sanatorów”, którego twarzami byli bardzo bliscy współpracownicy Sikorskiego – gen. Izidor Modelski i prof. Stanisław Kot. Mimo że niewielu emigracyjnych polityków „zawdzięczało”

reżimowi sanacyjnemu tyle, co on sam, wyraźnie dystansował się od prowadzonej w atmosferze mściwości i małostkowości kampanii rozliczania piłsudczyków, uważając, że jest ona niezbędna, ale dopiero po zakończeniu wojny. Broniąc swojego stanowiska, podkreślał: „Sprawa Brześcia jest dziś zgoła niewspółmierna z tym ogromem cierpień, jaki rozlał się na polską ziemię”. Równocześnie w rozmowach i korespondencji prywatnej zwracał uwagę na analogie między zdominowanym przez Sikorskiego obozem londyńskim a rolą Piłsudskiego w Polsce przedwojennej.

NIEDOSZŁY PREMIER NA UCHODŹCTWIE

W okresie tym Lidia Ciołkoszowa pozostawała wyraźnie w cieniu męża, konsekwentnie wspierając go w zajmowanym stanowisku na forum Komitetu Zagranicznego PPS. Sama koncentrowała się na pracy w zarządzie Światowego Związku Polaków z Zagranicy „Światpol”, wspierającego Polonię i nagłaśniającego problematykę polską. Gdy w wyniku konfliktu z Sikorskim Ciołkosz na pewien czas stracił niemal wszystkie dotychczasowe stanowiska, to na nią spadł materialny ciężar utrzymania rodziny. Tymczasem w kraju dokonywała się zagłada ludności żydowskiej, która nie oszczędziła także jej bliskich. Wojnę, w obozie koncentracyjnym, przeżył tylko brat Lidii.

Co ciekawe, po tragicznej śmierci Sikorskiego to Ciołkosz był pierwszym politykiem, do którego zwrócił się prezydent Raczkiewicz z propozycją objęcia teki premiera. Ten możliwość podobnego rozwiązania odrzucił, paradoksalnie popierając kandydaturę ludowca, Stanisława Mikołajczyka, która oznaczała kontynuację dotychczasowej linii. Na jego zastępcę proponował Jana Kwapińskiego z PPS. Co wpłynęło na stanowisko czołowego socjalisty „polskiego Londynu”?

Nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Być może chłodny realizm, w myśl którego, po ostrych kampaniach przeciw byłemu premierowi i Naczelnemu Wodzowi, nie mógł liczyć na niezbędne do realizacji skutecznej polityki poparcie Anglików. Być może – lęk przed odpowiedzialnością i obawa – o której pisze biograf Ciołkosza, prof. Andrzej Friszke – że tego

typu rząd, bez udziału Stronnictwa Ludowego, stać by się musiał zakładnikiem prawicy. Niewątpliwie odmowa ta może rodzić pewne wątpliwości co do jego, wyraźnie krytycznej wobec zbyt „miękkiej” polityki kolejnych rządów, postawy. Ostatecznie jako przedstawiciel PPS poparł publicznie nowo wybrany gabinet Mikołajczyka i Kwapińskiego, podkreślając, że na jego czele stoją chłop i robotnik, co świadczyć miało o jego wybitnie demokratycznym charakterze.

Gdy w 1944 roku kolejne miesiące bezwzględnie weryfikowały nadzieje polskiej emigracji, Ciołkoszowie, podobnie jak inni podzielający ich antysowiecką linię członkowie Komitetu Zagranicznego PPS, byli rozdarci. Nie ukrywali swojej niechęci do Mikołajczyka i braku wiary w skuteczność jego ugodowej polityki. Z drugiej strony PPS trwała w rządzie, czekając na rozwój sytuacji w Kraju. W obliczu dramatu Powstania socjaliści zaproponowali własny, odrębny od mikołajczykowski projekt kompromisu, dopuszczający do planowanego rządu komunistyczną Polską Partię Robotniczą, ale odrzucający dotychczasowe żądania Moskwy i sugestie Londynu. Propozycja ta miała charakter czysto manifestacyjny, co Ciołkosz doskonale wiedział, stwierdzając wprost – od września 1939 roku celem ZSRR jest zniszczenie państwa polskiego i dodając: „Jesteśmy gotowi do każdego uczciwego kompromisu. [...] Odrzucamy kapitulację, nasz naród sobie na nią nie zasłużył”. Co ciekawe, w przeciwieństwie do większości obozu „niezłomnych”, do końca życia nie potępiał, a wręcz aprobował decyzję o wybuchu Powstania, uważając je za akt nieunikniony, który odegra jeszcze istotną rolę w dążeniach niepodległościowych narodu polskiego.

W obliczu ustąpienia Mikołajczyka i powołania „rządu protestu narodowego”, na którego czele stanął ściągnięty specjalnie z Kraju nestor PPS, Tomasz Arciszewski, Ciołkosz nie zdecydował się wejść do niego. Swoją decyzję motywował brakiem w nim realizujących wówczas politykę „ugodową” ludowców oraz obecnością, a nawet – co podkreślał – dominacją Stronnictwa Narodowego. Uważał, że ten egzotyczny socjalistyczno-endecki mariaż będzie zarazem idealnym paliwem dla coraz wyraźniej atakującej „reakcyjną emigrację” propagandy komunistycznej, jak i posunięciem kompletnie niezrozumiałym dla

Anglików, wyczulonych na punkcie polskiego nacjonalizmu. Czy miało to dla nich jakiegokolwiek znaczenie? Nie wiadomo, natomiast faktem jest, że Churchill oraz jego następca, Clemens Attlee, od samego początku ignorowali istnienie Arciszewskiego, ani razu nie decydując się na spotkanie z nim.

Wraz z decyzją Adama, Ciołkoszowie, pozostając lojalnymi wobec rządu, w pewnym sensie zrywali więzy ze swoim dotychczasowym środowiskiem. Dla „niezłomnych” stawali się niewystarczająco niezłomni. Przez „ugodowców” odrzuceni zostali już poprzednio, na etapie gorących sporów o postawę wobec zaborczej polityki Stalina, w której zresztą pozostawali konsekwentni. Lidia kontynuowała swoją pracę w „Światopole”, co pozwalało im utrzymać się na coraz mniej przychylnym gruncie londyńskim.

„SŁUCHALIŚMY CHURCHILLA [...], ANGLICY WIWATOWALI, JA GORZKO PŁAKAŁAM, ADAM STAŁ PRZYGNĘBIONY”

Ciołkosz natomiast starał się wykorzystywać swoje rozległe znajomości w międzynarodowym ruchu socjalistycznym, na forum którego zabiegał o poparcie dla sprawy niepodległości Polski wśród liderów europejskiej lewicy.

Spotykał się z czołowymi postaciami Labour Party – zarówno bliskimi Polsce, by wspomnieć lorda Hendersona czy Denisa Healeya; jak i zdecydowanie „grającymi” przeciw nam, jak Harold Lasky. Kontaktował się także z byłym premierem Francji, Leonem Blumem oraz przewodniczącym Międzynarodówki – Camillem Huysmansem. Wskutek jego interwencji, ten ostatni, otwierając pierwszy zjazd Międzynarodówki, w nawiązaniu do „lubelskiej” delegacji polskiej, powiedział: „Są tu tacy, którzy tu być nie powinni, nie ma takich, którzy tu być powinni”. Podczas licznych konferencji, poza demaskowaniem zbrodniczego charakteru instalowanego nad Wisłą reżimu, zwracał też uwagę na rosnące zagrożenie niemieckie. W tym samym czasie premier Arciszewski publicznie zrzekał się Ziem Zachodnich, podnosząc priorytetowość oddania Polsce Wilna i Lwowa. Zdaniem Ciołkosza był to poważny błąd, co potęgowało rozdzźwięk między nim a rządem.

8 maja 1945 r. ulice Londynu opanowały rozentuzjarmowane tłumy Anglików, świętujących koniec zwycięskiej wojny. Płomiennie przemówienie wygłosił wówczas Winston Churchill. „Słuchaliśmy Churchilla [...], Anglicy wiwatowali, ja gorzko płakałam, Adam stał przygnębiony” – przywoływała ten dzień Lidia.

Jak widzieli swoją dalszą drogę? Najlepiej świadczyć o tym może fragment przejmującego artykułu zamieszczonego przez Ciołkosza na łamach „Robotnika polskiego w Wielkiej Brytanii”: „Obowiązkiem naszym jest mówić prawdę. [...] Nie liczymy na nowe konflakcje wojenne – Polska straszliwie potrzebuje pokoju. Nie liczymy dziś na zbrojne rewolucje ani powstania. Nie stać nas na nie. Świat odmówił nam nawet prawa do obrony koniecznej. [...] Tylko świat prawdziwej demokracji ludowej i socjalistycznej uszanuje nasze prawa. [...] Z nią zespałać będziemy sprawę Polski, a nie z takimi czy innymi imperialistycznymi interesami”.

W maju 1946 roku, korzystając z okazji, jaką był wspomniany już pierwszy powojenny organizacyjny zjazd Międzynarodówki Socjalistycznej, Ciołkoszowie nawiązali kontakt ze swym dawnym przyjacielem – Józefem Cyrankiewiczem. Pełnił on wówczas funkcję sekretarza generalnego krajowej PPS, podporządkowanej komunistom. „Gdy otworzyłam mu drzwi, popłakał się” – wspominała Lidia. W okresie tym szczególnie doły partii, zdominowane w wielu regionach przez działaczy niepodległościowej WRN (w czasie okupacji był nim także Cyrankiewicz), zajmowały ciałę stanowisko krytyczne wobec PPR.

Mimo znanej powszechnie swej niechęci do Mikołajczyka, oboje przekonywali Cyrankiewicza do odwrócenia PPS na stronę Polskiego Stronnictwa Ludowego, w czym upatrywali ostatnich szans na ratowanie ustroju demokratycznego i suwerenności Polski. Szczegóły tej rozmowy na zawsze pozostały między nimi. Cyrankiewicz nie ugiął się, co dla Ciołkoszów było głębokim, bolesnym zawodem.

Kłeską zakończyły się też nadzieje na utworzenie, wraz z przybyłym na Zachód czołowym działaczem podziemnego PPS-WRN, Zygmuntem Zarembą, alternatywnego wobec pozbawionego znaczenia

i zdominowanego przez endecję rządu, ośrodka polskiej opozycji demokratycznej. Nie udało się tego dokonać ani pod sztandarem PPS, ani nieco później, gdy nawiązano współpracę z młodymi, demokratyczno-radykalnymi pilsudczykami i częścią chadecji. Równolegle rząd warszawski – po wykończeniu PSL – zabierał się, przy budzącej odrazę postawie Cyrankiewicza (co podkreślał w swej publicystyce Ciołkosz) za resztki niezależnych struktur PPS. Odpowiedzią emigracji był symboliczny, utrzymany w duchu przedwojennym zjazd partii w Point a Lesse. Tylko tyle i aż tyle można było zrobić.

CIOŁKOSZOWIE – PATRONI KORU

Tematem na osobny tekst są ich dalsze perypetie w bogatej mozaice, często gorzkich, emigracyjnych sporów i rozłamów. Nie ustrzegł się ich także wychodźczy ruch socjalistyczny. Dość wspomnieć, że w 1960 roku Ciołkoszowie zostali wyrzuceni z partii, czego powodem była deklarowana przez nich zasada legalizmu władz emigracyjnych i niewiara w gomułkowską „demokratyzację”. Nie zmieniło to jednak ich bardzo wysokiej pozycji w środowisku polskiej emigracji, w życiu której przez lata pozostawali bardzo aktywni. Współpracowali z Instytutem Literackim Jerzego Giedroycia i Radiem Wolna Europa, na falach którego prowadzili audycje demaskujące prawdziwy charakter „realnego socjalizmu”. Wydali szereg pozycji poświęconych historii i dorobkowi ideowemu niepodległościowego ruchu socjalistycznego, spośród których chyba najważniejszym był ogromny, dwutomowy (kolejne tomy nie ukazały się ze względu na śmierć Adama), napisany wspólnie *Zarys dziejów polskiego socjalizmu*. Lidia opracowała też bardzo popularną, syntetyczną pracę *Publicystyka polska na emigracji 1940-1960*, gdzie w obiektywny sposób przybliżyła koleje emigracyjnych sporów, starając się udowodnić fałszywość zarzucanej powszechnie „polskiemu Londynowi” stagnacji ideowej.

Gdy w latach 70. w Warszawie powołany został Komitet Obrony Robotników, Ciołkoszowie aktywnie włączyli się w rozkręcanie emigracyjnego wsparcia dla tej, pierwszej od czasów PSL, jawnie działającej opozycji demokratycznej. Nic dziwnego – w gronie jego założycieli znaleźli się bowiem starzy PPS-owcy,

tacy jak Ludwik Cohn, Aniela Steinsbergowa czy Antoni Pajdak – wspomniany już niedoszły wiceprezydent Krakowa.

Poza ułatwianiem zagranicznych kontaktów, współorganizowali pomoc finansową dla KOR, a za jego pośrednictwem także innych powstających w kraju struktur. Po śmierci Adama w 1978 r., odpowiedzialność za tę działalność wzięła na siebie Lidia i to ona, jako ostatnia żyjąca członkini przedwojennej Rady Naczelnej PPS, „niosła sztandar polskiego socjalizmu” aż do odtworzenia – jeszcze wówczas podziemnej – PPS w Polsce. W 1990 r., mając 88 lat, przyjechała do kraju, by wziąć udział w uroczystym kongresie zjednoczeniowym, którego została

honorową przewodniczącą. Podjął ją wówczas także pierwszy niekomunistyczny premier, Tadeusz Mazowiecki.

Ku jej ogromnemu rozczarowaniu, opozycja solidarnościowa nie zdołała jednak wypracować alternatywnej dla postkomunistów trwałej struktury lewicowej. Wraz ze śmiercią bliskiego Ciołkoszom głównego orędownika odrodzenia PPS w kraju, Jana Józefa Lipskiego, w partii na popularności zaczęły zyskiwać koncepcje zbliżenia z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. W 1994 r. zawiedziona i rozgoryczona zrezygnowała z członkostwa w PPS. Zmarła w Londynie, na krótko przed swymi setnymi urodzinami.

Bartosz Wójcik

Stały współpracownik czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

January Grzędziński

Bartosz Wójcik

Jako adiutant Piłsudskiego i jeden z pionierów polskiego lotnictwa w rzeczywistość odrodzonego państwa wchodził z perspektywami wielkiej kariery. Oddalał się od niej stopniowo, coraz wyraźniej uświadamiając sobie nieprzystawalność polskich realiów do legionowych „szklanych wizji”. Sprzeciwiał się idącej na kompromis z nacjonalizmem sanacji, dążącemu do emigracyjnych czystek obozowi Sikorskiego, dławiącemu wolność słowa komunistom. Ostatni, nie mogąc go złamać, usiłowali zdyskredytować jako człowieka niezrównoważonego psychicznie. Do końca pozostał legionem-socjalistą.

Lato roku 1968. Prowadzona przez partyjną prasę od miesięcy antyinteligentcka nagonka nie gaśnie. Po studentach i „syjonistach” na czoło „obozu zdrady” wysuwają się nieliczni literaci. W doborowym gronie atakowanych szczególnie, obok znanego publicyście i posła na Sejm PRL, Stefana Kisielewskiego oraz popularnego historyka – Pawła Jasienicy, jest jeszcze ktoś. Pozostający w ich cieniu, blisko osiemdziesięcioletni pisarz, a zarazem weteran Legionów, January Grzędziński.

Coraz bardziej osaczony, ośmieszany i pozbawiony możliwości obrony w prasie krajowej piłsudczyk-socjalista nie składa broni. Na łamach paryskiej „Kul-

tury” ukazują się kolejne, choć przemycone z Polski, to podpisane jego nazwiskiem, teksty obnażające fikcję gomułkowskiej praworządności. Równolegle wysyła list do politycznie nadzorującego Związek Literatów Polskich (ZLP), partyjnego pisarza Jerzego Putramenta. „Kazaliście swoim szmatławcom czekać na mnie. Psy szczekają, a karawana idzie dalej – jak mówią Arabowie. Do widzenia. January Grzędziński” – kończy.

PRZEZ TASZKIĘT I PARYŻ DO LEGIONÓW

Pierwszym politycznym doświadczeniem – rzecz typowa dla pokolenia mającego odzyskać wkrót-

ce własne państwo – była rewolucja lat 1905-1907. Grzędzińskiego zastała w Taszkencie, gdzie pracował jego ojciec. Mając 16 lat, jako przywódca gimnazjalnej konspiracji antycarskiej, trafił na krótko do więzienia.

Studia medyczne, na które skierowali go do Paryża dobrze sytuowani rodzice, nie okazały się wyborem trafionym. Znacznie bardziej pochłaniała go polityka i przeżywająca nad Sekwaną swoisty *boom* tematyka lotnicza. Dzięki pomocy jednego z emigracyjnych socjalistów, inżyniera Witolda Jarkowskiego, w 1909 r. dostał się do prestiżowej Wyższej Szkoły Aeronautyki. „Byliśmy – wspominał po latach pobyt tam – niejako w epicentrum tworzenia się nauki lotniczej”.

Równolegle zaangażował się w emigracyjny ruch socjalistyczny. W organizacjach młodzieżowych – podobnie jak w szeregach samej Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) – coraz ostrzej zaznaczał się spór między mniej licznymi zwolennikami kursu niepodległościowego oraz większością, postulującą koncentrację na nierównościach ekonomicznych. Swoje miejsce widział pośród pierwszych, którzy rywalizując z prądem internacjonalistycznym, zwalczali także zorientowany „na Rosję” rodzimy nacjonalizm. Wkrótce, dostrzeżony przez wysłannika i prawą rękę Piłsudskiego, Kazimierza Sosnkowskiego, włączył się w organizację paryskich struktur „Strzelca” i Związku Walki Czynnej (ZWC).

W Paryżu Grzędziński poznał też stosunkowo słabo jeszcze znanego, po latach patetycznie nazwanego „sumieniem polskiej lewicy”, Andrzeja Struga. Socjalistyczny pisarz miał okazać się nie tylko ważnym autorytetem politycznym, ale także przyszłym mężem siostry Januarego, Nelly.

WŚRÓD ŻOŁNIERZY OBYWATELI

Dyplom obronił w czerwcu 1914 r. Wybuch wojny między zaborcami sprawił, że obiecujące perspektywy zawodowe szybko zeszyły na plan dalszy. Z końcem września 1914 r. Grzędziński zameldował się w Legionach. Nie mogąc w praktyce wykorzystać swego wykształcenia, poprosił o przydział do piechoty. Po krótkim epizodzie w legionowej kawalerii, trafił do 4. Pułku Piechoty. Z „Czwartakami” prze-

szedł cały szlak bojowy. Awansował, otrzymał Krzyż Virtuti Militari, zetknął się z innym orędownikiem Polski Ludowej – poetą Władysławem Broniewskim. Wstąpił też do konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej (POW).

Kiedy, wobec liberalizacji kursu niemieckich władz okupacyjnych, nadarzyła się okazja spożytkowania wykształcenia Grzędzińskiego, zwierzchnicy skierowali go do Warszawy. Włączył się tu w prace nad rozwijaniem Polskiego Towarzystwa Żeglugi Nawietrznej (PTŻN). Nie mając jeszcze 30 lat został wykładowcą aeronautyki, przybliżającym specyfikę najnowocześniejszego wówczas rodzaju broni studentom warszawskich szkół technicznych.

W listopadzie 1918 r., jako wysłannik rządu ludowego powołanego w Lublinie przez socjalistów i lewicę ruchu chłopskiego, dotrzed do powracającego z internowania Piłsudskiego. „Dziękuję Wam. Wy już do Lublina nie wróćcie, zostajecie u mnie” – usłyszy, stając się tym samym jednym z adiutantów Komentanta. Podczas pełnienia tej funkcji – a odpowiadał m. in. za kontakt z premierem Ignacym Paderewskim; został także wysłany na konferencję paryską – będzie bezpośrednim świadkiem nieudanego, kierowanego przez bliskiego endecji płk. Mariana Januszajtisa, zamachu stanu. Mimo fascynacji postacią przełożonego, szybko poprosi o przeniesienie do służby w tworzącym się od podstaw lotnictwie.

TWÓRCA LIGI OBRONY POWIETRZNEJ PAŃSTWA

Podczas wojny o granice odrodzonej Polski nie walczył w linii. Z „mocnym wykształceniem” pełnił szeregi funkcji zarówno w samym wojsku, jak i ministerstwach – Spraw Wojskowych oraz Kolei Żelaznych. Z biegiem miesięcy, mimo pozostawania w służbie, coraz wyraźniej koncentrował się na potrzebie rozwoju, niezbędnego w jego przekonaniu dla wzmocnienia pozycji młodego państwa, mniej popularnego lotnictwa cywilnego.

W 1921 r., obejmując funkcję wiceprezesa Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej, jako wydawca, redaktor naczelny oraz autor dużej części tekstów [sic!], rozpoczął wydawanie „Lotu” – jedyne wówczas w Polsce periodyku poświęconego lotnictwu niewojskowemu.

Dwa lata później, za cel stawiając sobie umasowienie i przybliżenie tej tematyki społeczeństwu, zostanie *spiritus movens* powołania otwartej dla każdego obywatela Ligi Obrony Powietrznej Państwa (LOPP). W połowie lat 20. finansowana głównie ze środków organizacja liczyć będzie już blisko 300 tysięcy członków, a w jej dyspozycji znajdzie się eskadra 12 samolotów. Liga budować będzie szkoły i lotniska szybowcowe, finansować zagraniczne stypendia młodym konstruktorom, wydawać materiały popularyzatorskie.

Paradoksalnie, jej intensywny rozwój stanie się problemem Grzędzińskiego. W obliczu oskarżeń o niegospodarność wysuwanych wobec kierownictwa LOPP – ich tłem był spór między zwolennikami oraz przeciwnikami przebywającego tymczasowo „na bocznym torze” Naczelnika – krótko przed zamachem majowym zrezygnuje z pełnionej funkcji.

O panującej wówczas w lotnictwie atmosferze świadczyć może wydana mu w 1924 r. opinia służbowa. Jej autor, czołowy w lotnictwie przeciwnik Piłsudskiego – za takiego uchodził gen. Włodzimierz Zagórski – stwierdzał: „Poczucie honoru i godności własnej: mierne. Lojalność służbowa: żadna. Ambicja pracy, ambicja osobista: przesadne. Zdolności fizyczne: chuderlawy. Zmysł wykonawczy: żaden. Wyszkolenie fachowe: niedostateczne. Sprytny i przebiegły. Wysoce nielojalny. Intrygant z zamiłowaniem. Karierowicz”.

Sam – już po odejściu – zaangażuje się w prace zespołu, który ujawni nieprawidłowości pogrążające zwierzchnika. Co wiele mówi o temperaturze sporów idealizowanego dziś często dwudziestolecia międzywojennego, trzy lata później – w rok po przejęciu władzy przez obóz piłsudczykowski – Zagórski „zaginie bez wieści”. Osoba skonfliktowanego z nim Grzędzińskiego nigdy nie będzie jednak wiązana z tą tragiczną sprawą.

POCZĄTEK SANACJI, SCHYLEK GRZĘDZIŃSKIEGO

Choć podczas zamachu majowego 1926 r. nie wziął udziału w walkach, jego rola była niebagatelna. Jako były pracownik Ministerstwa Kolei Żelaznych dostał się do gmachu, gdzie faktycznie przejął zarządzanie siecią kolejową. Wstrzymywał transporty wojsk

spieszących z pomocą stronie rządowej i „przyspieszał” pociągi wiozące jednostki wierne Naczelnikowi. Jego działalność, wzmacniająca skutki ogłoszonego przez PPS i Klasowe Związki Zawodowe strajku kolejarzy, istotnie przyczyniła się do stosunkowo szybkiego sukcesu Piłsudskiego.

Wydawało się, że w tych okolicznościach Grzędziński jest wręcz skazany na jedno z czołowych stanowisk w rodzimych wojskach powietrznych. Tak się jednak nie stało. Otwarcie krytyczny zarówno wobec nowych nominacji personalnych, jak i koncepcji rozwoju – sam publicznie optował za stworzeniem silnego ośrodka, mogącego planować rozbudowę w dłuższej perspektywie – Dowództwa Lotnictwa, już latem 1926 r. został odsunięty.

Gruntownie wykształcony technicznie i mimo młodego wieku doświadczony organizacyjnie kawaler Krzyża *Virtuti Militari* – trafił, mając do wyboru także wojska techniczne, do piechoty. Tu służyć miał do drugiej połowy lat 30., kiedy wobec nadmiernej aktywności politycznej najpierw zesłano go do prowincjonalnego garnizonu, a następnie – już na własne życzenie – przeniesiono w stan spoczynku. Choć narastał w nim sprzeciw wobec posunięć obozu dawnych towarzyszy, nigdy – to charakterystyczne dla większości współpracowników Marszałka – za szkodliwie posunięcia nie winił Piłsudskiego.

ODZYSKAĆ ETOS LEGIONÓW

Ideowo pozostawał bliski „szklanym wizjom” Legionów. Choć nie należał do PPS, to jej program najbardziej mu odpowiadał. Aktywność polityczna Grzędzińskiego długo sprowadzała się jednak do niezbyt istotnych, formułowanych w lokalnych pismach – szczególnie na terenach, gdzie dominował ruch narodowy, wojsko stanowiło swoistą tubę propagandową piłsudczyckiego obozu rządowego – wypowiedzi publicystycznych. W połowie lat 30., pod wpływem Struga, a przede wszystkim – wobec śmierci Komendanta, ujawniającej skalę ideowej dezintegracji jego dotychczasowego zaplecza, postanowił zaangażować się w politykę intensywniej.

Podzielał popularny wśród legionistów pogląd: „Odszedł jeden mąż opatrnościowy, pojawiły się tysią-

ce mężów nabacznosciowych – ludzi krótkotrwałej koniunktury”. W ustach części dawnych towarzyszy oraz ironicznie określanego mianem „IV Brygady” – w Legionach takiej nie było – „zaciągu karierowiczów”, szczególnie raził go instrumentalny zwrot w kierunku hasel dotąd kojarzonych z endecją. Tę w otoczeniu Grzędzińskiego, złośliwie parafrazując historyczną nazwę nurtu narodowo-demokratycznego, określano mianem „Narodowej Deprawacji”. Z garstką starych legunów, jak nazywali siebie sami weterani, przystąpił do tworzenia legionowej opozycji, dążącej do przywrócenia tradycji piłsudczykowskiej „na właściwe tory”.

Latem 1937 r. uczestnicy dorocznego Zjazdu Legionistów wystosują list otwarty do marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Adresat był następcą Piłsudskiego, patronem zbliżenia z ruchem narodowo-radykalnym, a od kilku miesięcy także nieformalnym zwierzchnikiem rządzącego Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZON). „Okazałeś się niestety indywidualnością zbyt małą [...]. Pozostała nas jeszcze w Polsce gromada legionistów i peowiaków. W wypadkach, które przyjść muszą wszyscy znajdziemy się po stronie narodu i jego prawa do wolności. O tym chcielibyśmy Ci, dawny obywatelu Śmigły, złożyć nasz ostatni meldunek” – pisali. Grzędziński na imprezę nie dojechał – przebywał wówczas w szpitalu. Niemniej od dłuższego czasu aktywnie inspirował analogiczne nastroje.

OPOZYCJA DEMOKRATYCZNA. OD KLUBÓW DO STRONNICTWA

Jesienią 1937 r. na politycznej mapie Polski pojawiły się pierwsze Kluby Demokratyczne – działające pod przykrywką stowarzyszeń dyskusyjno-politycznych organizacje, mające zrzeszać „postępową inteligencję”. Obok nurtu lewicy legionowej, którego głównym reprezentantem był tu właśnie Grzędziński, istotną rolę odgrywały w nich środowiska wolnomularskie, związki zawodowe pracowników umysłowych oraz wykładowcy wyższych uczelni, coraz jawniej terroryzowanych przez bojówki Młodzieży Wszechpolskiej i Obozu Narodowo-Radykalnego. Na czele ruchu znaleźli się m.in. znani profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego – utytułowany pediatra Mieczysław Michałowicz oraz wybitny historyk Marcei Handelsman.

Inicjatywa od początku budziła wiele niejasności. Prawica atakowała Kluby – co biorąc pod uwagę obecność w nich silnej reprezentacji wolnomularstwa, miało oczywiste podstawy – jako ekspozyturę masonerii, „sterowaną przez wiadomą rękę w rękawicze z kielnią”; socjaliści i ludowcy, raczej życzliwi nowemu ruchowi, obawiali się podstępów obozu rządzącego bądź komunistów; ogarnięci paniką komuniści – Moskwa właśnie, po części dosłownie, likwidowała Komunistyczną Partię Polski (KPP) – dostrzegali w Klubach kolejną prowokację „dwójki”, czyli polskiego wywiadu. Biorąc pod uwagę wielonurtowość inicjatywy, w każdej z tych interpretacji mogło być ziarno prawdy. Żadnej nie można jednak traktować jako tłumaczącej złożoną genezę ruchu.

Wkrótce Kluby pojawiły się właściwie we wszystkich większych miastach Polski. Grzędziński początkowo nie mógł angażować się w ich działalność jawnie – do wiosny 1938 r. formalnie pozostawał czynnym oficerem. Po przejściu w stan spoczynku sytuacja uległa zmianie, a emerytowany pułkownik stał się regularnym prelegentem klubowych spotkań. Szczególną wagę przykładał do „ekspansji europejskich faszystów”. Komentował – nie tając swoich sympatii do Republiki – międzynarodowe aspekty wojny domowej w Hiszpanii oraz kolejne posunięcia w sprawie Czechosłowacji. Z ramienia stołecznego Klubu, który do ostatnich przed wojną wyborów samorządowych przystąpił w sojuszu z warszawską PPS, został też radnym. Wiosną 1939 r. z „ruchu klubowego” wyłoniło się ogólnopolskie Stronnictwo Demokratyczne (SD).

Co ważne, niewątpliwie silnie inspirowany w tej kwestii przez Struga, należał do grupy działaczy KD opowiadających się za współpracą nie tylko z nurtem socjalistycznym i ludowym, ale także z pozbawionymi własnej partii komunistami. Czy wierzył, że w obliczu likwidacji KPP uda się wyciągnąć ich tym samym „na orbitę państwową”? Czy liczył na tymczasowe wzmocnienie frontu antynacjonalistycznego? Nie sposób odpowiedzieć. Tymczasem wraz z komunizującą inteligencją, niekiedy rzeczywiście „poszukującą”, do Klubów przenikały specjalnie zadaniowane wtyczki, mające infiltrować i inspirować środowisko.

„CZARNO NA BIAŁEM” PISZE CO MOŻE

W 1937 r. Grzędziński powołał również własny, uchodzący za nieoficjalny organ Klubów, tygodnik „Czarno na białem”. Pismo, do którego udało mu się ściągnąć szereg renomowanych piór – to tu po raz pierwszy ukaże się głośny wiersz *Bagnet na broń!* autorstwa dawnego towarzysza broni z Legionów, a następnie związanego z KPP więźnia politycznego, Władysława Broniewskiego – szybko zdobędzie sobie wysoką pozycję. Świadczyć będą o niej liczne polemiki z tytułami takimi jak liberalne „Wiadomości Literackie” czy katolicko-narodowe „Prosto z mostu”.

Na łamach „Czarno na białem” analizowano rozwój europejskich ruchów skrajnie prawicowych, otwarcie nawiązujących do wzorców włoskich i niemieckich. Atakowano rodzimy nacjonalizm, występowano przeciw tendencjom antysemitycznym, głoszono potrzebę stworzenia Frontu Demokratycznego ramię w ramię z socjalistami i ruchem ludowym. Dużo uwagi pismo poświęcało kulturowaniu myśli Marszałka oraz krytyce rządzącego, przejawiającego liczne fascynacje systemem Mussoliniego, OZON-u. W jednym z numerów sam Grzędziński, przypominając socjalistyczno-ludowe tradycje Legionów, ironicznie dodawał: „Dzisiaj ideologia uznana i głoszona przez szefa OZN nazwałaby je dźwięcznym polskim wyrazem – *folks-front*”. Termin ten, popularny głównie wśród narodowców, sugerował żydowsko-komunistyczną inspirację „sojuszu polskiej demokracji”.

Kolejne numery głośnego tygodnika, o ile w ogóle udawało się je wydawać – często tuż po druku następowała konfiskata – regularnie zapełniane były charakterystycznymi białymi plamami, oznaczającymi ingerencję cenzury. Z typową dla siebie swadą Grzędziński opatrywał puste pola dopiskiem „»Czarno na białem« pisze co może”.

I tu obok legionistów, publicystów związanych z pepeesowskim „Robotnikiem”, a nawet rosyjskich emigrantów, ściągnął jednak z czasem grupę komunistów. Wyróżniający się wśród nich Jerzy Borejsza, powojenny twórca partyjnego imperium wydawniczego, zostanie nawet zastępcą naczelnego tygodnika. Choć pismo nie unikało krytycznych uwag na temat polityki ZSRR, obecność kapepowców była w jego publicystyce

wyczuwalna. Dochodziło do sytuacji paradoksalnych – obok zgryźliwych karykatur Stalina, ukazywały się artykuły autorów wyraźnie „opartych o Moskwę”.

Czesław Miłosz w *Zdobyciu władzy*, nawiązując do roli Borejszy w redakcji, pisał wręcz o „piśmie kryptopartyjnym”. Zdaje się, że było to określenie idące zbyt daleko. Niewątpliwie jednak, swym naiwnie idealistycznym wobec komunistów nastawieniem, Grzędziński świadomie stworzył pewnej ich grupie wygodny punkt legalnego zaczepienia się. Punkt – co barwny życiorys piłsudczyka na pewno obciąża – z którego stosunkowo bezpiecznie mogli oddziaływać na sfery inteligenckie.

GORKIE DOŚWIADCZENIE CAMP DE COËTQUIDAN

Wybuch wojny zastał Grzędzińskiego we Francji. Ani jego zapiski, ani też inne opublikowane dotąd materiały nie odpowiadają na pytanie – co u schyłku sierpnia 1939 r. robił w Paryżu? Próba powrotu do kraju podjęta „za pięć dwunasta” okazała się nieskuteczna.

Niemniej, gdy tylko we Francji pojawiła się Polska Misja Wojskowa, Grzędziński – ponownie w mundurze pułkownika – podjął się zorganizowania w miejscowości Coëtquidan obozu, mającego stanowić załazek polskiej armii na Zachodzie. Perspektywa ta jawiła mu się jako szansa powrotu do „idei Legionów”. „Dowódcą obozu był płk Grzędziński [...] Początkowo witał każdego nowo przybyłego osobiście, mówiąc »czołem obywatelu«” – wspominał ochotnik, a zarazem przedwojenny publicysta prasy prawicowej, Karol Zbyszewski.

Jego dowodzenie nie miało jednak trwać długo. Już w listopadzie sporządził gorzki list do nowego Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego. Nie znajdując w formującej się armii specyficznego ducha demokracji, dostrzegając za to liczne przejawy kastowości i popularność wśród wyższych oficerów prądów nacjonalistycznych, stwierdził: „Jestem już [wystarczająco] omotany, bym mógł uważać swoją pracę tu za komukolwiek potrzebną”. W rozmowach z bliskimi emigrantami ubolewał, że atmosfera w Coëtquidan „zatruta jest antysemityzmem”, a gen. Sikorski – choć sam daleki takim poglądom – toleruje je, by nie zrażać do siebie kadry oficerskiej.

NA BOCZNYM TORZE

„Antyozonowa” działalność drugiej połowy lat 30. uchroniła go przed represjami, jakim obóz Sikorskiego poddał wielu piłsudczyków. Niemniej, jako wierny żołnierz skonfliktowanego z Sikorskim Komendanta, nie był przez „sikorszczyków” darzony zaufaniem. W styczniu 1940 r. uruchomił emigracyjną mutację, znów opozycyjnego „Czarno na białem”. Pismo – tym razem wyraźnie zaostrzając wątki antysowieckie – nawoływało do odłożenia rozliczeń z sanatorami na bardziej sprzyjający okres. Grzędziński zaangażował się też w pracę emigracyjnych struktur SD. Po kilku miesiącach tej uciążliwej dla rządu działalności, jego problem rozwiązano. Zlecono mu „misję rekrutacyjną” w Ameryce Południowej.

Wobec klęski Francji utknął na północnym wybrzeżu Afryki, gdzie dysponując paszportem dyplomatycznym włączył się w organizację przerzutu Polaków na terytorium kontrolowanego przez wojska angielskie Gibraltar. Po kolejnych, nieskutecznych próbach kontynuowania powierzonych sobie misji, został – niestety za sprawą jednego z rodaków – zadenuncjowany jako Żyd, udający polskiego pułkownika i dyplomata. Po kilku miesiącach spędzonych w obozach odosobnienia i pracy przymusowej, udało mu się odzyskać wolność. „Zdaje mi się, że ze wszystkich emigracji polskich od porobiorowych czasów, żadna nie dorówna obecnej pod względem zdolności do intryg i [ich] nikczemności” – notował gorzko.

Ostatecznie lokalne władze zdecydowały się zastosować wobec Grzędzińskiego mało uciążliwy areszt domowy, pozostawiając mu nawet możliwość wyboru miejsca odosobnienia. Przebywał tam – mimo że już u schyłku 1942 r. w Afryce Północnej pojawili się alianci, jako „antysanacyjny piłsudczyk” dla żadnej strony polskiego sporu nie był „priorytetem” – do sierpnia 1944 r. W międzyczasie utrzymywał kontakt z francuskim ruchem oporu.

W MAROKAŃSKIM ZAWIESZENIU

Grzędziński, mimo ostentacyjnego przywiązania do postaci Komendanta, miał całkiem obiecujące widoki powrotu do powojennej Polski. Stała za tym

reputacja szczerego lewicowca i antysanacyjnego publicysty, w trudnych czasach nie odmawiającego pomocy nawet komunistom. Warszawski organ *zglajchsztaltowanego* już przez Polską Partię Robotniczą (PPR) Stronnictwa Demokratycznego znalazł dla niego miejsce w wymownym cyklu *Z galerii bojowników o demokrację*. Autor, nie wiedząc co aktualnie dzieje się z bojowym redaktorem „Czarno na białem”, jednego był pewien: „Na pewno znalazł w sobie dość odporności na wyziewy andersowskiej orientacji i filozofii”. W istocie, sceptycznie odnosił się do „polskiego Londynu”. Niemniej, mimo ofert powrotu, w „demokratycznych” realiach powojennej Polski miejsca dla siebie nie widział.

Zdecydował się pozostać w Casablance, gdzie przez najbliższą dekadę włączał się w życie kulturalne nielicznej marokańskiej Polonii oraz wydawał francuskojęzyczne pismo poświęcone tematyce lotniczej. Po odwilży 1956 r. i dojściu do władzy Gomułki, zdecydował się wrócić do Polski. W przeciwieństwie do tuzów pokroju Cata-Mackiewicza czy Wańkowicza – na pewno nie był „nazwiskiem” tego formatu – wracał bez śladu „pompy”, właściwie prywatnie.

„CZARNO NA BIAŁEM” PISAĆ NIE MOŻE

Polsce Ludowej dawał poważny kredyt zaufania. Ze względu na dobrą znajomość Afryki Północnej zaproponował swoje usługi Ministerstwu Spraw Zagranicznych (MSZ). Choć oferta została odrzucona, także kraj witał Grzędzińskiego życzliwie. Za opozycyjną działalność przed wojną przyznano mu nawet Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski i specjalną rentę. Emerytowany pułkownik-legionista został też przyjęty do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWiD).

O ile chętnie odwoływano się do antysanacyjnej, demokratycznej karty Grzędzińskiego, mniej przychylnie zapatrywano się na jego aspiracje. Fiaskiem zakończyła się próba wznowienia głośnego „Czarno na białem”. „Cenzor [...] wyjaśnił, że pismo nie może się ukazać ze względu na analogie, jakie mogą powstać w umysłach czytelników z opisu historycznej walki pisma o wolność i demokrację oraz metod faszystowskiego ucisku stosowanych przeciw niemu przez sanacyjny rząd, z obecną sytuacją w Polsce”

– notował jesienią 1957 r. W tym samym czasie zamykano będące symbolem niedawnej odwilży „Po prostu”. Przychylniej patrzono na jego stosunkowo bezpieczne powieści podróżnicze, które siłą rzeczy stały się głównym źródłem utrzymania.

Z biegiem lat, nie unikając krytycznych wypowiedzi o rządach sanacyjnych – niektórzy, jak pisarka Maria Dąbrowska, uważali, że idzie w nich zbyt daleko – coraz częściej publicznie ujawniał swój negatywny stosunek do „demokracji” a’la PRL. Brał udział w spotkaniach głośnego Klubu Krzywego Koła. Mimo to, jeszcze w 1963 r. nieskutecznie zabiegał o utworzenie w ramach ZBOWiD-u odrębnej sekcji dla legionistów Piłsudskiego, a nawet – o państwową pomoc przy organizacji obchodów 50. rocznicy wymarszu Pierwszej Kadrowej!

Wiosną 1964 r. „zapropomowano” mu podpisanie tzw. List 600, będącego partyjną odpowiedzią na krytyczny wobec cenzury i polityki wydawniczej PRL, szeroko komentowanego na Zachodzie „List 34”. Odmawiając, dodawał: „Uważam, że jako internacjonalista wolności, postępuję konsekwentnie i trudno mi dziś, dla koniunktury, te zasady zdradzić”. Nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę, że wkracza tym samym na drogę nierównej walki z administracyjną machiną „demokratycznej” Polski Ludowej.

W INDYWIDUALNEJ OPOZYCJI

Latem 1964 r. Grzędziński był już gęsto otoczony siecią agenturalną. Jesienią rozpoczęły się rewizje i liczne, wielogodzinne przesłuchania. Z planów wydawniczych „spadać” zaczęły także bezpieczne dotąd powieści podróżnicze. Pretekstem były nielegalne kontakty z zagranicą, a ściślej list wysłany do byłej żony zamieszkującej w Maroku. Abstrahując od absurdalności tego motywu, kontakty z Jerzym Giedroyciem rzeczywiście utrzymywał. Jego obrony podjęła się znana ze spraw politycznych mecenas Aniela Steinsbergowa. Ostatecznie władze nie zdecydowały się na proces, stawiając na strategię długofalowego nękania.

Niepokorny piłsudczyk nie zamierzał jednak ustępować. Gaston de Cerizay – pod pseudonimem tym krył się Cat-Mackiewicz – w opublikowanej na ła-

mach paryskiej „Kultury” relacji z zebrania ZLP w marcu 1965 r., donosił: „Były redaktor »Czarno na białem«, człowiek mający za sobą przeszłość aczkolwiek nie komunistyczną, lecz bardzo a bardzo lewicową, poddał system cenzury w Polsce spokojnej, lecz druzgocącej krytyce”.

W czerwcu pozbawiono go, przyznanej za działalność na rzecz obrony demokracji [sic!], renty specjalnej i zawieszono w prawach członka Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Po kilku miesiącach, oprócz prasy rodzimej, jako „obrzucającego własny kraj błotem paszkwilanta”, atakowała go już moskiewska „Izwestia”. „Wiele lat spędziłem wśród was i znam całą waszą podszewkę. [...] Bardzo mi żal tych licznych moich przyjaciół Rosjan, którzy muszą żyć w warunkach takiego tatarskiego jarzma” – odpowiedział w liście do redakcji radzieckiego dziennika.

Choć ze względu na związany z wiekiem stan zdrowia („zagrożający życiu”), w obawie przed międzynarodowym skandalem postępowanie przeciw niemu zawieszono, nękanie nie ustępowało. Wiosną 1967 r. został zobowiązany stawiać się w MSW codziennie o 9:30 rano. Konsekwencje coraz częściej rozciągały się na jego otoczenie. Sprawę operacyjnego rozpracowania za kontakty z nim bezpieczeństwa założyła m.in. Zofii i Zbigniewowi Romaszewskim – przysłym twórcom Biura Interwencji KOR. Grzędziński spotykał się z młodym małżeństwem, przyjaźniąc się z matką Zofii, byłą łączniczką AK, Ewą Prauss-Płoską. Gdy, po głośniejszych protestach przeciw zdjęciu mickiewiczowskich „Dziadów”, partyjnego ministra kultury publicznie porównał do gubernatora Nowosilcowa – zawieszono postępowanie prokuratorские wznowiono.

Mimo skrupulatnej inwigilacji, sobie tylko znanym kanałem, nadal dostarczał paryskiej redakcji kolejne teksty krytykujące „fasadowy demokratyzm” PRL. „Jest w tym zjawisku coś z alienacji. Kłamstwa zastępują rzeczywistość [...] Władza nie widzi, że okrzyki »Niech żyje« sama sobie wznosi, że transparenty sama sobie pisze, że na wiece sama ludzi spędza. Mówię przez ludzkie współczucie: Ostrożność nie zawadzi. Należy jednak przebierać w metodach. Należy pamiętać o przestrodze Ildefonsa Gałczyń-

skiego: ZWIERZĘTA PATRZĄ NA NAS” – pointował ironicznie na łamach „Kultury”, ciągle „z otwartą przyłbicą”, atmosferę roku 1968.

Przywołany tekst pisał już jako człowiek skierowany na obserwację psychiatryczną.

„WARIAT!”

Chyba większą od wniosku prokuratora i orzeczeń dwóch komisji – jednym z lekarsko [sic!] stwierdzonych przejawów jego zaburzeń miało być „nie docenianie tolerancji władz” – krzywdę wyrządziły Grzędzińskiemu rozprzestrzeniane na temat jego rzekomych problemów pogłoski. O ich sile świadczy fakt, że dotarły aż nad Tamizę. Londyński „Dziennik Polski”, piórem Wiesława Wohnouta, alarmował: „Złe wieści z Warszawy. Grzędzińskiemu grozi los Tarsisa [rosyjski pisarz, jedna z ofiar sowieckich *psychuszek* – red.]. Chcą go zamknąć w szpitalu wariatów. Trzeba go koniecznie obronić. [...] January – dodawał – nigdy nie był człowiekiem łatwym. Rządzący zawsze miewali z nim kłopoty. Ale żeby od razu – wariat? Nie! Ten numer nie przejdzie!”. Pomoc organizować próbował także Giedroyc. Kisielewski, pisząc o spodziewanych represjach wobec siebie i Jasienicy, dodawał: „Grzędziński już chyba ostatecznie jest »za wariata«”.

Nie jest jasne czy władzom udało się osadzić go w podwarszawskich Tworkach. Jeśli tak – nie mógł przebywać tam długo. We wrześniu 1968 r. na kierowany przez siebie oddział wewnętrzny Szpitala Grochowskiego przyjął go prof. Marian Tulczyński. Mimo podejmowanych przez MSW prób przejęcia

pacjenta, ordynator – ignorując grożące mu konsekwencje – okazał się nieustępliwy.

Latem 1969 r. w życie weszła ustawa amnestyjna. W grudniu przeciągającą się sprawę Grzędzińskiego umorzono. „To niedobity starzec, wygląda doskonale, humor ma jak złoto. Powiedział mi, że został »skazany na amnestię«” – pisał o przypadkowym spotkaniu z niedawnym towarzyszem „zdrad i szkalowania”, Kisielewski.

„SPOKÓJ NA FRONCIE”...

Choć ekipa Gierka dała Grzędzińskiemu spokój, przywracając nawet odebraną w połowie lat 60. rentę specjalną, trudne doświadczenia ostatnich lat poważnie odbiły się na jego zdrowiu. Coraz częściej zdarzały mu się – tym razem już rzeczywiste – problemy z pamięcią. Choć, jak wskazuje jego biografka, nie miał złudzeń co do zamiarów nowego kierownictwa Partii, nie miał też siły wytaczać kolejnych dział. „Mam trochę wytchnienia. Nikt mi nie dokucza, więc spokój na froncie...” – pisał do pozostałego na emigracji przyjaciela z okresu Klubów Demokratycznych, prof. Jerzego Langroda.

Sporadycznie próbował powracać do którejs z swych licznych inicjatyw, jednak stan jego zdrowia nieubłaganie się pogarszał. Zmarł w lutym 1975 r. Do końca pozostała przy nim siostra Nelly. Będący świadkiem ostatniego pożegnania starego leguna Stefan Kisielewski, notował: „W katedrze byli sami starcy (siostra – wdowa po Andrzeju Strugu – toć historia), niesiono jego legionową maciejówkę i odznaczenia. Wzruszająco, ale od literatów byli tylko [Jan Józef] Lipski, [Paweł] Hertz, [Andrzej] Kijowski. Dziwne”.

Bartosz Wójcik

Stały współpracownik czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Zygmunt Zaremba

Bartosz Wójcik

Wolność – Równość – Niepodległość. Te trzy hasła, podczas niemieckiej okupacji będące kryptonimem głównego konspiracyjnego nurtu Polskiej Partii Socjalistycznej, trafnie oddają zasadnicze założenia politycznej drogi Zygmunta Zaremby. Choć z niepodległościowym socjalizmem związał się za młodu, z raz obranego kierunku nie zrezygnował. Trwał w nim jako lider „młodych radykałów” międzywojennej PPS, jeden ze współtwórców Polskiego Państwa Podziemnego, wreszcie – jako wybitna indywidualność powojennej emigracji.

Jest początek marca 1960 r. Francuska prasa żyje zbliżającą się wizytą I sekretarza Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikity Chruszczowa. Licznie osiadła nad Sekwaną emigracja polityczna krajów Europy Środkowo-Wschodniej sceptycznie odnosi się do tradycyjnej już promoskiewskiej fascynacji francuskich elit, jednak wszystko zdaje się toczyć swoim naturalnym rytmem. Do czasu.

Na trzy tygodnie przed triumfalnym przylotem przywódcy ZSRR Paryż w obawie przed ewentualnym skandalem decyduje się na krok kuriozalny i haniebny. By nic nie zmąciło wizyty Chruszczowa, wielu „politycznych” zostaje internowanych, a następnie przymusowo wydalonych na Korsykę. Wśród „stwarzających zagrożenie dla bezpieczeń-

stwa publicznego” – tak bowiem informuje okazywane zatrzymanym uzasadnienie – jest także 65-letni polski socjalista Zygmunt Zaremba. Interwencję w jego sprawie podejmie nawet wiceminister spraw zagranicznych Francji, który w specjalnym liście do Zaremby napisze: „Drogi Przyjacielu, [...] mam nadzieję, że nie będzie Pana dotyczyło zarządzenie oddalenia, które uważam za skandaliczne, gdy chodzi o szczerego przyjaciela mego kraju i przyjaciela wolności”. Na darmo. „Wolny świat” wrócić korsykańskim zesłańcom – znaleźli się wśród nich nie tylko emigranci z krajów bloku sowieckiego, ale także uchodźcy z rządzonych przez Mao Zedonga Chin czy frankistowskiej Hiszpanii – pozwoli dopiero po hucznym odtrąbieniu sukcesu historycznej wizyty.

Ten niezbyt istotny w bogatym życiorysie Zaremby epizod ma charakter symboliczny. Właśnie tego rodzaju „pragmatyzm”, tego typu instrumentalne wykorzystywanie wartości przez długie lata swojej działalności piętnował. Jak bowiem twierdził, tylko konsekwentnie uczciwe podejście do kwestii wolności przynieść może zwycięstwo w starciu z targającymi Europą zbrodnicznymi totalizmami. Dla tych Zaremba pozostawał bezwzględny.

PO PIERWSZE: NIEPODLEGŁOŚĆ

Pierwszym w pełni świadomym – chyba, że uznać za taki udział w wieku zaledwie 10 lat w strajku szkolnym ogłoszonym podczas rewolucji 1905 r. – doświadczeniem politycznym Zaremby było zaangażowanie się w działalność Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej. To stamtąd w 1912 r. trafi w szeregi PPS, gdzie opowie się jednak nie za głoszoną przez Piłsudskiego koncepcją czynu zbrojnego, lecz postulowaną przez jego głównego rywala Feliksa Perla intensyfikacją pracy w środowisku robotniczym. Obie strony trwającego sporu pogodzi wybuch wojny.

Ścigany przez władze carskie Zaremba wyjedzie do Kijowa, gdzie zastanie go rewolucja. Współinspirowany przez niego projekt powołania na Ukrainie politycznej reprezentacji polskich socjalistów się nie powiedzie, czego zasadniczą przyczyną będzie brak porozumienia w kwestii niepodległości. Związani z Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) oraz PPS-Lewicą działacze na ogół uważają ją bowiem będą za wtórną wobec czekającej ziemi polskie rewolucji. Zaremba znajdzie się natomiast w grupie, która konieczność odbudowy państwa polskiego uzna za krok priorytetowy, a przy tym nieodzowny w kontekście postulowanego przeprowadzenia gruntownych przemian społeczno-gospodarczych. „Dla mnie zadaniem najważniejszym było doprowadzenie do końca budowy własnego państwa, zjednoczenie trzech zaborów i utrwalenie ustroju demokratycznego, dającego klasie robotniczej możliwość dalszej walki o socjalizm” – napisze po latach na łamach paryskiej „Kultury”.

Po powrocie do odradzającej się Polski, mimo zaledwie 23 lat, bardzo szybko powołany zostanie

do ścisłego kierownictwa PPS i odegra istotną rolę w organizacji rządu Ignacego Daszyńskiego. Jako przeciwnik porozumienia z prawicą – dążącą w jego przekonaniu do zahamowania niezbędnych reform – od początku będzie reprezentował radykalny odłam partii. Skrytykuje nawet wejście Daszyńskiego do koalicyjnego Rządu Obrony Narodowej latem 1920 r. Choć sam wyraźnie opowiadał się za obroną młodego państwa przed grożącym mu bolszewizmem, uważał, że lewica winna aktywizować robotników na własną rękę, nie pozwalając „instrumentalnie” wykorzystywać się przeciwnikom politycznym.

RADYKALNY GŁOS PPS

Pomimo zdobycia w 1922 r. mandatu poselskiego Zaremba będzie przeciwnikiem zachowawczej taktyki parlamentarnej, przeciwstawiając jej ideę koncentracji na pracy społecznej, a więc rozwijaniu licznych funkcjonujących przy PPS inicjatyw oświatowo-wychowawczych, ruchu spółdzielczego, wreszcie – stanowiących wielki atut partii związków zawodowych. Tu, nie na gruncie działalności sejmowej, będzie upatrywał politycznego „paliwa” dla PPS, docelowo zaś – szans pełnej realizacji jej programu. Wielu starszych, przywiązanych do parlamentaryzmu socjalistów stanowczo odrzucało koncepcje Zaremby, wykazując – jak Kazimierz Czapiński – że ich realizacja prowadzi musiałaby albo do komunizmu, albo objęcia rządów przez „lewicowego lub prawicowego Bonapartego”, co faktycznie wiązać musiałoby się z kresem priorytetowej dla PPS demokracji. Proponowana przez młodego przywódcę wizja znalazła jednak zrozumienie cieszącego się w partii ogromnym autorytetem Kazimierza Pużaka, istotnie umacniając jego pozycję.

Poza radykalizmem społecznym i wynikającym z niego „autorskim” podejściem do taktyki partii Zaremba będzie też wykazywał ponadprzeciętny – nimb Komendanta, mimo politycznego rozstania, pozostawał w PPS bardzo silny – sceptycyzm wobec wpływów Piłsudskiego. Wedle powojennej relacji innego przedstawiciela „młodych”, Adama Pragiera, Zaremba od samego początku lat 20. należeć miał nawet do tajnego gremium, stawiającego sobie za cel uniezależnienie partii od inspiracji towarzysza „Wiktor” [pseudonim Piłsudskiego z okresu działalności w PPS – red.].

Choć w maju 1926 r. wraz z całą partią poprze – jako ruch zabezpieczający zdobyte dotąd prawa robotników i mniejszości narodowych – zamach Marszałka przeciwko legalnym władzom, niebawem, gdy tylko socjaliści na nowo znajdą się w opozycji, odegra kluczową rolę w sprowokowaniu odejścia z PPS grupy związanych z Piłsudskim działaczy. W wyniku akcji prowadzącej zresztą do rozłamu i powstania prosanacyjnej „PPS dawnej Frakcji Rewolucyjnej” [nawiązanie do historycznego odłamu partii działającego przed I wojną światową i podporządkowanego Piłsudskiemu – red.] Zaremba spotka się nawet z oskarżeniami o kryptokomunizm.

W rzeczywistości, z czego inni przywódcy partyjni zdawali sobie sprawę, mimo głębokich rozbieżności tolerując swoistą bezkompromisowość Zaremby, radykalizm jego oraz skupiających się wokół niego „młodych” – do grupy tej zaliczano m.in. Adama Ciołkosza, Adama Pragiera czy Józefa Dziegielewskiego – *de facto* wzmocniał szeregi niepodległościowej PPS w starciu z komunistami. Na swój sposób „przyni” to zresztą sama Moskwa, w połowie lat 30. organizując kampanię mającą zdyskredytować cieszącego się popularnością w „dołach” Zarembę przez oskarżenie go o odgrywanie w ruchu robotniczym roli politycznego prowokatora.

Także w politycznych rozgrywkach z władzami sanacyjnymi Zaremba będzie bezkompromisowy. Wyrazi się to sceptycznym stosunkiem do podjętej przez władze PPS koncepcji Centrolewu, polegającej na antysanacyjnym, prodemokratycznym porozumieniu ugrupowań reprezentujących środek oraz lewą stronę sceny parlamentarnej. U podstaw takiego poglądu leżał z jednej strony brak zaufania do stojącej na gruncie kapitalizmu i „skompromitowanej – jak twierdził – współpracą z endecją” prawicy ruchu ludowego, z drugiej – nieadekwatność, zwłaszcza wobec zaostżenia prześladowań opozycji przez władze sanacyjne, strategii parlamentarnej.

Idei Centrolewu przeciwstawi „kurs na zbliżenie” z partiami robotniczymi mniejszości narodowych, rozbudowę struktur i trwanie na gruncie programu czysto socjalistycznego. Nieugięte stanowisko Zaremby budziło entuzjazm partyjnych „dołów” szczególnie w kontekście dramatycznych konsekwencji kryzysu

ekonomicznego. Popularność „ortodoksyjnej” postawy determinowała również dostrzegalna coraz wyraźniej radykalizacja obozu narodowego, którą Zaremba określał wprost mianem „narodzin polskiego faszyzmu”.

W pierwszej połowie lat 30. z płodnego publicysty – pisaniem dla najważniejszych socjalistycznych tytułów zajmował się od początku lat 20. – i charzmatycznego przywódcy „młodych” Zaremba zacznie stawać się czołowym, obok starszego i proponującego wizje bardziej zachowawcze Mieczysława Niedziałkowskiego, teoretykiem PPS. Co jednak charakterystyczne, rolę tę godzić będzie z funkcją kierownika partyjnej propagandy. Obejmie bowiem kierownictwo „Zespołu Czasopism PPS”, a więc koncernu prasowego, mającego uzupełniać dotychczasowy przekaz partii treściami podawanymi przystępniej – czytanie „Robotnika” znacznie łatwiej przychodziło bowiem inteligentom – mogącymi skuteczniej konkurować zarówno z demagogią komunistów, jak i coraz mocniejszą „na odcinku robotniczym”, opartą na antysemityzmie, agitacją narodowców. W ramach Zespołu uruchomi pisma tematyczne skierowane do kobiet, młodzieży i chłopów, a także jedyny naówczas periodyk teoretyczny polskiego socjalizmu „Światło”, którego zostanie zresztą „pierwszym piórem”. Koordynowana przez niego akcja szybko zacznie przynosić efekty, wskutek czego najbardziej spośród wielkich stronnictw nadszarpnięta kryzysem ekonomicznym PPS zacznie wyraźnie rosnać w siłę.

OD „DYKTATURY PROLETARIATU” PO FRONT DEMOKRATYCZNY

W roku 1934 stymulowana w dużej mierze właśnie przez Zarembę radykalizacja partii osiągnie apogeum. Jej symbolem będzie zaproponowana przez niego i przyjęta zdecydowaną większością głosów – przy jednoczesnym sceptycyzmie kierownictwa – uchwała XXIII Kongresu PPS, stwierdzająca: „Rząd robotniczo-włościański będzie miał w okresie przejściowym charakter dyktatury niezbędnej dla uniemożliwienia wszelkich prób kontrrewolucji”.

Kontrowersyjna także dla wielu socjalistów enuncjacja była konsekwencją przekonania Zaremby o konieczności przelicytowania komunistów. Tę za-

powiadał już kilka lat wcześniej, deklarując: „Mamy dwu wrogów: komunizm i sanację. Jesteśmy dotąd często w pozycji obronnej, a musimy być w pozycji walczącego, nacierającego. Komunizmowi musimy przeciwstawić cel realny. Celem tym musi być rząd robotniczo-chłopski”.

Głównym motywem wysuwanych w tym duchu przez Zarembę koncepcji gospodarczych było premiowanie – w kontrze do promującego nacjonalizację systemu sowieckiego – dobrowolnej spółdzielczości. Dopełniać miały ją nieliczne, wielkie i zarządzane przy udziale robotników przedsiębiorstwa państwowe, monopolizujące wymianę zagraniczną oraz duża liczba drobnych podmiotów prywatnych, stanowiących – do społu z ruchem spółdzielczym – podstawę rynku wewnętrznego.

Wskutek przetasowań politycznych, jakie dokonały się w połowie lat 30. – radykalizacja nastrojów i rozłam w obozie narodowym zakończony utworzeniem ONR; śmierć Piłsudskiego; dojście do głosu lewicy w Stronnictwie Ludowym (SL); przyjęcie przez komunistów taktyki antyfaszystowskich Frontów Ludowych – PPS stonowała swój kurs. Wyhamowanie popierał także Zaremba. Oceniał, że w obliczu braku Marszałka spajającego dotąd eklektyczny obóz władzy, sanacja ulegać będzie stopniowej marginalizacji, a zasadniczym – niezmiennie obok komunizmu – wrogiem polskiego socjalizmu w nowej sytuacji staje się rodzimy nacjonalizm. „Walcząc z sanacją, jeszcze silniej musimy walczyć z endecją, która będzie gorsza od sanacji” – nawoływał u progu roku 1936.

Nieustannie podkreślając podobieństwa polskiego ruchu narodowego z włoskim faszyzmem i niemieckim nazizmem, szczególnie mocno angażował się w zwalczanie propagowanych przez narodowców wystąpień antysemitycznych. Nie ograniczał się przy tym do „odcinka robotniczego”, piętnując przejawy wspomnianego zjawiska także na innych płaszczyznach, głównie w środowisku akademickim. „Wstają czarne widma ONR, czarnosecińskiej [nawiązanie do carskiej Czarnej Sotni – red.] reakcji, która tak niewybrednymi metodami sięgała po dusze młodzieży i tak fałszywymi metodami jednała sobie ich sympatię” – donosił w charakterystyczny dla siebie sposób redagowany przez Zarembę populistyczny

„Tydzień Robotnika”, odnosząc się do procesu odpowiedzialnych za jeden z wielu w tym czasie antyżydowskich incydentów.

Jednocześnie przeciwstawiał się wpływowi komunistycznym. W tym duchu krytykował obowiązujący przez kilka miesięcy – poparty, co ciekawe, także przez względnie zachowawcze skrzydło partii – „pakt o nieagresji” między socjalistami i Komunistyczną Partią Polski (KPP) zawarty w roku 1935. Podejmował wreszcie liczne polemiki z czołowymi działaczami skłaniającymi się do jakiejś formy porozumienia z KPP, takimi jak Norbert Barlicki czy Stanisław Dubois, podkreślając przy tym, że ewentualna współpraca służyć musi przede wszystkim penetracji polskiego ruchu robotniczego przez Komintern. Dopuszczał natomiast współpracę z komunistami na szczeblu niższym, zakładając, że będą oni stopniowo ulegać rozmachowi PPS i opuszczać dotychczasowe pozycje. Był też przeciwnikiem delegalizacji KPP, dopatrując się w istniejącym stanie rzeczy ograniczenia wolności przekonań politycznych.

Forsowanej przez Moskwę koncepcji antyfaszystowskiego Frontu Ludowego Zaremba – jak wielu przywódców PPS – przeciwstawiał ideę antytalibistycznego Frontu Demokratycznego, zakładającego sojusz socjalistów, ludowców i najsłabszego na gruncie polskim przedstawicielstwa pracowników umysłowych z jednoczesnym wykluczeniem komunistów. W połowie lat 30., w obliczu wzmiankowanego „skrętu w lewo” SL radykalny polityk zszedł bowiem z ortodoksyjnego stanowiska negującego sens współpracy z ruchem ludowym. Front uzupełniać miało porozumienie z demokratycznymi ośrodkami mniejszości narodowych, przede wszystkim – żydowskim Bundem. Stanowisko to, podzielane także przez działaczy tej rangi co Pużak czy Arciszewski, stanie się oficjalnym kierunkiem partii wyrażonym w głośnym *Programie Radomskim*, uchwalonym podczas ostatniego przed wojną XXIV Kongresu PPS.

ZAREMBA INICJUJE ROBOTNICZĄ BRYGADĘ OBRONY WARSZAWY

„Staramy się porozumieć z Naczelnym Wodzem. Wysuwamy konieczność powołania Rządu Obrony Narodowej i postawienia zasady, że każde miasto

winno się stać ośrodkiem oporu” – lakonicznie pisał w swym diariuszu, charakteryzując na bieżąco pierwsze dni wojny. Z podobnymi propozycjami stronnictwa demokratyczne występowały wobec sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego także przed jej wybuchem. Tak jak poprzednio, i tym razem zostaną one odrzucone.

Zaremba jednak nie ustąpi i wraz z nestorem ruchu Tomaszem Arciszewskim zaproponuje dowodzącemu obroną Warszawy gen. Walerianowi Czumie utworzenie w oparciu o stołeczne struktury PPS ochotniczych jednostek robotniczych. Mimo poważnych obaw, w obliczu pogarszającego się z każdą godziną położenia, propozycja zostanie przyjęta, a z licznych batalionów powstanie Robotnicza Brygada Obrony Warszawy dowodzona przez oficera socjalistę kpt. Mariana Keniga. Zorganizowana przez Robotniczy Komitet Pomocy Społecznej z Zarembą na czele jednostki w ciągu kilku dni zgromadzi blisko sześć tysięcy ochotników. Choć pierwotnie formacja miała pełnić głównie funkcje pomocnicze, jej członkowie szybko wejdą do walki bezpośredniej, stanowiąc jedyne tego typu, na swój sposób partyjne, uzupełnienie regularnych jednostek Wojska Polskiego.

Równie znaczące podczas obrony stolicy okaże się jego zaangażowanie propagandowe. Co ciekawe, nie ograniczy się ono do łamów prasy. Cieszący się w Warszawie dużą popularnością – od połowy lat 30., formalnie pozostając zastępcą Arciszewskiego, *de facto* kierował stołecznymi strukturami partii – Zaremba będzie mobilizować społeczeństwo oblężonej Warszawy także za pomocą audycji radiowych. „Lud stanął murem w obronie Ojczyzny i muru tego wróg nie przebiję. Ustały walki partyjne. Każdy obywatel czuje, że broniąc Polski, broni swojej matki – Ojczyzny” – wołał patetycznie na dzień przed agresją sowiecką. Za wykazanie się „wielkimi zdolnościami organizacyjnymi i osobistą odwagą” podczas dramatycznych dni września odznaczony zostanie wojskowym Krzyżem Walecznych.

Z POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO DO POLSKI LUDOWEJ

W podziemiu, pod pseudonimem „Marcin”, znajdzie się – obok przyszłego premiera Rządu RP Tomasza

Arciszewskiego oraz przyszłego przewodniczącego „podziemnego parlamentu” Kazimierza Pużaka – w „trójce kierowniczej” głównego odłamu konspiracyjnej PPS, działającego pod nazwą „Wolność – Równość – Niepodległość” (WRN). Podobnie jak w latach poprzednich koordynować będzie działalność wydawniczą ugrupowania, osobiście redagując część tytułów, na czele z oficjalnym pismem zatytułowanym wprost „WRN”.

Stanie się tym samym głównym obok Pużaka, faktycznie kierującego „robotą podziemną” oficjalnego odłamu PPS (w opozycji do niego pozostawała część partyjnej lewicy działająca pod szyldem Polscy Socjaliści), architektem linii partii. Tę cechować będą radykalizm społeczny, demokratyzm i bezkompromisowość w kwestii niepodległości, skutkująca wyraźnie krytycznym stosunkiem WRN do ZSRR oraz rodzimego podziemia komunistycznego. Prowadzone przez niego pisma nieustannie podkreślać będą agenturalny charakter komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej (PPR), jej działalność nazywając „dywersją wrogą polskiemu ruchowi robotniczemu”. O komunizmie sowieckim w jednym ze swych tekstów pisał z kolei: „Wykazał on nie przeciwieństwo, lecz pobratymstwo z faszysmem – pokrewieństwo totalistycznego podkładu ideowego. W ZSRR uległa zaprzeczeniu kwestia najważniejsza, a mianowicie sam człowiek. Jego życie, jego zdrowie, jego wolność”. Spod ręki Zaremby wyjdą niemal wszystkie oficjalne odezwy i broszury partii. Będzie także współautorem – obok ludowca Stanisława Miłkowskiego – kreślącego wizję odrodzonej Rzeczypospolitej *Programu Polski Ludowej*, zapowiadającego gruntowne i radykalne reformy społeczne oraz oparcie przyszłego ustroju na fundamencie niepodległości i zasad demokratyczno-republikańskich.

Program głosił m.in. reformę rolną zakładającą w szczególności (bez odszkodowania) wielkich gospodarstw; uspołecznienie własności i jej organizację w gospodarkę trójsektorową z własnością państwową, spółdzielczą i samorządową; oraz nacjonalizację przemysłu surowcowego czy komunikacji publicznej (kolej, poczta). Wiele też broszury – co ciekawe, wydanej także w wersji anglojęzycznej w Londynie, gdzie została oficjalnie przyjęta za podstawę rozważań programowych Partii Pracy – znajdzie się z cza-

sem w zasadniczej deklaracji ideowej „podziemnego parlamentu” – *O co walczy Naród Polski*.

Tragiczne położenie, oznaczające konieczność ponownej walki o odbudowę państwowości, skłoni Zarembę do złagodzenia przedwojennego stosunku do ruchu narodowego. Wraz z Pużakiem – wystawiając się tym samym na gruntowną krytykę socjalistycznej lewicy – opowiedzą się za koncepcją jedności narodowej, zakładającą współpracę – do odzyskania własnej państwowości – czterech głównych ośrodków polskiego życia politycznego. Wśród nich, obok socjalistów, ludowców oraz mającego mniejsze od pozostałych nurtów znaczenie ośrodka chadeckiego, znajdowało się również Stronnictwo Narodowe (SN), zaciekle zwalczane przez Zarembę w latach 30.

WRN-owcy wyjdą jednak za założenia, że dla priorytetowego celu odzyskania i obronienia – ugrupowanie szczególnie podkreślało wagę zagrożenia sowieckiego – niepodległości, niezbędna jest współpraca także ze stanowiącymi największą po SL siłę narodowcami. Uzależniali ją jedynie od zadeklarowania przez nich szczerego „stania na platformie demokratycznej”, co przywódca SN formalnie – w rzeczywistości kwestia ta stanowiła problem bardziej złożony – podtrzymywali. Opierająca się na zasadzie pluralizmu koncepcja jedności narodowej, choć niepozbawiona istotnych mankamentów, zdecydowanie poparta także przez kierownictwo Armii Krajowej, stać się miała podstawą funkcjonowania Polskiego Państwa Podziemnego.

Zdecydowanie negatywny pozostawał natomiast stosunek socjalisty do działającego na własną rękę podziemia oenerowskiego, które nadal utożsamiał z „polską odmianą faszyzmu”, dążącą do wywołania wojny domowej i „zgniecenia” rodzącej się w podziemiu demokracji. Charakterystyczne, że w redagowanym przez Zarembę „Robotniku”, atakujące kolejne kroki kierownictwa Narodowych Sił Zbrojnych artykuły o znamienitych tytułach *Dżungla narodowa* czy *Faszyzm w Polsce nie przejdzie* przeplatały się z tekstami uderzającymi w „sowieciarską” PPR. Oba nurty Zaremba uważał bowiem za ośrodki niezdolne do współpracy i równie niebezpieczne dla demokratycznego charakteru wykuwającego się państwa.

Kierowany przez niego aparat propagandowy WRN okaże się też szczególnie – najbardziej ze wszystkich partii „grubej czwórki” – wrażliwy wobec dramatu polskich Żydów. W odpowiedzi na wprowadzone przez Niemców zarządzenie, że za ewentualną pomoc żydowskim współobywatelom grozić będzie śmierć, redagowane przez Zarembę oficjalne pismo „WRN” stwierdzało: „Każdy uczciwy człowiek z pogardą traktuje te groźby, bo wie, że pomoc w nieszczęściu, ratowanie zagrożonego śmiertelnie bliźniego jest obowiązkiem silniejszym niż śmierć”. Warto dodać, że czynnie zaangażowaną w akcję ratowania Żydów współpracowniczką podziemnej Żegoty była jego żona, również należąca do PPS Natalia Zarembina.

Po wybuchu powstania w warszawskim getcie, „Marcin” zredaguje specjalną, solidaryzującą się z walczącymi odezwę, zapowiadającą konieczność zadania „śmiertelnego ciosu totalizmowi wszystkich odcieni”. „Żadna kropla krwi przelana w tych bojach nie będzie stracona. Każda ofiara musi stać się cementem wolności i sprawiedliwości społecznej dla wszystkich obywateli odrodzonej Rzeczypospolitej!” – wołał.

W lipcu 1944 r., w przeciwieństwie do najbliższego sobie Pużaka, pozbawiony wprawdzie jakiegokolwiek decyzyjności, Zaremba będzie zwolennikiem decyzji o rozpoczęciu powstania. Otwarte wystąpienie wobec Niemców uważał bowiem – podobnie jak część kierownictwa AK – za nieuniknioną konsekwencję prowadzonych w tak dramatycznych warunkach przygotowań, a przy tym kluczową szansę ratowania zagrożonej przez Sowiety niepodległości. W trakcie trwania walk m.in. spod jego i Pużaka ręki wychodzić będą na Zachód dramatyczne depeche o pomoc dla walczącej Warszawy. Równoległe, tak jak we wrześniu 1939 r. zaangażuje się w pracę propagandową, koordynując działalność wydawniczą partii na ciągle kurczącym się skrawku wolnej Polski. Pewnym podsumowaniem jego wysiłków w tych tragicznych dniach może być lakoniczne stwierdzenie Wydziału Informacji Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK: „PPS posiada najsprawniej zorganizowaną i najpoczytniejszą prasę w Warszawie”.

„Spełniliśmy swój obowiązek do końca, znacząc naszą pracę i walkę ofiarą życia i krwi setek najlepszych

towarzyszy. Im i wszystkim, którzy polegli, składamy hołd. Odeszli, ginąc w świętej walce o wolność, przekazując nam żywym dalszą pracę dla ideałów wolności i sprawiedliwości społecznej. Dzieło powstania okupione ciężką ofiarą będzie fundamentem, na którym wyrośnie wolna Polska Ludowa” – pisał w dramatycznej, oskarżycielskiej wobec Sowietów odezwie, na łamach ostatniego, wydanego 4 października 1944 r. „Robotnika”.

Po kilku miesiącach w podziemiu, a po ponad roku – w Londynie ukaże się *Powstanie Sierpniowe*. Pierwsze wydawnictwo obszerniej przedstawiające dramaty i bohaterstwo walczącej Warszawy. Jego autorem będzie Zaremba. Do tematu zresztą wielokrotnie powróci, propagując na emigracji wysiłek Polski Podziemnej i broniąc uniwersalnego sensu podjętej przez nią walki.

PRZECIWKO „TOTALISTYCZNEMU ZGLAJCHSZALTOWANIU”

Po klęsce powstania pozostanie w konspiracji, angażując się w próby odbudowy zdeorganizowanych struktur Państwa Podziemnego, a także kierowanej przez siebie – wraz z Pużakiem, Arciszewski bowiem tuż przed wybuchem walk w Warszawie został ewakuowany do Londynu – PPS. W styczniu 1945 r., w specjalnym okólniku nakaże członkom partii „przeciwdziałać procesom rozbijania i uzależniania organizacji gospodarczych od PPR i jej przybudówek oraz bronić te organizacje przed totalistycznym zglajchszaltowaniem”. Rozpocznie też wydawanie niepodległościowego biuletynu „Agencja Socjalistyczna”.

Wobec postanowień konferencji jałtańskiej liderzy PPS – podobnie jak ludowcy – zaczynają skłaniać się ku złagodzeniu dotychczasowego kursu. Podkreślając w dalszym ciągu legalność Rządu RP z jednej strony, dostrzegając jednak bezradność prowadzonej przez polityki nieustępliwości z drugiej, zdecydują się na podjęcie próby ujawnienia partii. Będzie ona obliczona na utworzenie – wraz z pozostałymi stronnictwami z wyjątkiem opowiadających się wiosną 1945 r. za dalszą konspiracją narodowców – niezależnej od Moskwy i prawdziwie demokratycznej alternatywy dla PPR i jej przybudówek.

W przeciwieństwie do SL, któremu na fali entuzjazmu, jaki towarzyszył powrotowi Stanisława Mikołajczyka, uda się choć na pewien czas utworzyć niezależne masowe struktury, socjalistom sztuka ta się nie powiedzie. Wprawdzie doły „lubelskiej” PPS licznie zapełnią przedwojenni i okupacyjni niepodległościowcy, często związani z WRN, jednak nigdy nie uda im się nadać „skradzionej partii” niezależnego kierunku. Ewentualny akces w jej szeregi Zaremby, podobnie jak postawione nowym władzom przez niego warunki – m.in. domaganie się amnestii dla „leśnych”, powrotu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie oraz uwolnienia podstępnie aresztowanych przez NKWD przywódców Polski Podziemnej – zostaną odrzucone.

„Pragnienie spokoju i powrotu do normalnego życia było zbyt silne, aby dało się zahamować skutecznie i na długo napływ ludzi do tworzącego się jawnego aparatu, przystrojonego zresztą we wszystkie oznaki polskości” – napisze w swoich wspomnieniach o okresie ostatecznej erozji Państwa Podziemnego. 1 lipca 1945 r. z ramienia niepodległościowej PPS weźmie udział w ostatnim posiedzeniu „podziemnego parlamentu”, na którym ogłoszony zostanie *Manifest do Narodu Polskiego i Narodów Zjednoczonych*, zawierający głośny *Testament Polski Walczącej*.

EMIGRANT ZE WZROKIEM UTKWIONYM W POLSKĘ

Polskę, jak miało się okazać – na zawsze, opuści posługując się fałszywymi dokumentami na początku roku 1946. Od razu, do czego został zobligowany przez pozostałych w kraju WRN-owców, nawiąże kontakt z emigracyjnym ośrodkiem PPS. Tu szczególnie blisko zwiąże się z Adamem Ciołkoszem i jego stronnictwami, oceniającymi dalszą „grę na legalizm” jako strategię defensywną, pozbawioną dynamizmu, niejako „konserwującą” polską emigrację w oderwaniu od procesów zachodzących nad Wisłą.

Wspólnie – nie negując legalnego charakteru Rządu RP, stawiając raczej na swego rodzaju dualizm dążeń – podejmować będą próby utworzenia alternatywnego, opartego na gruncie wyraźnie demokratycznym, a zatem z wykluczeniem sanacji i narodowców, porozumienia ugrupowań niepodległościowych. Równolegle – Zaremba z Francji, a Ciołkosz z Anglii

– dążyć będą do powołania przy Międzynarodówce Socjalistycznej organizacji koordynującej wysiłki niepodległościowych socjalistów ze wszystkich państw znajdujących się w sowieckiej strefie wpływów. Z czasem ich wspólne od początku pracy w PPS drogi zaczną się rozchodzić, co doprowadzi do ostatecznego rozstania w 1960 r.

Wcześniej Zaremba, jako jedno z niewielu „piór emigracyjnych” pozytywnie ustosunkuje się do przemian zachodzących w Polsce na fali „października”, wiążąc istotne nadzieje ze zjawiskiem rewizjonizmu. W kolejnych latach – nieustannie publikując, ale także występując na falach Radia Wolna Europa – będzie zajmował się analizą ewolucji komunizmu,

przekonując, że w wyniku przełomu, jaki dokonał się wraz ze śmiercią Stalina, swoistą oligarchizacją partii komunistycznej, system ten podlegać musi stopniowej, ale nieuchronnej demokracji.

Szczególne nadzieje na zmianę pojałtańskiego układu pokładać będzie nie w ewentualnym konflikcie, ale w przemianach społeczno-politycznych dynamizujących ruch robotniczy krajów zza żelaznej kurtyny.

Zmarł w październiku 1967 r. Gdy odchodził, w tak odległej od tej, o którą walczył Polska Ludowej, coraz wyraźniej wybrzmiewały już echa „antysyjonistycznej” demagogii.

Bartosz Wójcik

Stały współpracownik czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Inspiracje na drugie stulecie

W perspektywie rocznicy stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości sięgamy do historii, aby w niej szukać gospodarczo-społecznych inspiracji na kolejne lata naszej państwowości.

Spełnione marzenie o lepszym kapitalizmie

Mateusz Perowicz

Czy istnieje trzecia droga pomiędzy duszącą konkurencją, socjalistyczną własnością państwową a wyzyskiem serwowanym pracownikom przez krwio pijczych kapitalistów? Mało kto wie, że twierdzącej i praktycznej odpowiedzi na to pytanie na początku XX wieku udzielił Polak, chemik i przedsiębiorca Marian Wieleżyński. Zbudował innowacyjną firmę, w której upodmiotowił swoich pracowników, czyniąc ich... współwłaścicielami przedsiębiorstwa. Budując ją, współpracował z przyszłym prezydentem Polski, a sukcesem modelu akcjonariatu pracowniczego zainspirował m.in. Piusa XI i Charlesa de Gaulle'a.

Marian Wieleżyński urodził się 17 lutego 1878 roku w Zastawnej koło Czerniowiec. Był synem Waleriana Wieleżyńskiego i Natalii Knapp. Ojciec zginął w katastrofie kolejowej w 1882 roku. Wtedy matka przeniosła się do rodzinnego domu w Ołomuńcu na Morawach. Tutaj Marian rozpoczął edukację. Jego zainteresowanie nauką zwróciło uwagę miejscowego rabina, popowstaniowego emigranta z okolic

Nieświeża. Pozwolił chłopcu korzystać ze swojej biblioteki. To w niej chłopiec znalazł encyklikę *Rerum Novarum* i poznał zręby chrześcijańskiego spojrzenia na socjalizm i kapitalizm. Co więcej, to dzięki wizytom w domu rabina Marian przeszedł proces polonizacji – w jego domu rodzinnym rozmawiano bowiem po niemiecku. Rabin zapoznał go z dziełami literatury polskiej oraz nauczył biegle mówić i pisać po polsku.

Po śmierci dziadka wraz z matką przeniósł się z powrotem do Czerniowic, gdzie w 1896 roku skończył gimnazjum. Rok później rozpoczął kształcenie na Politechnice Lwowskiej. Zapisał się na Wydział Chemii. Jego brat Aleksander uczęszczał na Wydział Dróg i Mostów. Mury lwowskiej uczelni nie okazały się jednak dla braci gościnne. Szybko zostali wydalenieni za działalność polityczną. Kontynuowali naukę na uniwersytecie w Wiedniu, który Marian ukończył z wyróżnieniem w 1901 roku.

Okres studiów we Lwowie był krótki, lecz niezwykle owocny. Wtedy doszło do incydentu, który przyczynił się do przyszłego rozwoju koncepcji akcjonariatu pracowniczego. Podczas wizytacji cukrowni gotowej do rozpoczęcia działalności, jej zarządca, hrabia Branicki, został omyłkowo potrącony przez jednego z pracowników. Porażony furią hrabia odwdzięczył się kopniakiem i wydał robotnikowi nakaz natychmiastowego opuszczenia zakładu. „Dla mnie dążeniem każdego człowieka powinna być praca na własnym. Jeśli robotnik rolny może marzyć o zdobyciu własnego kawałka ziemi i o gospodarowaniu wedle swojego upodobania, robotnik fabryczny nie może o tym marzyć, aby posiadać na własność cuda nowoczesnej techniki, natomiast może i powinien myśleć o tym, aby stać się współwłaścicielem przedsiębiorstwa, w którym pracuje. Kiedy po studiach zaczęła swoją pracę w wybranym zawodzie, postanowiłem robić, co potrafię, aby zmienić stosunek pracy do kapitału, czyli zasadniczych czynników produkcji – dziś walczących – na świadome współdziałanie” – taką refleksją miał wówczas podzielić się z bliskimi chemik.

IDEA WCIEŁONA W ŻYCIE

W 1901 roku Marian rozpoczął pracę w rafinerii Galicja w Drohobyczu, gdzie opracował metodę pozyskiwania białej parafiny. Nie podobało mu się zachowanie dyrektora, więc zwolnił się i rozpoczął własną działalność. Jego pierwszym przedsięwzięciem była Stacja Doświadczalna – laboratorium funkcjonujące w Drohobyczu, w którym badano różne odmiany ropy pochodzące z Zagłębia Borysławskiego oraz jej pochodne. W tym czasie Wieleżyński wykazał niespotykane w tamtych czasach zainteresowanie ochroną środowiska. Ówczesne sposoby wydobycia

ropy przyczyniały się bowiem znacząco do jego degradacji. Wyodrębniający się gaz utylizowano poprzez spalanie go w tzw. pochodniach.

Potencjału gazu ziemnego nie dostrzegali właściwie nikt poza Wieleżyńskim. Określał on proceder spalania gazu mianem zbrodni zarzucając nacierzom marnotrawienie cennego surowca. Nie słuchano go nawet wówczas, gdy prezentował butelkę z przezroczystym płynem powstałym ze skraplania cięższych frakcji tzw. mokrego gazu ziemnego. Była to osławiona później gazolina.

Koncepcja Wieleżyńskiego zaczęła zyskiwać zwolenników. Zwłaszcza od 1907 roku, kiedy doszło do pożaru najbardziej produktywnego odwiertu ropy w Borysławiu, zainicjowanego przez jedną z pochodni gazowych tak krytykowanych przez Wieleżyńskiego. Pomimo początkowego sceptycyzmu, lokalne władze zezwoliły na budowę pierwszego w Borysławiu gazociągu przeznaczonego do użytku publicznego. Miało to miejsce 20 maja 1912 roku. Powstała wtedy firma Zakład Gazu Ziemnego, Inż. Marian Wieleżyński sp. z o.o. Projekt zakładał budowę dwóch segmentów gazociągu: pierwszego o długości 700 metrów i drugiego liczącego 14 kilometrów. Łączył on źródła gazu z rafinerią w Drohobyczu. Przesyłany tą drogą gaz miał służyć do ogrzewania kotłów maszyn parowych. Inwestycja przeprowadzona została niezwykle sprawnie i fachowo. Duży wkład w sukces miał wspólnik Wieleżyńskiego, Władysław Szaynok. Obaj zostali zaproszeni do Stanów Zjednoczonych przez amerykańską firmę dostarczającą kompresory, która doceniła talent obu przedsiębiorców. Za oceanem mogli zapoznać się z tamtejszym przemysłem naftowym.

W 1914 roku pracę rozpoczyna pierwsza w Europie fabryka gazoliny. Dwa lata później do życia powołano nową spółkę, już pod nazwą Gazolina, która buduje kolejną fabrykę. To wówczas Wieleżyński zaczął budować swoje przedsiębiorstwa w oparciu o ideę współwłasności pracowniczey. Pierwszymi nabywcami udziałów Gazoliny zostali Julian i Ludwik Ginda oraz Jan Błaz.

W tym czasie jedną ze swych spółek wspólnicy przenoszą pod adres ul. Sapięhy 3 we Lwowie. W budynku znajdowała się również naukowo-badawcza spół-

ka Metan powołana przez przyszłego prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Spotkania i debaty trzech wybitnych naukowców nosiły nazwę „Kuźni Nowych Myśli”. Opracowano na nich między innymi koncepcję rozdzielania emulsji olejowych i wytwarzania propanu-butanu, którego produkcję uruchomiła Gazolina jako pierwsza na świecie.

SPÓŁKA INNA NIŻ WSZYSTKIE

W 1920 roku z połączenia dwóch rozwijanych dotąd przez Wieleżyńskiego przedsiębiorstw powstaje ostatecznie Spółka Akcyjna Gazolina, w której organach zasiadają m.in. Wieleżyński, Szaynok i Mościcki. W roku powstania spółka wyprodukowała 3 524 000 metrów sześciennych gazu, 1 520 ton ropy i 593 ton gazoliny. Wówczas utworzono też pierwszy statut Gazoliny, który określał zasady akcjonariatu pracowniczego. Walne Zgromadzenie Akcjonariuszy zatwierdziło go ostatecznie 22 lutego 1922 roku.

W 1926 roku niemal 70% pracowników było już udziałowcami firmy, w której pracowali. Rok później firma prosperowała na tyle dobrze, że była w stanie wypłacać sześciokrotność płacy minimalnej! Wieleżyński zaproponował współwłaścicielom Gazoliny zainwestowanie nadwyżek w rozwój firmy, na co przystali dobrowolnie. Dzięki temu znalazły się fundusze na odkrycie i eksploatację złóż gazowych w Daszawie.

Statut dzielił pracowników na stałych – czyli takich, którzy współtworzyli akcjonariat – oraz prowizorycznych, czyli pracowników najemnych. Zarabiali oni mniej niż współwłaściciele przedsiębiorstwa. Do wejścia w akcjonariat zachęcał cykliczny przydział określonej ilości nowo emitowanych akcji po cenach preferencyjnych. Przydział ten obejmował oba rodzaje pracowników, a jego wielkość była proporcjonalna do zarobków. Warunkiem zostania pracownikiem stałym był obowiązek zakupienia raz w roku imiennych i niezbywalnych akcji Gazoliny za jednomiesięczną pensję. Każdy pracownik stały miał prawo nabyć dowolną ilość takich akcji, co czyniono chętnie, ponieważ były one uprzywilejowane i posiadały pięciokrotną siłę głosu.

Zysk z posiadanych akcji wypłacany był w postaci dywidend. W latach 1925-1930 dochodziły one do 20%

zainwestowanego kapitału. Akcje, choć imienne, nie mogły być przechowywane indywidualnie. Składowano je we wspólnym depozycie, którym opiekował się Syndykat Pracowniczy spółki, czyli związek zawodowy. Głos na corocznym Walnym Zgromadzeniu akcjonariuszy również był wspólny. Pracownicy wybierali swego przedstawiciela, który reprezentował ich interes. Siła połączonych, uprzywilejowanych akcji sprawiła, że pracownicy szybko zaczęli odgrywać decydującą rolę podczas głosowań.

WSPÓŁWŁAŚCICIELE ZAMIAST NIEWOLNIKÓW

Fundament akcjonariatu pracowniczego stanowił system odpraw. Przedsiębiorstwo wypłacało pracownikom stałym równowartość zainwestowanego w spółkę kapitału, a akcje firmy nadal pozostawały w ich rękach. Dyplomowany pracownik stały mógł skorzystać z odprawy po pięciu przepracowanych latach, pracownik niedyplomowany musiał spędzić w Gazolinie dziesięć lat.

Doskonale podsumował to przyjaciel rodziny Bronisław Wojciechowski: „Utrzymanie związku przyczynowego pomiędzy zabezpieczeniem pracownikowi bytu, również po opuszczeniu przedsiębiorstwa, a posiadaniem przez niego akcji, stało się podstawą całej organizacji Spółki. Jeżeli bowiem z jednej strony firma wzięła na swoje barki ciężar rosnących z roku na rok odpraw, to z drugiej – zapewniła sobie oddanych pracowników zainteresowanych w rozwoju i powodzeniu firmy i gorliwą pracą odpłacających za stworzenie takiego środowiska produkcji, w którym nie czuli się niewolnikami, lecz świadomymi swych praw współwłaścicielami”.

W 1924 roku kapitał zakładowy Gazoliny wyceniano na 1 500 000 złotych. Podzielono go na 75 000 akcji o nominale 20 zł. 53 000 stanowiły akcje imienne, a 22 000 – akcje na okaziciela. Siedem lat później kapitał zakładowy wynosił 3 600 000 złotych, z czego 1 659 300 zł (46% kapitału!) należało do pracowników.

Dalszy rozwój akcjonariatu zahamowała II wojna światowa. Planowano zwiększenie kapitału zakładowego do 5 000 000 i emisję 14 000 akcji, które miały trafić do pracowników. Dzięki temu zyskaliby oni 65% kapitału zakładowego.

ŻYDZI, MASONI I POLSKI KAPITAŁ

Największy kryzys Gazoliny nastąpił w latach 1924-1925 podczas budowy gazociągu do Drohobycza. Kłopoty wynikać miały z oddania Wieleżyńskiego sprawie polskiej. Zawsze krytykował on ludzi będących na usługach obcego kapitału, którzy szkodziли jego zdaniem polskim interesom. Tego typu intrygi doprowadziły do upadku Towarzystwa Nafetowego powołanego przez Ignacego Łukasiewicza i Stanisława Szczepanowskiego. Z tego też powodu Wieleżyński odmówił – wyjaśniając, „że nie może służyć pod rozkazami ludzi sobie nie znanych, którzy kierują sprawami polskiego przemysłu spoza kraju i wyłącznie we własnym interesie” – wstąpienia do masonerii, co później miało się na nim mścić, gdy decyzje dotyczące jego działalności zależały od zaangażowanego w lożę Wielkiego Wschodu naczelnika Wydziału Nafty w Ministerstwie Przemysłu i Handlu.

Syn Mariana podkreślał, że sojuszników w budowaniu polskiej podmiotowości gospodarczej ojciec upatrywał wśród polskich Żydów. „Poważał wielu z tych ludzi jako prawdziwych autochtonów ziem polskich, będących elementem pozytywnym w walce z agentami obcego kapitału o gospodarczą niezależność politycznie niepodległego kraju” – wspominał Leszek.

W trudniejszym okresie rozwoju spółki pracownicy otrzymywali jedynie symboliczne wynagrodzenie. Dzięki własności pracowniczej w przedsiębiorstwie panowało jednak poczucie solidarności. Wszyscy jednakowo odczuwali skutki gorszych wyników finansowych i wszyscy mieli nadzieję na późniejsze zyski, które rychło nadeszły. Gazociąg mógł zostać ukończony dzięki ingerencji dyrektora Banku Przemysłowego we Lwowie, wywodzącego się ze środowisk niepodległościowych Żyda Leona Weinfeldta.

Po wyjściu na prostą rozpoczęły się kolejne inwestycje. 1928 rok okazał się przełomowy. Rozpoczęto wtedy (po raz pierwszy na świecie) produkcję „gazolu” znanego dziś jako propan-butan. Eksportowano go do Belgii, Syrii i Palestyny. W 1929 roku Gazolina zaczęła budowę najdłuższego, mierzącego 82 kilometry gazociągu łączącego złoża Daszawy ze Lwo-

wem, co odbiło się szerokim echem na organizowanych we Lwowie Targach Wschodnich. W 1930 roku rusza Centralna Fabryka Gazoliny o wydajności 50 cystern miesięcznie.

W 1934 roku stary znajomy, a wówczas prezydent powierzył Wieleżyńskiemu specjalne zadanie. Państwo polskie przejęło od Niemiec 25% udziałów przedsiębiorstwa „Wspólnota Interesów” zatrudniającego 30 tysięcy pracowników. Aby przejąć kontrolę nad spółką postanowiono wdrożyć system funkcjonujący w Gazolinie. Po konsultacjach wysłano na Śląsk Leszka Wieleżyńskiego, syna Mariana. Przygotowany przez niego raport złożono Mościckiemu w 1934 roku, zaś „Wspólnotę Interesów” przejęto w roku 1936.

DOBRY MODEL NA TRUDNE CZASY

Zaangażowanie pracowników-udziałowców w swoją firmę okazywało się nie do przecenienia w wielu momentach próby, które spotykały przedsiębiorstwa. W 1918 roku, gdy Wieleżyński jako polski komisarz rządowy został internowany przez Ukraińców i osadzony w obozie o Kołomyi, nie musiał się obawiać o los Gazoliny. Zostawił na miejscu 45 współwłaścicieli, którzy zadbali o funkcjonowanie przedsiębiorstwa. Gdy powrócił z internowania przedsiębiorstwo działało bez zarzutu.

Druga próba odbyła się w 1920 roku. W Zagłębiu Boryslawskim narastał wtedy konflikt pomiędzy Izbą Pracodawców a pracownikami. Sytuacja była tak napięta, że związek zawodowy ogłosił strajk generalny. Pierwsi pracownicy-udziałowcy Gazoliny, Julian Ginda i Jan Błaż, należeli również do związku zawodowego. Udali się na rozmowy do kierownictwa regionalnego związku, gdzie tłumaczyli, iż nie muszą strajkować, ponieważ zarabiają więcej, niż związkowcy domagają się w swych postulatach.

„Jeśli prawdziwie po polsku myślący i dla Polski pracujący pracodawcy w spółce Gazolina mogą od lat płacić stawki wyższe niż ludzie na służbie zagranicznej lub ich naśladowcy w Izbie Pracodawców, to nie jest prawdą, że tego nie można w ogóle zrobić, tylko, że trzeba chcieć” – przekonywali swoich przełożonych w związku. Po takiej reprimendzie kierow-

nictwu związku nie pozostało nic innego, jak zwolnić pracowników Gazoliny z półrocznego strajku.

Najcięższa próba nastąpiła jesienią 1929 roku, tuż po zakończeniu IX Targów Wschodnich. Wtedy konsorcjum austriacko-niemieckie próbowało wykupić akcje imienne Gazoliny za astronomiczną kwotę 60 000 000 złotych. W rękach pracowników znajdowało się wówczas nominalnie 1 350 000 zł, a cały kapitał zakładowy wynosił 3 000 000 zł. Trzech największych udziałowców zaproszono na spotkanie by omówić złożoną im ofertę. Byli to: Julian Ginda (320 akcji o wartości 32 000 zł, sprzedaż za 1 260 000 zł), Jan Błaż (240 akcji o wartości nominalnej 24 000 zł, sprzedaż za 1 059 000 zł) oraz Marek Marosz (173 akcji o wartości nominalnej 17 300 zł, sprzedaż za 778 000 zł).

Wieleżyński przedstawił współwłaścicielom ofertę i zapytał co sądzą o zaistniałej sytuacji. Głos jako pierwszy zabrał Morosz: „Nie wiem, co powiedzą pan Ginda i pan Błaż, ja twierdzę, że jeśli tym panom z Wiednia warto, to nam też. Ja nie sprzedaję!”. Błaż i Ginda przyznali koledze rację i odmówili sprzedaży akcji.

CZŁOWIEK KTÓRY ZAINSPIROWAŁ PAPIEŻA

Ideą akcjonariatu pracowniczego w formie którą testowano w Gazolinie zainteresował się jeszcze jako nuncjusz apostolski w Polsce kardynał Achille Ratti. Kilka lat później już jako papież Pius XI zapraszał Wieleżyńskiego do Watykanu, by tam polski przemysłowiec przedstawił zasady, jakimi kierowały się jego przedsiębiorstwa. W 1931 roku powstaje zaś encyklika *Quadragesimo anno*, która wprowadza własność pracowniczą do katolickiej nauki społecznej.

„Obecne warunki gospodarcze usilnie polecają złączenie, o ile można, umowy pracy przez umowę spółkową. Różne podjęto już w tej sprawie próby ku wielkiej korzyści i pracobiorców i właścicieli kapitału. W ten sposób robotnicy i urzędnicy stają się współwłaścicielami lub współrządcami, albo w jaki bądź sposób uczestniczą w zyskach” – czytamy w niej.

Encykliką inspirował się choćby baskijski ksiądz Jose Maria Arizmendieta, który w latach 50.

stworzył w Mandragoie zakład przemysłowy oparty o akcjonariat pracowniczy. W 1988 roku liczył on ponad 40 000 pracowników, a obecnie zatrudnia około 3 mln osób. Ideę Piusa XI kontynuowali Jan XXIII w encyklice *Mater et Magistra* i Jan Paweł II w *Laborem Exercens*.

Koncepcja własności pracowniczej pośrednio za sprawą Gazoliny szerokim echem odbiła się we Francji. Stało się tak wskutek II wojny światowej, która pogrzebała potencjał przedsiębiorstwa kierowanego przez Wieleżyńskiego. Po wkroczeniu Sowietów zakłady natychmiastowo upaństwowiono i przemieniono w UKR-gaz. Jednak wartości i cnoty przyświecające Marianowi Wielżyńskiemu rozpow szechniały się dzięki świadectwu jego synów, Leszka i Ignacego.

Obaj wstąpili do wojska, by stawić czoła najeźdźcom, a po klęsce wojny obronnej znaleźli się w Anglii. W 1942 roku Ignacy przechodził szkolenie cichociemnych w towarzystwie Francuzów, z którymi chętnie dzielił się opowieściami o zakładzie ojca. Jednym ze słuchaczy był bliski współpracownik generała de Gaulle'a, który nie omieszczał przekazać zasłyszanych wieści dowódcy francuskich wojsk. De Gaulle miał zachwycić się systemem Gazoliny i zapragnął szczegółowych notatek na jej temat. Zadania podjął się Leszek Wielżyński i przygotował dla generała szczegółowy raport. Francuski przywódca okazał się gorącym zwolennikiem akcjonariatu pracowniczego. Podczas całej swej kariery nakłaniał do rozpowszechniania go. Dzięki temu Francja stała się europejską kolebką własności pracowniczej. Dzisiaj Francuzi wiodą prym w Europejskiej Federacji Pracowników Akcjonariuszy.

Marian Wieleżyński zmarł we Lwowie 12 kwietnia 1945 roku. W dzisiejszej Polsce poważnie traktowany akcjonariat pracowniczy wciąż budzi zdziwienie lub kojarzy się z utopią. Pracownik miałby posiadać część zakładu na własność? Niby po co pracodawca miałby się dzielić dorobkiem z obcymi? Po co pracownik miałby inwestować w cudzy biznes? Tymczasem do doświadczeń Wieleżyńskiego warto sięgać choćby wówczas, gdy coraz częściej niepokoi nas brak wzajemnego szacunku pomiędzy pracownikiem i pracodawcą.

Mateusz Perowicz

Koordynator aplikacji *Pola. Zabierz ją na zakupy*. Stały autor portalu opinii klub-jagiellonski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego.

Pierwszy modernizator II RP

Piotr Kaszczyszyn

Polska to kraj konkurujący głównie niskimi kosztami pracy, w globalnym łańcuchu produkcji zajmujący miejsca raczej podrzędne. Kluczem do „modernizacyjnego pchnięcia” jest aktywna polityka rozwojowa państwa, stawiająca na rozbudowę i unowocześnienie krajowego przemysłu. Wbrew pozorom to nie opis wyzwań gospodarczych stojących przed współczesną Polską, lecz refleksje Eugeniusza Kwiatkowskiego na temat II RP. Mimo upływu 80 lat pewne rzeczy nie uległy specjalnej zmianie.

BEZ HISTORII KRYTYCZNEJ DALEJ NIE RUSZYMY

Punktem wyjścia refleksji gospodarczej Eugeniusza Kwiatkowskiego był jego stosunek do historii. Dla twórcy Centralnego Okręgu Przemysłowego historia nie była „archiwum pouczających faktów, luźnych wydarzeń i chronologicznych dat”. Kwiatkowskiemu nie chodziło również o zasadniczo wartościowe, ale już dosyć banalne i wyświechtane hasło historii – nauczycielki życia. Sanacyjny minister zdawał sobie sprawę, że życie państw, narodów i społeczeństw osadzone jest w perspektywie *długiego trwania*, gdzie procesy i ich konsekwencje objawiają się stopniowo na przestrzeni dekad, a nawet stuleci, a hi-

storia wywiera wpływ nie tylko na teraźniejszość, lecz również na przyszłość.

Konieczne jest w takim wypadku dokładne i krytyczne prześledzenie historycznych uwarunkowań naszej obecnej kondycji – politycznej, gospodarczej, społecznej, kulturowej. Bez tego procesu nie jest bowiem możliwe wypracowanie trafnej polityki rozwojowej państwa.

Sam Kwiatkowski podjął się takiej historycznej analizy w swojej najgłośniejszej pracy *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, biorąc na warsztat m.in. czasy I RP. Katalog brzemiennych w skutkach

TANI JAK POLAK

Kwiatkowski zdawał sobie także sprawę z położenia polskich robotników i związanego z tym obowiązującego w II RP modelu ekonomicznego. Ówczesna Polska była gospodarką opartą o niskie koszty pracy.

Sanacyjny minister zwrócił uwagę na trudne warunki bytowe polskiej klasy robotniczej: słaby poziom zabezpieczenia socjalnego, wysoką rozpiętość między zarobkami wśród samych robotników oraz w zestawieniu różnych regionów, niezdolność do oszczędzania. Postulat wicepremiera był jednoznaczny – gospodarka oparta na niskich kosztach pracy jest drogą donikąd. Kluczem do prawdziwego sukcesu jest dobrze opłacany pracownik, który z satysfakcją i zaangażowaniem wykonuje swoją pracę. W tym celu pracodawcy powinni zapewniać zatrudnionym jak najlepsze warunki: kasy zapomogowe, mieszkania robotnicze, finansowanie inicjatyw kulturalnych.

Podniesienie wynagrodzeń utrudniała pozycja polskiej gospodarki w globalnym łańcuchu produkcji, z czego pomysłodawca COP bardzo dobrze zdawał sobie sprawę i identyfikował ten problem jako jeden z kluczowych dla polityki rozwojowej państwa. Prawdziwe zyski są na etapie sprzedaży produktu finalnego, podwykonawcy dostają tylko marne ochłapy z kapitalistycznego stołu. Dlatego Kwiatkowski podkreślał, że współczesny mu model rozwojowy Polski, oparty na eksporcie nieprzetworzonych surowców, utrzymuje gospodarkę w kondycji peryferyjnej, utrwalając tylko naszą podrzędną pozycję wobec innych państw.

Rozwiązaniem nie była jednak prosta, a raczej prostacka autarkia gospodarcza. Kwiatkowski odrzucał zdecydowanie iluzje samowystarczalności i niezależności. Kluczem była dla niego równowaga i zachowanie właściwych proporcji między produkcją na potrzeby rynku wewnętrznego i na eksport.

NOWA POLSKA PRZEMYSŁOWA

Jak wyobrażał sobie wymarzoną Polskę Eugeniusz Kwiatkowski? Streszczając jego wizję jednym zdaniem można napisać: Polska przemysłowa i morska, stworzona w sposób ewolucyjny i w oparciu o re-

formy wewnętrzne, przeprowadzone własną pracą i własnymi zasobami.

Na pierwszy ogień szła kwestia przemysłu. Cel został wskazany jasno i precyzyjnie. Polska winna wejść na drogę modyfikacji i modernizacji swojej struktury gospodarczej. Jednostronnie agrarny charakter naszego państwa jest z punktu widzenia dobrobytu obywateli rozwiązaniem szkodliwym, petryfikującym tylko istniejące trudności, jak wysokie bezrobocie na wsi, problem „ludzi luźnych”, dla których nie ma pracy, niskie dochody rolników, płytki rynek konsumpcyjny dla istniejącego przemysłu.

Rozwiązanie to Polska przemysłowo-rolnicza. Kwiatkowski chciał wyjść poza dychotomiczne, konfliktowe ujęcie sprawy, charakterystyczne dla współczesnych mu debat politycznych – w jego przekonaniu oba te komponenty są wobec siebie komplementarne. Z jednej strony silny przemysł, z drugiej rolnictwo absorbujące mniejszą liczbę ludzi aktywnych zawodowo niż dotychczas, ale za to nowocześniejsze, wydajniejsze, generujące większe dochody, tworzące prawdziwych rolników-konsumentów, budujących w konsekwencji wartościowy wewnętrzny rynek zbytu dla sektora przemysłowego.

Punkt wyjścia był trudny – trzy zabory, trzy różne modele gospodarcze, trzy różne stopnie zaawansowania sektora przemysłowego. Z jednej strony problemy wynikające z braku niezbędnego zakumulowanego kapitału do dalszych inwestycji, z drugiej niekorzystna struktura zatrudnienia – zdolności konsumpcyjne blisko ¼ ludności uzależnione były od cen ziemiopłodów i produktów hodowlanych. Prowadziło to do negatywnego modelu relacji cen produktów przemysłowych i rolnych, a w konsekwencji do sytuacji, w której chłop musiał sprzedawać wciąż i wciąż więcej swoich produktów, aby móc zakupić niezbędne narzędzia do pracy. A jeśli nie był w stanie tego zrobić, to produkował je na własną rękę, ze szkodą dla rynku.

Dlatego kluczem była skutecznie przeprowadzona reforma rolna. Propozycja Kwiatkowskiego szła pod prąd ówczesnym dyskusjom, łącząc postulaty przeciwników i zwolenników reformy rolnej.

W przekonaniu wicepremiera parcelacja powinna przeciwdziałać dalszemu rozdrabnianiu ziemi i dążyć do stworzenia jednostek „zdolnych do wyżywienia rodziny i rozbudzenia konsumpcji”. Kwiatkowski nie miał wątpliwości – reforma rolna to jedna strona medalu, drugą musi być zmiana proporcji ludności w skali kraju i migracja dużej części chłopstwa do miast, gdzie zasilą przemysł. Samej reformie powinny towarzyszyć działania wzmacniające i modernizujące wieś także w innych aspektach: łatwy i długoterminowy kredyt państwowy, uregulowanie serwitutów, przeprowadzenie melioracji, rozbudowa podstawowej oświaty, wprowadzenie szkolnictwa fachowego i zawodowego.

NOWA POLSKA MORSKA

Przejście od Polski agrarnej do Polski przemysłowej to podstawowa transformacja, niezbędna do wyrwania naszego państwa z gospodarczego zacofania. Jej uzupełnienie powinna stanowić symboliczna i jak najbardziej praktyczna oraz materialna reorientacja geograficzna – odchodzimy od Wschodu, Kresów i rolniczych posiadłości, na rzecz Północy i powrotu do Bałtyku jako naszego eksportowego okna na świat. Okna, przez które nie będą już przechodzić tylko surowce w postaci zbóż czy drewna, lecz wysoko przetworzone produkty przemysłowe.

Orientacja na Bałtyk oznacza jednocześnie zmianę dotychczasowych przyzwyczajeń eksportowych. Nie ma już powrotu do sytuacji sprzed I wojny światowej – rynki niemiecki i rosyjski są zamknięte na nasze produkty. Zamiast rozpatrywania spraw na linii wschód-zachód, należy zwrócić się na północ i za pośrednictwem portu w Gdyni nastawić się na eksport do innych państw Europy, a później świata.

Już w 1931 r., kiedy po raz pierwszy zostały opublikowane *Dysproporcje*, mieliśmy do czynienia z interesującymi proporcjami: „Oznacza to, że kilkudziesięciokilometrowa granica morska Polski – jako element gospodarczy – równoważy się dziś w obrocie towarowym z około 5500 km granicy lądowej. Każdy metr, każdy kilometr granicy morskiej pracuje dla Polski 100 razy intensywniej, prędkiej i przyjaźniej niż metr czy kilometr granicy lądowej”.

PAŃSTWO-PIONIER WYCINA ZWALISTE DRZEWA

W budowie nowej Polski przemysłowo-rolniczo-morskiej istotną rolę do odegrania miało mieć państwo. Jaką konkretnie? Pomocniczą, ale aktywną. Jego zadaniem jest „usuwanie istotnych przeszkód, stojących na drodze rozwoju ekonomicznego Polski”. Kwiatkowski stawiał sprawę jasno – polityka celna, taryfowa, podatkowa to jedno. Nie można jednak uciekać od praktyk etatystycznych – „ponadto ważnym czynnikiem w rozwoju gospodarstwa krajowego jest i bezpośrednia działalność ekonomiczna państwa” – tak o tym pisał. Inicjator COP-u uciekał jednocześnie od jałowych dyskusji teoretycznych na temat etatyzmu. Nie o naukowy dogmatyzm i ideową czystość chodziło, lecz o skuteczność podejmowanych działań.

Państwo w wizji twórcy COP miało być „pionierem”, „wycinającym w nieprzebytej puszczy nowe drogi dla inicjatywy prywatnej”. Kwiatkowski wymieniał konkretne działania, jak budowa kolei, portów handlowych, mostów, poczty, lotnictwa; inicjowanie rozwoju floty handlowej, regulacja rzek. Państwo ma działać tam, gdzie sektor prywatny działać „nie może, nie chce, lub działa ze szkodą społeczną”.

Jednocześnie państwo nie powinno wkraczać w rejon drobnej wytwórczości, tam, gdzie rynek będzie w stanie skutecznej i efektywnej realizować potrzeby konsumpcyjne obywateli. Celem jest działalność perspektywiczna i rozłożona w czasie. Nie ma więc mowy o konflikcie między sektorem prywatnym i państwowym, czego tak bardzo w tamtym czasie obawiali się liberałowie ze „szkoły krakowskiej” oraz Centralny Związek Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan”.

Kwiatkowski nie uciekał nawet od pojęcia planowości w rozwoju ekonomicznym, niestety określonego w sposób enigmatyczny. Pewne doprecyzowanie tego zagadnienia pojawiło się w referacie wygłoszonym przez wicepremiera w 1935 r. na posiedzeniu Rady Związków Izb i Organizacji Rolniczych RP, gdzie Kwiatkowski dystansował się od takich pojęć jak „socjalizm”, „gospodarka planowana lub dyrygowana”, a zamiast tego zaproponował pojęcie „gospodarki organicznej”. Co nie zmienia faktu, że to państwo

stwo miało być inicjatorem i właściwym podmiotem działań modernizacyjnych, we współpracy i symbiozie z sektorem prywatnym. Wyznaczając cele inwestycyjne, prowadząc bezpośrednią działalność gospodarczą, wciągając w nią podmioty prywatne.

Eugeniusz Kwiatkowski znany jest dzisiaj przede wszystkim z realizacji ambitnych projektów gospodarczych II RP: budowy portu w Gdyni, a później Centralnego Okręgu Przemysłowego. Tymczasem prawie nikt nie zwraca uwagi, że jego praktyczne posunięcia nie wzięły się z powietrza, lecz miały stabilne teoretyczne podłoże.

Kwiatkowski równolegle z aktywnością ministerialną, wypracował spójną wizję modernizacji państwa i budowy Polski przemysłowo-rolniczej, zwróconej w stronę Bałtyku. Co najważniejsze jednak, w swojej pracy intelektualnej wypracował pojęcia i przedstawił diagnozy, które, jak miejsce Polski w globalnym łańcuchu produkcji, krytyka modelu gospodarki opartej o niskie koszty pracy, nacisk na kluczową rolę przemysłu, czy koncepcja „państwa rozwojowego”, aktywnego w sferze społeczno-ekonomicznej, wciąż nie straciły specjalnie na swojej aktualności.

Stety albo niestety, ale do dorobku pierwszego modernizatora II RP nadal warto sięgać.

Piotr Kaszczyszyn

Redaktor naczelny czasopisma idei „Pressje” oraz portalu opinii klubjagiellon-ski.pl. Członek Klubu Jagiellońskiego. Doktorant w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego.